

ARKANA NAMIĘTNOŚCI



Diabelskie  
pokusy

Ewanna Romans

## Table of Contents

[I. Tarot – Pustelnik](#)

[II. Tarot – Głupiec](#)

[III. Tarot – Kapłanka](#)

[IV. Tarot – Siła](#)

[V. Tarot – Wieża](#)

[VI. Tarot – Wisielec](#)

[VII. Tarot – Kochankowie](#)

[VIII. Tarot – Słońce](#)

[IX. Tarot – Cesarzowa](#)

[X. Tarot – Kapłan](#)

[XI. Tarot – Umiarkowanie](#)

[XII. Tarot – Mag](#)

[XIII. Tarot – Cesarz](#)

[XIV. Tarot – Koło Fortuny](#)

[XV. Tarot – Diabeł](#)

[XVI. Tarot – Rydwan](#)

[XVII. Tarot – Gwiazda](#)

[XVIII. Tarot – Sprawiedliwość](#)

[XIX. Tarot – Śmierć](#)

[XX. Tarot – Księżyc](#)

[XXI. Tarot – Sąd Ostateczny](#)

[XXII. Tarot – Świat](#)

*Ten ebook jest chroniony znakiem wodnym*

**Arkana namiętności**  
**Tom I**  
**Diabelskie pokusy**

**Ewana Romans**

© Copyright by Ewana Romans  
Projekt okładki: Justyna Fałek  
Redakcja i korekta: Krzysztof Kropka  
e-wydanie pierwsze 2022

wydawnictwo e-bookowo

ISBN: 978-83-8166-332-8  
Kontakt: ewannaromans@gmail.com  
Wszelkie prawa zastrzeżone

## I. Tarot – Pustelnik

Karta tarota Pustelnik przynależy do zodiakalnej Panny. Energia tej karty błogosławi duchowy rozwój. Sprzyja zatopieniu się w mistycyzmie i odcina korzenie przywiązania do zewnętrznego świata. Oddanie się boskiej opiece separuje od wszystkiego, co może wyrządzić sercu krzywdę.

\*

Nie chcę już cierpieć. Nigdy więcej nie chcę już być krzywdzona.

\*

– Angelina, Angelina! Poczekaj na mnie! – słyszę za sobą zawołanie mej rówieśniczki, znajomej osiemnastolatki. Nie odważyłabym się jej nazwać przyjaciółką, bo nie mam takowych. Nie posiadam wśród rówieśników bliskich mi osób, które poprzez swój wpływ mogłyby zwodzić mnie na złą drogę. Pokusy należy tłumić w zarodku, nawet te najniewinniejsze.

W rezultacie miesiąc po rozpoczęciu nauki w college’u w kalifornijskim miasteczku Crestone nie reaguję na pokrzykiwania Liliany Carter. Na szkolnym korytarzu nie zatrzymuje się, nawet nie zwalniam kroku. Jedynie mocniej garbię plecy i silniej przyciskam do piersi zeszyty i książki. Szkolnych przyborów używam niczym tarczy, mającej mnie chronić przed światem, gdzie roi się od wchodzącej w dorosłe życie zdemoralizowanej młodzieży.

– Angelina... Angelina Evans. – Zdyszana Liliana dogania mnie i chwyta za ramię. – Co to ma niby być? Zajęcia sportowe między lekcjami? Nie będę cię za każdym razem gonić!

– Nie musisz. Nie oczekuję tego od ciebie. – Idę na lekcję historii i zerkam z ukosa na koleżankę: pyzatego, piegowatego, niezbyt urodziwego rudzielca.

Dziewczyna ta często bywa nadpobudliwa i z tego powodu dużo gada. Chyba właśnie przez swój ognisty temperament upatrzyła sobie akurat mnie, tę milczącą i skrytą. Uczyniła to, aby mogła przy mnie pofolgować swemu językowi. Nie omieszka zajmować się próżnym gadulstwem także teraz:

– Słuchaj... Podobno odmówiłaś Lucasowi. Temu Lucasowi! Graczowi z trzeciego roku. Właśnie jemu pokazałaś swój ponętny zadek, wypinając się na uczestnictwo w jego imprezie urodzinowej. Rety, naprawdę to zrobiłaś? Bo nie wierzę!

– Więc uwierz kobieto słabej wiary.

– Że co? – Moja rozmówczyni krzywi się na twarzy, zupełnie jakbym zwracała się do niej w starohebrajskim. Wobec tego swój punkt widzenia dodatkowo wyjaśniam:

– Nie biorę udziału w prywatkach. Poza tym ten chłopak był taki nachalny.

– Nachalny? Angelina, ocknij się! – Liliana wybałusza piwne oczy i szeroko otwiera buzię. Nie domyka jej i dalej pospiesznie szczebiocze: – Lucas, nasz wielki wódz drużyny futbolowej,

zwyczajnie dał ci do zrozumienia, że chce cię przelecieć. Zalicza jedną po drugiej każdą pierwszoklasistkę, która wpadnie mu w oko. Jemu z zasady się nie odmawia. Zostać przez niego zerżniętą, a nawet oddać mu swoje dziewictwo, to zaszczyt! Ech... Czemu tak nie skusi się, aby bzyknąć mnie. – Nagle rozmarzona Liliana błagalnie kieruje oczy ku górze. Robi to, zupełnie jakby niebiosy mogły odpowiedzieć na jej bluźniercze prośby. Wiem, że nie odwiodę jej od złego. Lecz sama na pewno nie ulegnę pokusie. – Och, on tu idzie. Oto wielki wódz Lucas! Może choć na mnie spojrzy? To już będę mokra...

– Cześć, Święta! – Dwumetrowy, barczysty blondyn, w bluzie z wymalowanym na niej indiańskim pióropuszem, nie zwraca uwagi na Lilianę. Powitanie, które okrasza drwiącym uśmiechem, kieruje do mnie. W odpowiedzi odruchowo opuszczam wzrok i mocniej przyciskam do piersi zeszyty, mą tarczę.

Gdy wtem od mijającego mnie gracza drużyny futbolowej otrzymuję mocne uderzenie w plecy. Potykam się i na chwilę tracę równowagę. Jednak się nie przewracam. Widać Pan błogosławi skruszonych w sercu i czuwa nade mną.

Aczkolwiek w miarę przemierzania przeze mnie korytarza, nie wiedzieć czemu, coraz więcej osób zamachuje się dłońmi na moje pośladki. Czynią to, się podśmiechując.

Wreszcie, przed wejściem na lekcję, Liliana odkleja mi z pleców przyczepioną tam kartkę. Zdegustowana mi ją pokazuje i karci:

– Sama sobie nagrabiłaś. Mówiłam, że Lucasowi się nie odmawia.

Biorę do rąk kawałek papieru i wobec zaprezentowanego mi widoku z trudem przełykam ślinę. Oto podziwiam przerobione zdjęcie nagiej kobiety. Ma ona moją twarz i dorobione anielskie skrzydła. Nad jej głową widnieje aureola, a w jej świetle jest napis: „*klepnij Świętą w boski tyłek*”. Zawstydzona zgniatam kartkę w nieforemną kulkę. Natomiast Liliana z zachwytem zauważa:

– Naprawdę masz boski tyłek. Zresztą wszystko masz boskie, co widziałam w szatni na basenie. Gdybyś tak jeszcze nie chowała swego ponętnego ciała w tych przydługich, grubych, nudnych kieckach. Wyglądasz i zachowujesz się, jakbyś urwała się z klasztoru. Na własne życzenie marnujesz najlepsze lata życia. Naprawdę cię nie rozumiem. Odprawiasz jakąś pokutę, czy jak? Może chcesz mi się zwierzyć?

– Może innym razem.

– A może jednak... teraz?

– Chodźmy już na zajęcia. – Ucinam temat i razem z innymi uczniami pierwszego roku wchodzę do sali lekcyjnej. Zasiadam w pierwszej ławce przed nauczycielskim biurkiem i z pietyzmem rozkładam na blacie książki.

W tym czasie inni studenci śmieją się i gwarnie rozmawiają. Większość z nich trzyma w rękach smartfony. Niektórzy mają tablety czy laptopy. Urządzenia są włączone. Płynię z nich

różnorodna muzyka albo za ich sprawą odbywają się kolejne rozmowy. Odnoszę wrażenie, jakby moi rówieśnicy przychodzili do szkoły bawić się i rozwijać życie towarzyskie, a nie po to, aby zdobywać tu wiedzę.

Jest tutaj zupełnie inaczej niż w miejscu, gdzie dotąd pobierałam edukację. Była to katolicka szkoła dla dziewcząt, do której uczęszczałam w Teksasie. Niestety do dawnego życia w uprzednim miejscu zamieszkania nie mam już powrotu. Muszę się jakoś odnaleźć w obecnym otoczeniu pełnym moralnej zgnilizny i zepsucia. Choć miewam chwile słabości, jestem przekonana, że moja wiara pozwoli mi trwać w bogobojnej cnocie. W imię wyższych wartości muszę temu podołać.

– Spokój już, zaczynamy zajęcia. Spokój, powiedziałem!

Zanim nauczycielowi historii uda się zapanować nad rozwydrzonym tłumem, mija kilka minut. Każdy ma tu bowiem coś jeszcze komuś do zakomunikowania. Każdy z uczniów poza mną. Kiedy jednak zapada cisza, wtedy role się odwracają:

– Kto z was będzie tak łaskawy i opowie mi ze szczegółami na temat przyczyn wybuchu wojny secesyjnej? – Wobec zapytania nauczyciela do góry skierowana zostaje tylko jedna ręka, moja ręka. – Dziękuję, Angelino. Ale choć raz daj może szansę innym. – Po sali rozchodzą się lekkie śmiechy. Zaś siedząca koło mnie Liliana stuka mnie łokciem w bok. – Naprawdę nikt więcej nie chce zabrać głosu? – Historyk bezradnie rozkłada ręce. – To może dowiem się od szacownego państwa czegoś na temat szerszego tła samej secesji? – Dumnie, niczym wojskowy sztandar, moja ręka pozostaje wzniesiona. Lecz nauczyciel czyni ku mnie gest dłonią, abym ją opuściła. Wzdycha ciężko i rezolutnie się do mnie zwraca: – Mamy za sobą raptem miesiąc roku szkolnego. Ale chyba już w tej chwili mogę ci przyznać maksymalną liczbę punktów z historii. Czego niestety nie mogę powiedzieć o nich: – Prowadzący lekcję mężczyzna czyni zamaszty ruch ramionami w kierunku pozostałych uczniów. Odpowiada mu ponure buczenie. Historyk z kolei przekornie dodaje: – Zajmij się czymś, Angelino, czymkolwiek. Chyba że wolisz poprowadzić zajęcia za mnie. Chętnie zamienię się z tobą na miejsca. – Tej wypowiedzi znów towarzyszą chichoty między ławkami.

Ja spoglądam nauczycielowi w oczy, aby szybko zaprzeczyć. Nagle jednak zmieszana jakby tracę zdolność mowy. Widzę, że ten mężczyzna zahacza lubieżnym wzrokiem o mój biust, osłonięty grubym stanikiem i szarym materiałem sukni. Z powodu męskiego spojrzenia spoczywającego na mnie czuję się bardzo nieswojo. Nie życzę sobie, aby ktoś mnie dotykał nawet wzrokiem. Dlatego jedyną moją odpowiedzią jest podniesienie z ławki książki i schowanie się za nią.

Od tej pory lekcja toczy się już zwykłym trybem. Trwa wykład z historii, podczas którego uczniowie zdawkowo odpowiadają na pytania, w odniesieniu do których sama mogłabym się rozwodzić godzinami. Nauki humanistyczne są bowiem moją domeną. Choć z przedmiotami



ścisłymi też sobie radzę. Zdobyć dostateczną liczbę punktów, aby przejść do drugiej klasy, nie będzie nastrożać dla mnie problemów. Co innego przetrwanie wśród rozwiązłej młodzieży, która ma skłonność do grzechu i sama mnie ku niemu skłania.

– Na dzisiaj koniec zajęć. Przypominam, że kiedy znowu się spotkamy, omówimy przełomową dla wojny secesyjnej bitwę pod Gettysburgiem. – Nauczyciel robi pauzę. Wskazuje mnie palcem i podkreśla: – My omówimy, wszyscy razem, a nie za was wszystkich Angelina Evans. – Raptem gniewnie dodaje: – Hej, tylko bez takich! – Historyk interweniuje, gdy trafia we mnie kilka kulek zmiętego papieru.

Ataki na mnie przyjmuję z pokorą. Także pokornie czekam, aż wszyscy opuszczą salę lekcyjną. Dopiero wtedy zbieram swoje rzeczy i samotnie opuszczam pomieszczenie.

Tuż za nim nadziewam się na korytarzu na zaskakujący widok. Oto koło drzwi leży niedający znaków życia chłopak. Na twarzy ma szpecący trądzik pełen jaskrawoczerwonych krost, a w kącikach ust białą pianę. Półkolem otaczają go wyraźnie przejęci uczniowie. Nic jednak nie robią, aby biedakowi pomóc. Jedynie wskazują go palcami i wymieniają między sobą ciche, rwane zdania:

- A temu co?
- Może ma jakiś atak?
- Jaki niby atak?
- Kto go tam wie.
- A kto to w ogóle jest?
- To chyba Brzydki Edd.
- Brzydki Edd?
- A skąd ten koleś jest?
- Druga klasa.
- Tak, jest z drugiej klasy.

Wobec całkowitej indolencji studentów nie zwlekam, tylko czym prędzej biorę się za udzielanie pierwszej pomocy. Klękam przy niedomagającym chłopaku. W odpowiednim rytmie uciskam mu klatkę piersiową, a do jego ust własnymi ustami tłoczę powietrze.

Co jest trudne, staram się nie zważać na odpychający mnie tak bliski kontakt z męskim ciałem. Ale przecież właśnie ratuję cudze życie dane przez Boga. Muszę więc się przemóc i to dokładnie czynię.

Gdy raptem uczeń, którego reanimuję, chwytą mnie w ramiona. Przyciąga mnie mocno do siebie, po czym próbę dzielenia się z nim tlenem przekształca w namiętny pocałunek.

Będąc w szoku, w pierwszym momencie nie reaguję. Odbieram na swoich wargach napastliwy nacisk cudzych ust i obcy język, który jak wąż wędruje do mej buzi.

Dopiero po dłuższej chwili zdaję sobie sprawę, że padam ofiarą niewybrednego żartu. Wtedy gwałtownie odpycham od siebie chłopaka. W pozycji na klęczkach mocno wycieram dłońmi buzię, zupełnie jakbym pragnęła pozbyć się z niej trującego jadu. Czynię to przy ogłuszającym rechocie pozostałych studentów. Zauważam też, że zajście z moim udziałem filmują telefonami i już głośno dzielą między sobą wrażenia:

- Nasza Święta lizała się z Brzydkim Eddem!
- Lizała się z jęczyzkiem!
- Zrobili to na szkolnym korytarzu!
- Tarzali się po nim, napaleńcy!
- Widzieliście, jak się na niego rzuciła?!
- Święta grzesznica!
- Grzesznica!
- Grzesznica!
- Grzesznica!

Kompletnie zrezygnowana jestem świadkiem tego, jak chłopak, nazwany Brzydkim Edem, otrzymuje od rówieśników gromkie oklaski. Z tłumu uczniów wyłania się Lucas i podaje mu rękę, pomagając wstać. Przy okazji lekceważąco na mnie zerka. Wręcz czuję, jak poniżanie mnie napawa go arogancką dumą.

Odchodzi on razem z osobą, która symulowała utratę przytomności. Towarzyszą im zawodnicy szkolnej drużyny futbolowej, której Lucas przewodzi.

Wkrótce korytarz przed drzwiami do sali lekcji historii pustoszeje. Opuszcza mnie także Liliana, która na odchodne posyła mi kwaśny uśmiech. Nawet ona ma widać na pewien czas dość przebywania ze szkolnym wyrzutkiem. Tym samym pozostaję zupełnie sama.

Także samotnie raczę się lunchem na stołówce. Jedyne na moment podchodzi do mnie jakiś chłopak i zostawia mi na stoliku kartkę z napisem Święta. Odkładam sztućce i odwracam papier, aby zobaczyć, czy coś jest napisane na drugiej stronie. Owszem, jest:

*„Bądź jutro o dwunastej w męskiej toalecie. Dasz mi tam namiętnego, bardzo namiętnego calusa, jak Brzydkiemu Eddowi, i wszyscy będą cię kochać. Nie dasz soczystego buziaka, to nie będziesz tu miała życia. Zniszczę cię. Podpisano twój Lucas”.*

Tracę apetyt na resztę posiłku. Zrzucam wzrok pod stolik i tak osowiała siedzę.

Doprawdy nie sądziłam, że w nowym mieście tak szybko zostanę poddana ciężkim próbom. Wszystko zaś wskazuje na to, że moja Golgota dopiero się tu zaczyna. W głębi duszy wiem jednak, że nie ulegnę. Na wszystkie świętości poprzysięgłam zachować czystość. Przyrzekłam to także moim rodzicom, którzy niewątpliwie patrzą na me czyny z jasnego nieba. Nie zawiodę więc ich, tak jak nie zawiodę siebie.

Po lekcjach samotnie wracam do domu. Inaczej niż inni studenci poruszam się pieszo, a nie samochodem. Droga do celu, na zachodnie przedmieścia, zajmie mi około pół godziny.

– Angelina... – W pewnym momencie jadąca rozklekotanym Chevroletem Liliana zrównuje się ze mną. – Słuchaj... – stęka. – Narobiło mi się dziś sporo spraw do załatwienia we wschodniej części miasta. Wiesz, jak jest... I wiem, no wiem, że ci obiecałam. Ale nie bardzo mam, jak cię podrzucić do domu. To... pa.

Odkąd się poznałyśmy, młoda Carterówna zwykle proponowała mi po lekcjach podwózkę. Lecz widać moje akcje spadły już do tego stopnia, że przez każdego zaczynam być traktowana jak trędowata. Albowiem mimo szczerych chęci, w prawdopodobność koleżanki jakoś w tym przypadku nie wierzę.

Zostaję więc pozostawiona sama sobie. Choć nie jestem tym specjalnie rozczarowana. Każdy musi bowiem dźwigać swój krzyż naznaczony niedolą i cierpieniem. Nieważne zatem, jakie brzemię mnie samą przygniecie – podołam.

Myślę tak i przemierzam uliczki jeszcze niezbyt dobrze znanego mi miasteczka Crestone. Mijam tu jednorodzinne domki w białym kolorze, jak fosą otoczone zielonymi trawnikami i okalane białymi płótkami niczym murem. W dali podziwiam iglicę kościoła, który to sakralny przybytek regularnie odwiedzam. Już zresztą cieszę się na kolejne tam odwiedziny, by zaznać duchowego ukojenia, wypowiedawszy się i po przyjęciu komunii świętej.

Jakby natchniona tą myślą z nadzieją i wiarą spoglądam w błękitne niebo, które jest ozdobione połyskliwym klejnotem w postaci złocistego słońca. Z rozbudzonym zachwytem dumam o cudzie stworzenia. Na swoją ponoć piękną twarz wprowadzam pogodny uśmiech i poprawiam długie, złociste włosy. Niebawem odczuwam niemal takie uniesienie, zupełnie jakbym miała dostąpić wniebowstąpienia. Jednakże, o ironio losu, w to miejsce już za chwilę otwiera się przede mną wręcz jedna z bram piekła.

Nagle na przejściu dla pieszych zajeżdża mi drogę srebrzysty, sportowy kabriolet prowadzony przez samego Lucasa. Natomiast zajmujący siedzenie pasażera chłopak posyła na mnie z wiadra szeroki strumień kleistej cieczy, która jest naznaczona białymi drobinkami. W efekcie zostaję ochlapana galaretowatą breją z zawiesiną, jak się zaraz przekonuję, płatków białych róż.

Cóż za niewybredny pokaz romantyzmu. Myślę sobie mniej przestraszona, a bardziej zde gustowana żenującym dla mnie pokazem.

– Jutro w samo południe. Pamiętaj, Święta! – Wybuchając gromkim śmiechem, sportowcy odjeżdżają z piskiem opon. Pozostawiają mnie całą oblepioną ściekającą ze mnie różaną mazią. Przez to teraz już nie myślę ani o niebie, ani o piekle. Marzy mi się wyłącznie swego rodzaju czyściec, czyli możliwość przebrania się i porządny prysznic. Przyspieszam więc kroku i wkrótce docieram do domu moich krewnych, u których obecnie mieszkam

Goszczący mnie państwo Nelson: pani Elizabeth i jej mąż Benjamin, to już wiekowe osoby, które są na emeryturze. Z tego względu większość czasu spędzają w swoim domostwie. Zajmują parter, a ja poddasze, gdzie mam własną łazienkę i pokój.

Aby nie została zauważona w opłakanym stanie, korzystam z tylnego wejścia i cichcem przemykam się po schodach na piętro. Tutaj, zgodnie z postanowieniem, ale i koniecznością, najpierw się myję. Potem przebieram się w jedną z moich stonowanych sukienek. Wybieram taką w białym, moim ulubionym kolorze.

Aż do kolacji czas spędzam we własnym lokum, swojej pustelni. Sumiennie się uczę, co wypełnia mi w zasadzie każde popołudnie. Liczę, że w trakcie nauki w college'u zbiorę taką ilość punktów, abym mogła otrzymać stypendium. Mam na to duże szanse, szczególnie że konkurencja w szkole, do której uczęszczam, jest dla mnie właściwie żadna.

Tymczasem o dziewiętnastej schodzę na parter domu, żeby w towarzystwie krewnych zjeść ostatni posiłek dnia. Najpierw witam się z wujem Benjaminem, całując go w policzek. Ciotka Elizabeth na powitanie dostaje ode mnie dwa całusy. Pomagam jej nakryć do stołu i razem z nią do niego zasiadam. To samo czyni pan domu, który przed posiłkiem rozpoczyna tradycyjną tutaj modlitwę:

– Dziękujemy Ci, Boże, za te dary, które z Twojej dobroci będziemy spożywać. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

– Amen.

– Amen. – Jako ostatnia wyrażam swe dziękczynienie za żywność. Następnie razem z biesiadnikami raczę się warzywną zupą i chlebem.

Jak zwykle spożywamy posiłek w ciszy. W ten sposób okazujemy szacunek za pożywienie. Jednak po kolacji mamy też w zwyczaju rozmawiać:

– Jak tam w szkole, aniołku? – pyta mnie dobrotliwie Elizabeth, staruszka ze znamienitą kolekcją zmarszczek na twarzy i kokiem siwych włosów na głowie. Aby nie mącić spokoju jej umysłu, raczej nie mogę powiedzieć jej prawdy na zadane mi pytanie. Kłamać mi tym bardziej nie wolno. Dlatego odpowiadam wymijająco:

– Nauka cały czas idzie mi dobrze. Poza tym muszę się jeszcze przyzwyczać do nowego... towarzystwa. – Nie udaje mi się zachować kamiennego wyrazu twarzy. Czuję, jak przebiega mi po niej nerwowy tik. Nie uchodzi to uwadze Benjaminu. Korzysta więc, by powiedzieć to, o czym prawi mi przy każdej okazji:

– Niezmiennie uważam, że pobieranie przez ciebie dalszej nauki to błąd. W szkołach wyższych uczą coraz mniej przydatnych rzeczy. O zachowaniu dzisiejszych studentów już nawet nie wspomnę. Dlatego nie zmienię zdania. Powinnaś rzucić dalszą naukę. Powinnaś wyjść za mąż i założyć własną rodzinę. Albo wstąpić... do klasztoru.

– Wiesz, że zawsze liczę się z twoim zdaniem, wuju. – Spoglądam z respektem na surowe oblicze starca. Jest to osoba szczerą, o której śmiało mogę powiedzieć, że za dobre wynagradza, a za złe karze. W jego oczach nie czynię dobrze, kontynuując naukę. W związku z tym ten męczyzna bywa dla mnie dość szorstki:

– Skoro poważnie bierzesz pod uwagę moje zdanie, to przyjmij je w końcu, jako własne. Przestań bezproduktywnie ślęczeć nad książkami. Męża mogę znaleźć ci sam. Klasztor także.

– Benjaminie... – Elizabeth kładzie pomarszczoną dłoń na żyłastej dłoni męża. Tradycyjnie próbuje łagodzić sytuację. Ja bynajmniej nie zamierzam jej zaognić, przez co ugodowo oznajmiam:

– Jeśli nie otrzymam stypendium, przyjmę to jako wskazówkę z góry, że dalsze podążanie drogą nauki nie jest mi pisane. Wtedy pójdę do... klasztoru. Przyrzekam.

– Bóg mi świadkiem, że nadal błędzisz. Podobnie było z twoją świętej pamięci matką. – Wuj drapie paznokciami po blacie, co czyni zawsze, gdy mocniej się zirytuje. By tego mężczyznę choć trochę udobruchać, miękko proponuję:

– Pomódlmy się za spokój tego domu, spokój dusz zmarłych, a także za słuszne decyzje tych na ziemi, którzy jeszcze nie dostępują szczęścia u boku Pana.

– Pomódlmy się – podchwytuje ciotka Elizabeth.

Kolejne pół godziny spędzamy, żarliwie się modląc. Potem każde z nas powoli przygotowuje się do nocnego spoczynku.

Osobiście ze snem w moim pokoju czekam do godziny dwudziestej pierwszej. Zanim takowa nadejdzie, zaglądam do pudełka z kartami tarota. Są one czymś, czego sama nigdy bym nie użyła ze względu na moją wiarę. Trzymam jednak te karty z sentymentu. To pamiątka po moim zmarłym bracie, który był zafascynowany właśnie tarotem. Wiele mi o nim opowiadał, a nawet w tajemnicy przed rodzicami stawiał wróżby.

Kiedy zamykam pamiątkowe pudełko, o wyznaczonej porze, czyli godzinie dwudziestej pierwszej, polykam pigułkę antykoncepcyjną. Oczywiście nie przyjmuję jej, aby uniknąć ciąży. Jestem dziewicą i pragnę już w czystości pozostać. Takie medykamenty przepisał mi lekarz z powodu moich nieznosnych bóli menstruacyjnych. Były tak silne, że nieraz uniemożliwiały mi uczęszczanie do szkoły lub na mszę świętą. Przyjmując regularnie pigułki, już nie miewam takich problemów. Niestety nie na wszystko istnieją proste remedia...

Zasypiając, myślę z pewnym niepokojem o jutrzejszym wyzwaniu rzuconym mi przez Lukasa. Zastanawiam się, do czego może się on posunąć i do czego być jeszcze zdolnym wobec mnie, gdy mu się sprzeciwię.

Dzisiaj dostałam już próbkę tego, co znaczy być na celowniku. Z punktu widzenia mej wiary może powinnam być nawet dumna z tego powodu, że dane mi jest okazywać dowody duchowej siły, ponosząc trudy przy wystawianiu na pokuszenie. Lecz w skrytości mego serca muszę

przyznać, że chętniej, niż publicznie pokonywać piętrzące się przede mną trudności, wolałabym się raczej odizolować i zaszyć w pustelni. Najchętniej tu, w tym umiłowanym przez Boga domu. Ostatecznie zaś spokoju być może szukałabym nawet we wspomnianym przez wuja Benjamina... klasztorze.

Najbliższy czas zapewne zweryfikuje, do czego jestem ostatecznie predysponowana. Czy odnajdę się w wielkim świecie, czy też przyjdzie mi się przed wielkim światem schować.

## II. Tarot – Głupiec

Karta tarota Głupiec pokazuje nam, że być może dotąd błędziliśmy. Uwrażliwia nas na zmiany i symbolizuje nowy początek. Daje nadzieję i poczucie zaufania do rozpoczęcia czegoś nowego. Karta ta podpowiada, że nie należy za wszelką cenę kurczowo trzymać się tego, co było i sugeruje, by dać szansę temu, co nadchodzi.

\*

W męskiej toalecie stoję tuż przed Lucasem. Szerokim półkolem otacza mnie kilkunastu graczy drużyny futbolowej. Pośród męskiego towarzystwa czuję się całkiem bezbronna, zupełnie niczym białe jagnię osaczone przez watahę złowrogich wilków. Największą zaś słabość odbieram wobec przywódcy watahy zwanego Wodzem.

Na jego skinięcie powoli, jak ze zdziwienia, rozchyłam usta. Niespiesznie zwilżam je różowym językiem, wodząc nim odpowiednio wzdłuż dolnej i górnej wargi. W kolejności wychylam do przodu i ku górze głowę.

Zaczynam zamykać oczy i tak jak moje powieki coraz mocniej opadają, tak usta rozwierają się coraz szerzej. Aż kiedy nic nie jest dane mi już widzieć, zstępuję w swoistą ciemność, w której tonę. Wtedy, w tych mrocznych odmętach, całą sobą jedynie czuję. Odbieram jednak już nie tylko własną osobę, ale wilgotnymi wargami muskam, dotykam, smakuję...

– Nie! – Złana potem raptownie budzę się w swoim łóżku. Gwałtownie siadam, silnie przyciskam do piersi kolana i szybko, bardzo szybko oddycham.

W szoku drżącą od nadmiaru emocji dłońią dotykam ust. Nerwowo uśmiecham się, czując, że są suche. Odczuwam ulgę, ale tylko przez chwilę. Odnoszę bowiem wrażenie, jakby na moich wargach coś pozostało. Coś ze snu. Tym czymś zaś wydaje się być nieakceptowalna w tym przypadku... przyjemność.

– Grzesznica, nierządnic! – Zdawszy sobie sprawę, o czym akurat fantazjuję, gniewnie siebie karzę. Byle tylko przerwać ten obłąd, swawolenie szatana na mnie.

Zeskakuję z łóżka i klękam. Żarliwie się modlę, ale moja świadomość i tak koncentruje się na moich suchych, aczkolwiek rozpalonych ustach. To uczucie jest nie do zniesienia, podobnie jak nawiedzające mnie obrazy ze śnionego dopiero co erotycznego koszmaru.

Dochodzę do wniosku, że aby odwieść się od złego, muszę jak najszybciej doświadczyć boskiej łaski. W pośpiechu ubieram się, po czym tuż po brzasku wychodzę z domu.

Ciągle roztrzęsiona przemierzam opustoszałe o tej godzinie ulice miasta. Szybkim krokiem docieram do kościoła i w jego wnętrzu wreszcie zaznaję ukojenia. Stygnie me ciało, a wraz z nim serce i bluźniercze myśli we mnie. Choć moja dusza nie zostaje całkiem oczyszczona. By

tak się stało, muszę przystąpić do sakramentu spowiedzi i świętej komunii. Lecz wcześniej czeka mnie nie lada wyzwanie. Mianowicie pobyt w szkole i pokusa do pokonania.

\*

– Cześć... Liliana. – Przed salą do matematyki chcę się przywitać z moją koleżanką. Ona jak nic mnie słyszy i zauważa kątem oka. Mimo to, zamiast odpowiedzieć, jedynie w moim kierunku zarzuca swe rude włosy. Czyni gest sugerujący, że tylko poprawiała fryzurę. Za to Angeliny Evans, szkolnego wyrzutka, w ogóle nie dostrzegła, ani nie słyszała. Tak samo traktuje mnie reszta studentów, jak ducha.

Sytuacja ulega zmianie podczas trwania lekcji, bo widać wieści na mój temat rozpełzają się po szkolnych korytarzach niczym węże. Przez to co raz z którejś strony docierają do mnie jadowite posykiwania:

- O dwunastej...
- W samo południe...
- Ma się z nim całować o dwunastej...
- Zrobi to w męskim kiblu...
- Musi...

Takie słowa sprawiają, że czuję wyłącznie palący mnie wstyd i zażenowanie. Ponadto kieruję wzrok tam, gdzie nie będę musiała go z żadnym z mych szyderców krzyżować.

– Angelina! – Kolejne słowa, tylko wypowiedziane dla odmiany głośno i wyraźnie, kieruje do mnie matematyczka. – Co jest tak ciekawego pod ławką, że ciągle tam spoglądasz?

– Jej święta cnotliwość. – Ktoś z tylnych rzędów dzieli się błyskotliwą uwagą. Odpowiada temu wybuch śmiechu na sali. Śmieje się także siedząca koło mnie Liliana, która przy okazji odsuwa się od mojej osoby.

Ja spoglądam na nauczycielkę rozbieganym ze zdenerwowania wzrokiem. Już chcę się kajać, ale kobieta mnie ubiega:

- Do tablicy, Evans. Może bliższy kontakt z całkami pozwoli ci się lepiej skoncentrować.

Zgodnie z poleceniem wstaję. Opuszczając swoje miejsce, mocno ściągam ku dołowi długą spódnicę. Wywołuje to chichot studentów. Ich poniżające mnie zachowanie sprawia, że staję się coraz bardziej rozkojarzona.

– I znowu błąd, Evans. Co ty robiłaś ostatniej nocy zamiast się uczyć, co? – Ta niedwuznaczna uwaga nauczycielki powoduje, że salą ponownie wstrząsa szyderczy rechot. Najmocniej, niczym sama ropucha, rechoce Liliana.

Nagle nie wytrzymuję presji i na odchodne płaczliwie rzucam:

– Przepraszam, ale muszę do... toalety. – Wychodzę z pomieszczenia, a ktoś życzliwy nie omieszka mi głośno dociąć:

- Tak ci się spieszy do Lucasa? Myślisz, że już czeka na tve namiętne całuski?



– Cisza! Spokój! – Matematyczka próbuje zapanować nad niesfornymi studentami. Ci jednak, po ostatnich słowach jednego z nich, wręcz pokładają się ze śmiechu.

Wesoło jest chyba wszystkim, tylko nie mi. Jak nigdy dociera do mnie, że w ogóle tu nie pasuję, co każdy już próbuje mi udowodnić. Oczywiście jest też, że w mojej obronie nie stanie tutaj nikt i nie mam co liczyć na sojuszników. Uświadamiam sobie, że w tym miejscu może być tylko gorzej.

Na szczęście wiara pozostaje mą siłą. Dzięki temu w damskiej toalecie, gdy patrzę w lustro, odnajduję w sobie moc, by się nie załamywać. Lecz dzieje się coś jeszcze, coś przełomowego.

Uderza mnie, jaka byłam dotąd uparta i głupia, nie słuchając rad mądrzejszych ode mnie osób, bardziej doświadczonych życiowo i przez to znających świat lepiej niż ja. Widać wuj Benjamin nie mylił się i od dawna kierował mnie na właściwą, prawą drogę. Co innego ja, ta krnąbrna, która zbłądziła, unosząc się próżną dumą.

Arogancko zapragnęłam wywyższać się, studiować i oto mam tego zgubne dla siebie skutki. Na swoje usprawiedliwienie mogę mieć tylko to, że do takiej decyzji poniekąd nakłoniła mnie świętej pamięci matka. W tajemnicy przed ojcem namawiała mnie, abym zdobyła wyższe wykształcenie. Zapewne chciała mnie ustrzec przed byciem w przyszłości zależną materialnie od męża. Ale przecież moje zamążpójście i tak nigdy nie będzie miało miejsca. Oczywiście już jest, że moje przeznaczenie to miejsce świętej modlitwy z dala od pokus zepsutego świata. Byłam taka głupia, że tego wcześniej wyraźnie nie widziałam. Całe szczęście Pan poddał mnie ciężkiej próbie, za sprawą której otworzył mi oczy i jak za rękę zaprowadzi prosto do klasztoru.

Uspokojona na duszy ostatni dzień w szkole postanawiam spędzić, pokazując wszystkim me niewzruszone oblicze. Każdemu dam dowód tego, jak niezłomną można być, kiedy jest się otoczoną boską opieką. W tym celu wyjmuję spomiędzy miseczek stanika wiszący tam złoty krzyżyk i ostentacyjnie noszę go na wierzchu ubrania. Niech widzą, niech patrzą i niech... szydzą:

– Święta...

– Święta.

– Święta!

Czekam do południa. Wtedy z zadartym podbródkiem idę szkolnym korytarzem. Mam do wykonania proste, nadane mi przez Pana zadanie. Przejdę koło męskiej toalety, nawet tam nie spoglądając. Moją drogę będę kontynuować aż do gabinetu dyrektora, któremu oświadczę, że rezygnuję z dalszej nauki.

Tak jak się spodziewam, na korytarzu robi się zbiegowisko. Studenci, ludzie słabej wiary, chyba naprawdę skłonni są podejrzewać, że mogłabym przyjąć ofertę Lucasa. O nie, nigdy w moim bogobojnym życiu.

Z niewymowną ulgą, zupełnie jak łuk triumfalny, mijam męski wychodek. Jestem przekonana, że nic nie może mnie powstrzymać, abym choćby zwolniła kroku. Ja jednak przystaję i zupełnie nie mogę się ruszyć. Nie bez powodu zresztą, który jest dla mnie druzgocący:

– Święta! – krzyczy z toalety Lucas. – To prawda, że w Teksasie usmażyłaś w samochodzie swoich rodziców i brata, całą swoją rodzinę? Jak ci się wtedy prowadziło szatański wóz?!

Wszystkie oczy studentów, a są ich tu dziesiątki, nagle wpatrują się we mnie już nie jak w świętą, a jak w diabolicę. Ja zaś nie mogę zaprzeczyć temu, że a i owszem jestem bestią. Za to, co kiedyś zrobiłam, i co zostaje właśnie publicznie obnażone, jestem na wieki potępiona. Nie ma ucieczki przed tym, przed czym najbardziej pragnęłabym się skryć. Poczucie winy wytropi mnie zawsze i wszędzie, by nie dać mi normalnie żyć.

Wtem z toalety wychodzi Lucas, po czym zalewa mnie wiadrem wody. Tym razem już bez żadnych płatków róż. W szoku czuję, że tonę, a jednocześnie płonę. Zabliźnione rany się otwierają, mój koszmar ożywa na nowo.

– Podobno doprowadziłaś do wypadku nad jeziorem. Twoja rodzina płonęła w samochodzie, podczas gdy ty w najlepsze pływałaś sobie w wodzie. Skoro jej tyle miałaś wokół, czemu nie ugasiłaś pożaru? Czemu dałaś rodzinie spłonąć?

Stoję, jak martwa, niczym zamieniona prawdą o mnie w słup soli. Spływają ze mnie strugi wody. Ściekają krople łez. Ale nawet cały ocean nie ugasi trawiącego mnie ognia wyrzutów sumienia. Odkąd przyjechałam do Crestone, te płomienie przygasły. Jednak ten żar ciągle się we mnie tlił. Wystarczył jeden podmuch złowrogiego wiatru i oto znów stoję w piekielnej pożodze.

W mym na powrót otwartym piekle ja, zdemaskowana diabolicą, zauważam na korytarzu nową postać. To nieznany mi mężczyzna: wysoki, postawny brunet ubrany w czarne skóry. Patrzy on na mnie kompletnie przemoczoną i we łzach. Podchodzi do Lucasa, wytyka go palcem i ostro do niego posykuje:

– Musisz tak drzeć mordę?

– Nie twoja sprawa, Mike.

– Jesteś pewien, że nie moja?

– Tak, bo teraz college to mój teren, nie twój i bawię się tutaj, jak chcę.

– Uważasz, że to co tu robisz, jest zabawne?

– Kurwa, bardzo.

– Nie zmienisz zdania?

– Raczej nie, Mike.

– To co powiesz na taką zabawę? – Nagle brunet uderza czołem w twarz Lucasa. Ten rozplaszcza się na blaszanych szafkach. Z jego pękniętego nosa obficie tryska krew. Zanim by się ogarnął, otrzymuje szybką sekwencję ciosów pięściami w pokiereszowaną facjatę, korpus i

brzuch. Ostatnie uderzenie jest mu wymierzone kolanem w krocze. Po nim Wódz pada na parkiet i półprzytomny zwija się z bólu.

– To Mike...

– Mike Damon wrócił.

– To naprawdę on?

– No tak...

– Damon powrócił...

Słyszę pełne przejęcia słowa studentów, którzy razem ze mną są świadkami brutalnej sceny pobicia. Lecz okazuje się, że pozostał jej jeszcze jeden i to najbardziej upiorny akt:

– Porozlewałeś wodę, koleś. Wszędzie jej pełno, a ja nie lubię wody. Wolę ogień: –

Powiedziawszy to, brunet zapala zapalniczkę nad głową Lucasa, a płomień spryskuje sprejem.

Raptem wydaje się, zupełnie jakby osoba nazwana Damonem zionęła ogniem. W rezultacie płowa czupryna Wodza zajmuje się płomieniami.

– Ugaście go...

– Ty go ugaś.

– Sam to zrób.

Studenci popiskują jak trwożne myszy w obliczu ostrych szponów kocura. Decydują się ugasić Lucasa dopiero, gdy Mike od niego odchodzi. Swe wolno stawiane kroki kieruje do mnie.

Ponownie w ostatnim czasie zamieram. Spoglądam na tego mężczyznę pełna mieszanych uczuć, bo jak na archanioła z mieczem, który mnie obronił, ale też niczym na wcielenie samego diabła.

On staje przede mną. Z kąśliwym uśmieszkiem na twarzy mi się przygląda i bawi się pasemkiem moich złotych włosów. Potem nachyla się ku mnie i wyjątkowo niskim głosem powarkuje:

– Nic się nie przejmuj. Ja też zabiłem swoich starych. Spaliłem ich tak jak ty. Witam w klubie piekielnych zabójców. – Poklepuje mnie poufale po plecach, a na pożegnanie rzuca gromko do wszystkich: – Jeśli ktoś jeszcze tknie, albo choć krzywo spojrzy, na tego mokrego aniołka – wskazuje na mnie – to spalę. Spalę na popiół! I... to prawda. Mike Damon do was wrócił. Powrócił, aby się razem z wami dalej... uczyć.

Budzący moje skrajne emocje mężczyzna niespiesznie odchodzi korytarzem. Wyglądam w ślad za nim. Patrzę na jego szerokie plecy opatulone czarną, skórzaną kurtką, na której ma wymalowany czerwony pentagram.

Jednocześnie otaczają mnie uczniowie. Jeden przez drugiego się grzecznie przedstawiają. Za coś przepraszają. Pytają, czy nie potrzebuję w czymś pomocy. Ktoś wyciera mi ręcznikiem mokre włosy. Kto inny proponuje na moje stopy własne, suche buty. Robi się coraz dziwniej, wręcz groteskowo.

– Angelina, Angelina! – Do pewnej przytomności przywraca mnie potrząsanie za ramię przez Lilianę. Pokazuje mi ona błękitną sukienkę i słodko szczebiocze: – Tylko zobacz. Między lekcjami kupiłam tę kieckę dla siostry. Ona ma podobne kształty do twoich. Przymierz, załóż, na pewno będzie pasować. Oddasz mi kiedyś przy jakiejś tam okazji. Albo co tam. Wcale nie oddawaj! To prezent ode mnie, od twojej najlepszej przyjaciółki! – Moja koleżanka, niedawna zdrajczyni, dla której nagle nie jestem już zjawą, macha niedbale ręką i na siłę wciska mi suknię.

Ja czekam, aż się przebudzę z tego niezwykłego snu. On jednak trwa i trwa, o dziwo, coraz bardziej przypominając jawę. Ta bajka, w której okazuję się Kopciuszkiem, naprawdę chyba stanowi moje realne życie. Utwierdzają mnie w tym dalsze wydarzenia.

Podczas kolejnych lekcji, jako ta, którą zainteresował się budzący tu respekt Mike, jestem traktowana z wielkim szacunkiem. Sprawia to, że rodzinna trauma ostatecznie nie spycha mnie dziś do piekielnej otchłani. Ta rana całkiem się nie otwiera i nie broczy obficie krwią, na co się już zanosilo.

Co zaś dokładnie wydarzyło się pewnej feralnej nocy w Teksasie? Podobno to, co na moim miejscu mogło się przytrafić każdemu i za co ponoć nie ponoszę winy.

Prowadziłam samochód i za zakrętem trafiłam na rozlaną plamę ropy. Nie przekroczyłam prędkości, ale wpadłam w poślizg. Wóz wypadł z drogi i uderzył w przesło mostu. W wyniku uderzenia drzwi koło mnie się otworzyły. Nie byłam przypięta pasami i wypadłam prosto do jeziora. Tonęłam, widząc, jak plama ropy się zapala, a ogień zbliża się do samochodu. Potem stanął on w płomieniach i wybuchł.

Ten ogień, ta woda. Groza tamtych straszliwych chwil będzie mnie już zawsze prześladować. Lecz taka była ponoć wola wszechmocnego Boga, który przedwcześnie zabrał mi ukochaną rodzinę, czyniąc to moją ręką...

Tymczasem obecnie zupełnie nieoczekiwanie nastają dla mnie diametralnie odmienne chwile. Po zajęciach przy wyjściu ze szkoły klęka koło mnie nie kto inny, jak Brzydki Edd. Wręcza mi bukiet kolorowych kwiatów i błagalnie jęczy:

– Przepraszam za tamte wygłupy na korytarzu. To Lucas mnie zmusił. Z własnej woli nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Nawet bym tego nie wymyślił. Za głupi jestem.

– Dziękuję za kwiaty. – Odbieram bukiet. Oddycham pełną piersią i w nowej, rażąco wyzywającej sukni z głębokim dekoltem, i ponad kolana, idę przez środek parkingu.

– Angelina! Podrzucić cię?!

– Chodź do nas, mamy wolne miejsce!

– Hej, akurat jadę w twoją stronę!

– Ładuj się do nas, Angelina!

Wobec nagłego natłoku propozycji podwózki do domu dostają niemal zawrotów głowy. Z różnych samochodów machają do mnie uśmiechnięci studenci. Raptem czuję się, jak w biblijnym raju i tylko nie wiem, na który owoc się skusić.

– Angelina... właśnie koronowana królowo, a może wybierzesz mnie? – Podjeżdża do mnie Liliana i nieśmiało zachęca, bym się akurat do niej dosiadła. Znam ją, jako jedyną ze studentów, trochę bliżej, a pragnę z kimś porozmawiać, najlepiej z kimś kogo łatwo pociągnąć za język. Zajmuję więc miejsce koło kierowcy w rozklekotanym Chevrolecie. Gdy wyjeżdżamy na szosę, niewinnie zapytuję:

– Ten cały... Mike.

– Mike Damon?!

– No tak...

– Co z nim?!

– Kto to właściwie jest?

– Rety... naprawdę nie wiesz? – Ruda dziewczyna przewraca oczyma, po czym spieszy z wyjaśnieniami: – Mike to twardziel, jak nikt. Do niedawna trząsał całym Crestone. To miasto należało do niego. Potem zniknął, podobno wyjechał do Los Angeles, by robić tam szemrane interesy na większą skalę. No ale teraz widać powrócił. I to jak powrócił. To się w pale nie mieści, jak rozsmarował Lucasa! – Liliana uderza dłonią w klakson, chociaż nikt nie zagradza jej drogi. Następnie zazdrośnie na mnie zerka i jakby dyskretnie mówi: – Wcześniej Mike miał tu dziewczynę. Z wyglądu i zachowania była trochę podobna do ciebie. Może nawet bardzo podobna. No wypisz wymaluj ty! Nazywał ją... aniołkiem, jak teraz nazwał ciebie. Zrobił z niej w Crestone prawdziwą królową. Jeżeli więc obecnie upatrzyłby sobie twoją osobę, to kobieto... – Liliana udaje, że z wrażenia omdlewa. Jednocześnie bierze głęboki zakręt przed mój dom, gdzie się zatrzymuje. W kolejności spogląda na mnie i ucieszenie proponuje coś, czego mi jeszcze nigdy nie proponowała: – Jutro za kwadrans ósma w tym miejscu? No bo co będę cię tylko odwozić do domu. Mogę cię też stąd zabierać! – Zastyga ze sztucznym uśmiechem. Ja pozostaję niezmiennie poważna. Ponadto wewnątrz siebie odbieram coś nowego, niezrozumiałe dla mnie podekscytowanie.

– Bądź jutro o wpół do ósmej – wydaję polecenie, jak mojemu szoferowi, co sprawia mi nieprzyzwoitą satysfakcję. Później opuszczam samochód.

– Z przyjemnością będę nawet o siódmej, aniołku! – rzuca na do widzenie Liliana. Nie zawracam już nią sobie głowy, tylko idę do frontowych drzwi domu.

Po przekroczeniu progu Elizabeth nie wita mnie. Jedynie wyraźnie zmieszana patrzy na mój wyzywający strój i kwiaty w ręku.

Ponure milczenie zachowuje także siedzący za stołem Benjamin. On do kompletu wyjątkowo mocno orze paznokciami blat.

Osobiście czynię ku krewnym lekki ukłon, po czym pospiesznie przemykam do swego pokoju. W nim padam, jak nieżywa, na łóżko i zamykam oczy.

Nie otwieram ich, tylko natrętnie myślę o nieprzebranych gąszczu pokus, które nagle oplatają mnie niczym zdradliwe pnącza pełne ostrych cierni. Nie wiem, jak się z nich wyplątać. Co więcej, wcale nie jestem pewna, czy chcę się z nich wyzwolić, czy raczej pragnę być zniewolona.

Oto wystarcza jeden incydent, a cały mój system wartości chwieje się w posadach. Jestem kuszona do złego i zamiast odważnie się temu przeciwstawić, po części ulegam. Fantazjuję bowiem na temat tego, co by było, gdyby rzeczywiście mocniej zainteresował się mną niezwykle Mike. Ta myśl atakuje mnie bezwzględnie jak wysoka gorączka, od której zaczynam płonąć.

Zaraz powtarzam sobie, zaklinam rzeczywistość, że nic więcej się już nie wydarzy. Na pewno nie. Nie może. Mike nie będzie sobie mną zawracał głowy. Lecz co znamienne o wstąpieniu do klasztoru już nawet nie myślę. Z równą łatwością porzucam myśli o odejściu ze szkoły. Za to z niezdrowym pobudzeniem dumam o tym, co mi przyniesie kolejny dzień. Co się stanie, jeżeli Mike Damon znów powie do mnie... aniołku?

Za dużo zwodniczych fantazji. Zbyt wiele ekscytacji. W rezultacie tego popołudnia nie jestem już w stanie się uczyć. Przebieram się więc we własne, bardziej stonowane ubranie i postanawiam pójść tam, gdzie w chwilach duchowego pomieszania zawsze otrzymuję stosowne wsparcie.

- Wychodzisz? – rzuca do mnie zaskoczona Elizabeth.
- Tak ciociu, wychodzę. – Kieruję się do wyjściowych drzwi.
- Ale wrócisz na kolację, prawda?
- Chyba tak. To znaczy.... Oczywiście, że wrócę!

Już jestem na zewnątrz. We wrześnieowym skwarze idę szybkim krokiem prosto do mego sanktuarium, czyli do kościoła.

Na miejscu czuję wreszcie ulgę, spokój i pokorę zalewające mą duszę. Zawsze tak kojąco działa na mnie aura sakralnych przybytków.

Przemierzam rząd drewnianych ław, przyglądając się wielobarwnym witrażom prezentującym święte osoby. Klękam i żegnam się przed ołtarzem, po czym kieruję się w pobliże konfesjonału.

Zauważam, że w środku jest ksiądz. Zajmuję więc odpowiednie ku temu miejsce na kolanach i przystępuję do sakramentu spowiedzi:

- Pragnę wyznać grzechy, ojcze.
- Słucham zatem, córko.
- Zgrzeszyłam myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem.

– Jak każdy z nas, moje dziecko, jak każdy. Wszak Pan ciągle poddaje nas próbom. Lecz czyni to, abyśmy mogli dać świadectwo prawdzie i swemu oddaniu dla niego.

– Nie byłam mu oddana, zbłądziłam myślami.

– Wyznaj te grzeszne myśli, aby z miłości Pana zostały ci odpuszczone.

– Złorzeczyłam nieprzyjaciołom.

– To znaczy?

– Sprawilo mi przyjemność, gdy mój wróg legł u moich stóp cierpiący i pokonany.

– Żałujesz tego?

– Nie do końca, ojcze.

– Wiesz, że powinnaś wyrazić skruchę.

– Wyrażam ją. Ale w duchu wciąż czuję radość z powodu cierpienia mego krzywdziciela.

– Zwalczysz to uczucie zadaną ci pokutą, modlitwą.

– Dziękuję, ojcze.

– Czy coś jeszcze pragniesz wyznać?

– Poczułam coś...

– Tak?

– Poczułam coś... niestosownego do obcego mężczyzny.

– Chodzi o miłosne uczucie?

– Może raczej... zauroczenie. Takie lekkie zauroczenie.

– To naturalne, że czasem serce otwiera się nam na drugą połówkę. Nie ma w tym nic niestosownego, a wręcz przeciwnie.

– Ale czy serce nie powinno być zarezerwowane jedynie dla miłości do Boga?

– Nie miałaś wcześniej chłopaka?

– Nie, nigdy, nie śmiałabym.

– Zatem spróbuję cię nieco ośmielić.

– Ale...

– Posłuchaj...

– Tak?

– Miłość pańska ma nieprzebrane oblicza. Przez to jej cud można odnaleźć w niezliczonej ilości zjawisk. Lecz miłość to po prostu miłość. Kiedy więc kochasz Boga, jest to miłość. Gdy rodzic kocha swoje dziecko, to także miłość. Kiedy przyjaciele darzą się wielkim szacunkiem i pomagają sobie, dają tym samym wyraz wzajemnej miłości. Albowiem każda sytuacja, w której myślisz o bliźnim z zachwytem, to dostrzeżenie w nim boskiej cząstki, to miłość. Zatem nie ma powodu, abyś wzbraniała się przed czystym uczuciem do wybranego mężczyzny. Ponieważ zakochywanie się to nic innego, jak jaśniejąca, uniwersalna, boska...

– Miłość...

– Tak, drogie dziecko.

– Do tej pory widziałam to trochę inaczej. Byłam taka głupia, przepraszam.

– Nie czyn sobie wyrzutów, to niepotrzebne. Nasz Pan i tak cię kocha. Kocha bez względu na wszystko.

– Bardzo dziękuję za cenne wyjaśnienia, ojcze.

– Podziękuj Bogu i nie lękaj się tego, na co otworzy on twoje serce.



### III. Tarot – Kapłanka

Karta tarota Kapłanka odsyła nas do naszej intuicji. Sugeruje, że odpowiedzi na fundamentalne pytania dotyczące nas samych należy poszukiwać wewnątrz siebie. To tam bowiem skrywana jest największa mądrość, która kieruje do pełnej realizacji i prawdziwego szczęścia.

\*

Święta spowiedź, przyjęcie Najświętszego Sakramentu i przede wszystkim nauki księdza sprawiają, że noc po niezwykłych wydarzeniach w college’u spędzam, śpiąc w błogim spokoju. Także rano ciągle jestem jakby natchniona Duchem Świętym. Dzięki temu na zajęcia w szkole zmierzam pełna odwagi i z otwartym sercem. Cokolwiek ma się teraz w moim życiu wydarzyć, sądzę, że jestem już na to gotowa.

– Chyba jako jedyna chcesz nam opowiedzieć o bitwie pod Gettysburgiem, Angelino. Czemu mnie to nie dziwi? Zatem proszę. Pokaż tym nieukom, jak wspaniale można opisać starcie, które w dużej mierze przesądziło o tym, iż żyjemy obecnie w takim, a nie innym kraju. Ponadto zjednoczeni, a nie podzieleni. Zapraszam, moja prymusko. – Na lekcji historii nauczyciel łagodnie zwraca się do mnie, która znów jako jedyna podnosi w klasie rękę. Towarzyszą temu zachęty, a nawet oklaski pozostałych uczniów. Natomiast siedząca koło mnie Liliana przysuwa się do mnie tak blisko, że aż dotykamy się ramionami.

Ta pozytywna atmosfera sprzyjania mojej osobie jest zupełnie inna od tego, co miało miejsce wczoraj o tej porze na lekcji matematyki. Chociaż z pewnym zakłopotaniem uświadamiam sobie, że mam teraz studentów po swojej stronie chyba nie dlatego, że roztaczam wokół siebie boską aurę, a raczej iście diabelską Mike’a Damona.

Na szczęście nie przeszkadza mi to płynnie przedstawić kilkunastominutowej prelekcji na zadany przez historyka temat. Choć o wspomnianej bitwie mogłabym mówić nawet godzinę.

Kiedy zaś bardziej szczegółowo opisuję krwawe szarże i kontrofensywy, oczyma wyobraźni widzę, jak Mike katuje mojego prześladowcę, Lucasa. Tym samym w moim wybawicielu widzę poniekąd zwycięskie wojska unionistów, a pokonany Wódz to przegrani konfederacji.

Wspominam również, że historyczne starcie na polach w pobliżu Gettysburga odwróciło losy wojny i od tamtej pory dominowała w niej już tylko jedna strona, Północ. Zastanawia mnie więc, czy podobnie może wyglądać moje życie po wygranej Mike’a nad Lucasem? Czy u boku zwycięzcy już zawsze mogłabym się cieszyć taką, jak obecnie, estymą, poważaniem?

– Dziękuję ci, Angelino. Jak zwykle ze swą znajomością historii byłaś perfekcyjna. – Pochwałom nauczyciela towarzyszy studencki aplauz. – Przypominam, że na następnym spotkaniu omówimy skutki zamachu na prezydenta Abrahama Lincolna.

Wraz z końcem lekcji tym razem nie czekam, aż wszyscy opuszczą salę. Przede wszystkim nie jest to możliwe dlatego, że Liliana waruje dziś przy mnie wiernie, jak pies. Poza tym między studentami mogę się obecnie poruszać zupełnie swobodnie. Kiedy bowiem idę pomiędzy uczniowskimi ławkami, każdy zwraca na mnie uwagę. Każdy schodzi mi z drogi i nawet nie ma mowy o tym, bym została przez kogoś potrącona. Odnoszę wręcz wrażenie, że brakuje już tylko tego, aby na szkolnych korytarzach rozścielano przede mną miękkie dywany. Takowymi jeszcze tu nie jestem raczona, za to napotykam tutaj głodnym wzrokiem kogoś przeze mnie skrycie wypatrywanego.

– To on, idzie w twoim kierunku, w naszym. O retę... – szepcze do mnie z przejęciem Liliana. W drodze z sali do sali zajmuje ona koło mnie miejsce bliżej ściany, abym zmierzała centralnie na kroczącego ku nam Mike'a.

On nie idzie sam, tylko w otoczeniu swoich naśladowców. Młodzików, którzy także zarzucają na siebie czarne skóry ozdobione pentagramami.

Damon wyróżnia się między nimi tym, że jest wyższy, postawniejszy i starszy. Ma widoczny tatuaż na po części odsłoniętej klatce piersiowej, a na niej gęstą plątaninę naszyjników z rzemieni, koralików, ale też klów i pazurów. Jego budzącą respekt prezencję kwituje podekscytowanym głosem Liliana:

– Przypomina gwiazdę rocka. Bardzo niepokorną, niegrzeczną gwiazdę rocka. Nawet wolę nie fantazjować, co on robi z grzecznymi dziewczynkami. Ale i tak jestem już mokra. Ależ on wygląda...

– Wygląda jak diabeł – oświadczam bezwiednie i onieśmielona odwracam wzrok od mężczyzny, kiedy mnie mija. Choć pokusa po części we mnie zwycięża. Przez to na moment ukradkiem prześlizguję spojrzenie po jedynym w swoim rodzaju nowym studencie.

On, pogrążony w beztroskiej rozmowie z innymi chłopakami, w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Wydaje się mnie nie rejestrować wzrokiem, zupełnie jakbym znów była duchem.

– Ups... Coś chyba poszło nie tak. – Liliana kwaśno komentuje obojętność Mike'a na moją osobę.

Osobiście wmawiałam sobie dotąd, że jestem obecnie gotowa na każdą ewentualność i zwyczajnie przyjmę każdą wolę boską z pokorą. Zatem bez względu na to, co się stało, chyba powinnam czuć spokój, a nawet zadowolenie. Czemu więc w to miejsce doświadczam w sercu uczucia, jakby ktoś wte i wewte przejeżdżał po nim tarką? Nie jest to dobre uczucie, co chyba potwierdza wyraz mej twarzy.

– Zmarkotniałaś... skapcianałaś – zauważa trafnie moja koleżanka, po czym wbija mi nóż we właśnie zranione serce. – No nie dziwię ci się. Ja na twoim miejscu chyba bym... się powiesiła.

Robiąc dobrą minę do złej gry, strzelam sztucznym uśmiechem. Ale ten na moim licu natychmiast blaknie. Mike pozostaje w świetnym nastroju, a mnie zalewa fala smutku. To chyba nie tak miało być. Moje dojmujące rozczarowanie staje się niezaprzeczalnym faktem.

– Nie przejmuj się. Może jeszcze nic straconego. – Na pocieszenie Liliana gładzi mnie po włosach. – Drugie podejście będzie na stołówce w porze lunchu – zaznacza. Ale już luzuje przywiązanie do mnie. Nagle macha do kogoś, coś pokrzykuje i mnie opuszcza. Czy zostawiłaby mnie, gdyby Mike choć na mnie zerknął? Oczywiście, że nie.

Mimo wszystko w porze posiłku ponownie mam ją koło siebie. Zasiada ze mną przy stoliku i bacznie obserwuje postawnego bruneta w skórach, który właśnie wkracza na stołówkę. Zresztą, jak cieleńta, gapią się na niego chyba wszyscy. Tylko ja udaję, że nie spoglądam w jego kierunku i niby koncentruję uwagę na obiadowym talerzu.

Z kolei Damon dosiada się do stolika, a i owszem. Lecz nie do mojego, a pięknej dziewczyny, blondynki, która przewodzi grupie chliderek, a zwie się Sandra.

Ta jest nagle rozpromieniona. Uśmiecha się tak szeroko, że kąciki ust sięgają niemal jej zakolczykowanych na złoto uszu. Nalewa mężczyźnie colę i przysuwa się do niego tak blisko, że prawie się do niego tuli.

O czymś rozmawiają, a blondynka na każde zdanie Mike'a parska śmiechem i go dotyka. Najpierw w ramię, potem w klatkę piersiową. Aż podpira mu dłonią kwadratowy podbródek i szepcze coś do ucha.

Męska twarz przyjmuje wyraz rozkosznego zadowolenia, a męska ręka obejmuje dziewczynę. Wszystko to rozgrywa się na moich, i nie tylko moich, oczach. Do tego przebiega błyskawicznie i wydaje się zmierzać tylko w jednym kierunku. Moje obserwacje potwierdza smętnie Liliana:

– Jak powie do niej... aniołku, no to kaplica. Już po tobie. – Carterówna wstaje i na pożegnanie rzuca: – Idę, może uda mi się coś ciekawego podsłuchać.

Jestem świadkiem tego, jak wokół najatrakcyjniejszej pary na stołówce gromadzi się coraz więcej osób. Ktoś tam niby od niechcienia opiera się o blat. Kto inny w te okolice ściga toczące się po podłodze jabłko, które specjalnie tam posłał. Kto inny jeszcze popycha w tę stronę kogoś, a jak już dopchnie, to zostaje na miejscu. Bywa też, że studenci po prostu tam idą i sterczą.

Raczej, a nawet na pewno, nie wezmę udziału w tym zbiegowisku. Bo niby po co, aby być może świadkiem rychłych zaręczyn i jeszcze druhną?

Myśląc tak sarkastycznie, odnajduję w sobie tkwiącą we mnie zadrę. Lecz nie ma ona materialnego charakteru, a duchowy. To świdrująca me wnętrze zazdrość. Skąd ona się u mnie wzięła zupełnie nieproszona? Nie rozumiem tego. Nie bardzo rozumiem cokolwiek, co się ze mną dzieje. Dociera do mnie jedynie to, że czar, pod wpływem którego się znalazłam, chyba prysł i to tak nagle, jak bańka mydlana.

Potwierdzenie tego znajduję po lunchu. Liliana gdzieś się zapodziwia. Ja zaś szybko tracę ochronną aurę. Ktoś mnie niechętny szturcha na korytarzu, a widząc, z kim ma do czynienia, już nie raczy przeprosić. Niektóre osoby wytykają mnie palcami i szepczą coś, kiwając głowami. Wygląda, jakby mówiły: „od razu było wiadomo, że ona nie ma na Mike’a szans”. Może też dodają: „Mike tylko skorzystał z okazji, aby dokopać Lucasowi, wykorzystał ją”. A nawet im się wymyknie: „ciekawe, co sobie wyobrażało to biedne dziecko”?

Wobec odbierania pewnego rodzaju klęski włączam w sobie mechanizmy obronne. Próbuję dać odpór atakującym mnie, negatywnym odczuciom. Usilnie wmawiam więc sobie, że choć w tej chwili może mi się wydawać inaczej, to w szerszej perspektywie wszystko zmierza ku dobremu.

Oto odzyskam spokój ducha, bo Damon z mojego college’u nie będzie już na mnie zwracał uwagi, a ja na niego. Jednak za sprawą woli czuwającego nade mną Pana, Mike sprawił też, że nie mam już prześladowców. Ponadto nie będę miała, ponieważ przestroga, że nie wolno mnie tykać, pozostaje w mocy. W rezultacie mam w szkole zapewniony względny spokój. W takim układzie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć, co stanowi przecież moją pasję. W porządku, ale skoro jest tak cudownie, bajecznie i kolorowo, to czemu jest mi na duszy tak jakoś ciężko i źle?

– Angelina, dobrze że wreszcie jesteś. Wszędzie cię szukałam.

– Nigdzie się nie chowałam – odpowiadam obojętnie Lilianie, która zaczepia mnie przed salą do literatury. Ruda dziewczyna zaś uśmiecha się cierpko i marudzi:

– Słuchaj... Siostra mnie strasznie męczy z tą sukienką. Wiesz, z tą co ci ją niby dałam. No ale to tak naprawdę kiecka siostry. Czy mogłabyś więc...?

– I tak tej sukienki nie chciałam. Jest za krótka i za ciasna.

– Za krótka i za ciasna. No widzisz, to świetnie! – wybucha radośnie Liliana. – To znaczy, jeśli na ciebie nie pasuje, nie będzie problemu, abyś mi ją oddała.

– Żadnego – stwierdzam oschle, po czym do reszty odarta ze złudzeń, jak z podarowanej sukienki, idę na lekcję literatury.

Podczas omawiania powieści traktującej o zazdrości, Otella, nachodzą mnie same nieciekawe myśli. Z jednej strony dumam, jak zniosę patrzeć na zakochaną parę: Sandrę i Mike’a. Z drugiej strony zastanawiam się, jakie atrakcje jeszcze czekają mnie po upomnieniu się Liliany o podarowaną mi sukienkę. Czy powinnam się zdziwić, jeśli na przerwie podejdzie do mnie Brzydki Edd i zażąda zwrotu kwiatków? Może nawet na pocieszenie, że olewa mnie Mike, zechce się ze mną z litości umówić?

Chyba po raz pierwszy w życiu mam ochotę sobie siarczyście przekląć w duchu, aby wszyscy poszli do diabła. Prawie to robię, a może nawet naprawdę w myślach bluzgam. Skoro tak, to znów mam się z czego spowiadać. Czyli pójdę tam, gdzie chyba czuję się najlepiej i gdzie

nigdy nie doznaję zawodu. Udam się do kościoła, do czego akurat nadarza się sposobność, bo oto lekcje się kończą i już wychodzę ze szkoły na parking.

Tutaj natomiast, co zaskakujące dla mnie, przez mocno zachmurzone niebo nade mną przebija nieśmiały promyk słonecznego światła:

– Wskakuj, biedaczko. – Liliana otwiera mi drzwi Chevroleta. – Skoczmy razem na piwko, aby zapić twoje smutki.

– Nie piję alkoholu.

– A wino mszalne?

– Takie piją tylko duchowni.

– No to... Pewnie masz ochotę na coś słodkiego. Ja kupię sobie lody, a ty słodką bułę i się zapchasz. Wypełnienie żołądka pomoże na dziurę w sercu. Wiem, co mówię. I mnie nie oszukasz, co czujesz. Widzę, jaką masz depresyjną minkę, zupełnie jakby ci walec po serduchu przejechał.

– Dobra, pojedę z tobą. – Dochodzę do wniosku, że kościół mi nie ucieknie. Zaś poczucie, że poza Panem w niebiosach ktoś jeszcze interesuje się moim marnym losem, jest dla mnie jakoś budujące. Dlatego doceniam gest Liliany i ją, jako mimo wszystko coraz bliższą mi osobę.

Już mam wsiąść do wozu, gdy raptem odskakuję w bok przestraszona warkotem i piskiem tuż za plecami.

Spoglądam przez ramię, by się przekonać, co jest źródłem piekielnych dźwięków. Widzę czerwony kabriolet, chyba Lamborghini. Zasiada w nim mężczyzna z piekła rodem, Mike, który swobodnie do mnie rzuca:

– Hej, aniołku. Wskakuj, podrzucę cię.

Kompletnie zaskoczona, niemal otrzymaną propozycją przerażona, takim właśnie wzrokiem zerkam z ukosa na Lilianę. Ona rozdziawia szczękę, robi okrągłe oczęta i na potwierdzenie, abym skorzystała z oferty, kilka razy szybko kiwa ku mnie głową.

Zatem idę, ponieważ coś mnie do tego mężczyzny magnetycznie przyciąga. Podchodzę do otwartych drzwiczek samochodu sportowego. Zasiadam w bardzo wygodnym fotelu, prawie leżance i raptem wystrzeliwuję z zawrotną prędkością z parkingu.

Mike prowadzi jak sam diabeł i zupełnie nie zwraca uwagi na przepisy drogowe. Wielokrotnie przekracza prędkość, nie do końca zważa na światła, nie wspominając już o przejściach dla pieszych. Za to co raz wyprzedza. Jednak tak sprawnie prowadzi wóz, że nie zauważam, aby stwarzał większe zagrożenie na drodze, niż dla przykładu w swoim samochodzie niedowidzący wuj Benjamin.

Niemniej szybka i brawurowa jazda tego kierowcy skutkuje tym, że dosłownie w parę chwil zatrzymuje się on przed moim domem. Wtedy po części odzyskuję zdolność logicznego i krytycznego myślenia. Spoglądam podejrzliwie na mężczyznę i ostrożnie zauważam:

– Wiedziałaś... gdzie mieszkam. Skąd to wiedziałaś?

Mike tylko uśmiecha się kąśliwie i wypycha sobie językiem policzek. Coś jakby imituje ruchy namiętnego pocałunku, patrząc na mnie. Następnie czochra się po gęstej czuprynie i zamiast mi odpowiedzieć, sam zapytuje:

– To prawda, że taka z ciebie prymuska w szkole?

– Skoro wiesz, gdzie mieszkam, to pewnie jest też ci wiadome, jak się uczę. – Wobec moich słów Mike w uśmiechu wydyma wargi, jakby posyłał mi całusa.

– Dasz mi korepetycje – rzuca stanowczo.

– Ja? – Zaskoczona z niedowierzaniem wskazuję na siebie. Przy tym ruchu mój palec ląduje między moimi piersiami. Mężczyzna dokładnie tam właśnie zerka i potwierdza:

– Tak, ty. Właśnie ty mi pomożesz z nauką.

– Ale... Ja jestem w pierwszej klasie, a ty w czwartej.

– Dobra jesteś z literatury angielskiej?

– Niezła – potwierdzam, poprawiając włosy. Łapię się na tym, że przez to poprawianie złotych pasemek wychodzi na to, że zachwalam nie moją znajomość wspomnianego przedmiotu, a swój wygląd. Robię się trochę zmieszana. Za to pełen pewności siebie Mike zdecydowanie mówi:

– Romeo i Julia. Mam się z tego przygotować. Pomożesz?

– Mam z tobą opracowywać historię... pięknej i tragicznej miłości? – Teraz to ja, niczym dopiero co Liliana, rozdziawiam buźkę i robię wielkie oczy.

Mężczyzna z kolei uśmiecha się uroczo i tylko wzrusza ramionami. Jego niezwykle opanowanie i wyluzowanie działają na mnie obezwładniająco.

Na chwilę milknę i zastanawiam się, czego ja sama chcę. Tym razem wyjątkowo nie kieruję pytania do Boga, a do samej siebie. Uderza mnie, jak jednoznaczna jest odpowiedź, w której nie ma nawet krzty wątpliwości. Przez to moje usta wypowiadają słowa wręcz same:

– Myślę, że mogę ci pomóc z Romeem i Julią.

– To świetnie.

– Gdzie i... kiedy się umówimy? – Spoglądam na Mike'a z respektem.

– Pasuje ci jutro po szkole w sali do literatury?

– Chyba... tak.

– To załatwione.

– Dobrze, ale... powiedz mi jeszcze jedno.

– Strzelaj.

– Jak tam... Lucas? Co z nim, z jego oparzeniami? – Tym razem patrzę na mężczyznę z obawą. On ziewa i rozleniwionym głosem pomrukuje:

– Wszystko gra.

– To znaczy?

– Znaczy to tyle, że nasz Wódz będzie miał teraz ksywkę Kojak.

– Będzie łysy? – Uśmiecham się, co jest w tym temacie bardzo niestosowne. Mike także się szczerzy i podchwytuje:

– Czyżbyś znała ten stary serial o łysym detektywie?

– Znam. – Poszerzam uśmiech i zauważam: – Lubię oglądać starocie.

– To tak jak ja. I chyba zaczynam też lubić ciebie.

Po tym wyznaniu Damona zapiera mi dech w piersiach. Przez to, gdy wznawiam oddech, moje płuca pracują mocniej i biust silnie faluje.

Z przymilnym uśmiezkiem na ustach mężczyzna kieruje wzrok na moje poruszające się piersi. Bawi się też pasemkiem moich włosów, okręcając je sobie wokół palca.

Czuję, że to samo robi z całą mną. Bawi się, okręcając mnie sobie wokół palca, a ja ulegam.

Nagle nie wiem, czy czegokolwiek mogłabym mu odmówić. Do tego znów czuję coś niezwykłego nie tylko w sercu, ale również w brzuchu. Właściwie to cała jakby wewnętrznie drzę i jest to przyjemne uczucie podniecenia, które narasta.

Wtem dzwoni telefon Mike'a. Spogląda on na nadawcę, poważnieje i takim też tonem zwraca się do mnie:

– Widzimy się jutro. Teraz już zmykaj, aniołku.

– To... cześć, do jutra – wyduszam z siebie i opuszczam sportowy wóz, który zaraz odjeżdża. Wyglądam za nim jak za czerwoną, piekielną błyskawicą, aż zniknie mi z oczu. Jeszcze pewien czas wpatruję się w tamtą stronę i sobie wzdycham. Potem, dziwnie lekkim krokiem, idę do domu.

Wewnątrz wita mnie cierpki i podejrzliwy głos stojącego przy oknie Benjamina:

– Kto to był? Co to za jeden?

– Kolega ze szkoły – stwierdzam niewinnie.

– Kolega... – burczy wuj i opryskliwie zaznacza: – Nie życzę sobie, abyś miała kolegów, którzy wyglądają jak czciciele diabła. W ogóle nie są ci potrzebni żadni koledzy.

– Moich znajomych będę sobie dobierać sama – posykuję tak jadowitym głosem, aż zasłaniam sobie usta.

– Angelino... – Zaskoczona moją arogancją Elizabeth, która siedzi w fotelu i ogląda telewizję, składa dłoń na sercu. Benjamin do kompletu patrzy na mnie zniesmaczony, jak na zakałą rodu. Jestem wzięta w dwa ognie, więc pod presją się kajam:

– Przepraszam za moje słowa, źle się wyraziłam. – Zaraz jednak w łagodny sposób swoją autonomię podkreślam: – Na zewnątrz rozmawiałam z chłopakiem, który pomógł mi w szkole. Trochę się zaprzyjaźniliśmy i nie widzę powodu, abym miała okazywać się wobec niego niewdzięczna.

– Jak niby mu się zamierzasz... odwdzińczyć? – Wuj obcina mnie takim wzrokiem, zupełnie jakby spoglądał na kobietę lekkich obyczajów. Wobec takiej jego reakcji rozwieram usta, aby powiedzieć coś jeszcze w swojej obronie. Ale ostatecznie biorę na wstrzymanie. Jedynie kręcę przecząco głową, wyrażając tym dezaprobatę dla przebiegu rozmowy oraz krzywdzących dla mnie insynuacji, po czym idę do siebie na górę.

Niebawem rozkładałam na łóżku książki, z których mam się przygotowywać do jutrzejszych zajęć. Na te pomoce naukowe patrzę jednak jakoś tak bez przekonania. Za to łakomie zerkam na regał, gdzie czai się już od dość dawna nieczytana przeze mnie sztuka teatralna.

Robię więc kilka kroczków i z półki biorę stare wydanie Romea i Julii. Siadam na podłodze, otwieram książkę, przewracam nieco poźółkłe stronicie i coraz zachłanniej czytam. Pochłaniam opowieść, którą obecnie odbieram o wiele głębiej. Aż łączę się sercem z jej bohaterami, drżąc o ich tragiczne losy.

Czas mija, a ja nie mogę oderwać się od inspirującej lektury. Sama zapewne w ogóle bym jej nie przerwała. Ale na kolację wzywa mnie miękki głos Elizabeth. Uprzejmie odpowiadam na to wołanie i już zaraz stawiam się przy zastawionym stole.

– Pobłogosław Panie Boże nas, ten posiłek, tych, którzy go przygotowali i naucz nas dzielić się chlebem i radością ze wszystkimi. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

– Amen.

– Amen.

Po modlitwie wieczerzę spożywamy w ciszy. Później mam resztę wieczoru już tylko dla siebie. Kończę czytać dzieło Szekspira, o dwudziestej pierwszej połykam pigułkę antykoncepcyjną i przed snem zaglądam jeszcze do pudełka z kartami tarota.

Wyciągam Kapłankę. Przyglądając się jej, myślę o tym, jak niezbadane są wyroki boskie. Dumam też, że pokusy ciała i ducha są elementami życia i nie muszą być oddzielone od miłości, jak wspominał podczas spowiedzi ksiądz. Nie da się ich całkiem unikać, co jednak nie znaczy, że należy im bezrefleksyjnie ulegać. W związku z tym postanawiam, że nie wyrzeknę się znajomości z Damonem. Ale też będę znała w tej znajomości granicę, której nie wypada mi przekroczyć. Swe ciało zachowam w czystości. Serce z kolei, na ile będę pragnęła, na tyle otworzę. Wewnętrznie wszystko mi podpowiada, także Kapłanka, że tego właśnie chcę. Więc to właśnie zrobię.



## IV. Tarot – Siła

Karta tarota Siła odwołuje się do wszystkiego, co wewnątrznie wzbudza w nas moc i podsyca pragnienie dążenia do celu. Odnosi się do pasji i namiętności. Pomaga wyzwolić w sobie odwagę i ekspresję, by pokonać wszelkie blokady jak również nawykowe wzorce. Karcie tej odpowiada zodiakalny Lew.

\*

Przed wyjściem do szkoły muszę podjąć trudną decyzję, w co się ubrać. Do wyboru mam jeden z moich szarych worków, które wyglądem tylko przypominają sukienki, oraz prawdziwą sukienkę od Liliany. Mogę więc dziś skryć przed Damonem moje kobiece walory, albo też pokazać, że nie wstydzę się swego ciała.

Prawda przedstawia się jednak tak, że moje kobiece ciało napawa mnie wstydem i to bardzo. Tak zostałam wychowana. Ale czy zawsze muszę ulegać temu, co było i związanym z tym moim obecnym obawom? Wszak moje rówieśniczki w ogóle nie miewają takich dylematów. Bywa, że przychodzą na zajęcia niemal półnagie. Czy zatem nie stać mnie, abym z własnej woli choć raz nie manifestowała swej odmienności, a bardziej wtopiła się w tłum?

Moje iście hamletowskie dylematy przerywa dźwięk klaksonu rozklekotanego Chevroleta. Spoglądam na ścienny zegar i widzę, że jest już wpół do ósmej, czyli trzeba się zbierać.

Po raz ostatni z niezdrową ekscytacją spoglądam do szafy na seksowną, niebieską sukienkę. Przenoszę spojrzenie, które robi się smętne, na szary worek. Następnie, na podstawie tego, co we mnie przeważa, dokonuję ostatecznego wyboru. Ubieram się i wychodzę przed dom.

– Możemy jechać – oznajmiam po zajęciu miejsca w samochodzie. Ten jednak nie rusza. – Powiedziałam, że...

– Słyszałam, co powiedziałaś. Sama może i nie jestem najpiękniejsza, ale z uszami i dobrym gustem wszystko u mnie w porządku. – Liliana ostro wchodzi mi w zdanie. Spogląda na mnie, jak surowa nauczycielka na nieuka i beszta: – Natychmiast wracaj się przebrać. Mike nie może cię znów oglądać w tym... – Dziewczyna robi pełen obrzydzenia grymas twarzy i kończy: – Tym szarym gałganie, który masz na sobie i którym się natrętnie oszpecasz. To nieprzyzwoite!

– To właśnie jest przyzwoite, nawet bardzo. – Wskazuję na swój ubiór, który luźno i dokładnie zakrywa me ciało. Moja koleżanka natomiast nadyma się jak ropucha i bezwzględnie ucina:

- Bez dyskusji. Marsz się przebrać.
- W... sukienkę twojej siostry?
- W piekielnie seksowną sukienkę mojej siostry. W rzeczy samej.
- Ale miałam ją oddać – zauważam.

– Siostra jest zmienna to i zmieniała zdanie. Pozwoliła ci swoją kieckę jeszcze trochę ponosić. Więc korzystaj. – Liliana puszcza mi oko. Przyglądam się jej podejrzliwie i w tym tonie podpytuję:

– Czy... ty aby na pewno masz siostrę? Bo do niedawna chwaliłaś się tylko bratem.

– Biegnij wrzucić na siebie seksowny ciuch. – Rudaska uśmiecha się rozkosznie. Ja zaś finalnie ulegam jej sugestiom, ponieważ w dużej mierze odzwierciedlają one też moje skryte pragnienia.

W pośpiechu idę się przebrać. Z pewnym trudem zakładam sukienkę, która tak mocno odsłania mój dekolt, aż widać mi zarys nagich piersi. W talii jest nieco luźna. Ciasno opina mi pośladki, nieco lżej uda, a kończy się nad kolanami.

Mam ten ubiór na sobie drugi raz. Patrzę w lustro i nie wierzę, że naprawdę zakładam go z własnej woli, a nie z konieczności.

Zastanawiam się, czy jednak jeszcze nie zmienić zdania. Powstrzymuje mnie kolejny dźwięk klaksonu i wskazówki zegara ustawione już na za kwadrans ósma.

Zatem w nowym stroju zbiegam po schodach na parter. Na mój widok w takim ubraniu na wyjście do szkoły Elizabeth zasłania dłonią rozwarłe usta. Benjamin do kompletu rozlewa na stole pitą herbatę. Ja jedynie posyłam krewnym krzywy uśmiech i już jestem za wejściowymi drzwiami, a zaraz w samochodzie.

– Nom... To teraz Mike Damon nie tylko cię zauważy. Będzie też miał powód, aby być o ciebie piekielnie zazdrosnym. Czyli będzie tak, jak powinno być. – Liliana przygląda mi się z uznaniem.

– Ta sukienka jest... za ciasna i za krótka – popiskuję. Na co moja pyzata koleżanka uśmiecha się od ucha do ucha i radośnie wypala:

– Za ciasna i za krótka. Dokładnie tak. Dokładnie taka powinna być!

Wkrótce jesteśmy w szkole i rozpoczynają się zajęcia. W nowym ubiorze czuję na sobie ciekawski wzrok uczniów i nauczycieli, którzy dostrzegają moją przemianę. Sprawia to, że jestem onieśmielona. Przez to inaczej niż zwykle nie wrywam się na lekcjach, aby odpowiadać, czy iść do tablicy. Siedzę pokornie i cicho, jak trusia, mimo że paradoksalnie w wyzywającym stroju. Lecz i tak mój spokój zostaje zmaćony, tyle że na jednej z przerw.

Wówczas podchodzi do mnie Sandra w towarzystwie swojej obstawy, czyli innych chilriderek. Opiera dłoń o ścianę koło mej twarzy. Żuje różową gumę, puszczając tuż przede mną wielkie balony. Ogląda mnie przy tym uważnie, ale i jakby z pogardą. Aż z zadrą w głosie zapytuje:

– Te... lala. Prawda to, że Mike zabrał cię wczoraj sprzed szkoły?

– Prawda – odpowiadam hardo. Wywołuje to pełen politowania uśmiech na ustach Sandry. Ale jest on też jakby nieco nerwowy.

– Gdzie cię zabrał? – dopytuje blondynka.

– Do domu.

– Czyjego? – Zza pleców przesłuchującej mnie osoby wyrywa się jakaś dziewczyna. Sandra ostro ją karci:

– Cicho, Alice. – Następnie ponawia to samo pytanie: – Do czyjego domu pojechaliście?

– Do mojego. – Wzruszam ramionami. Wtedy blondynka nachyla się ku mnie mocniej i szepcze mi do ucha:

– Co tam robiliście?

– Nic, bo nie zaprosiłam Mike’a do siebie.

Wobec tych słów Sandra robi krok w tył. Mruga oczyma, jakby dopiero co się przebudziła i spogląda na mnie, jak na kosmitkę. W kolejności na jej twarzy zarysowuje się pełen niedowierzania, ale i drwiny, uśmieszek. Znow się do mnie przybliży i już pewnym siebie głosem posykuje:

– Opuść sobie Damona, laluniu. On jest mój, tylko mój, i tak ma pozostać. – Z najbliższej odległości puszcza balona, który pęka w kontakcie z czubkiem mojego nosa. W efekcie na części mej twarzy pozostają strzępki różowej gumy.

Wyjętą z kieszeni chusteczką się czyszczę. W tym czasie, przesadnie balansując biodrami, Sandra odchodzi. Jej miejsce zajmuje podekscytowana Liliana i gorączkowo mnie nagabuje:

– Czego chciała ta podskakująca z pomponami zdzira?! – Wygląda w ślad za chilriderką.

– Chciała... żebym.

– Tak?

Zastanawiam się, czy wypada mi się skarżyć. Górę bierze to, aby być po prostu szczerą. Dlatego wyznaję prawdę:

– Ona chciała, abym trzymała się z dala od Mike’a.

– To suka, co za bładź. – Liliana zaciska dłonie w pięści. – Przebijemy opony w jej różowym autku. Dosypiemy arseniku do pudru. Przytopimy ją w kiblu! Niech w męczarniach zdycha!

– Daj spokój. – Rozluźniam spiętą podczas rozmowy z Sandrą sylwetkę. – Rozumiem jej zazdrość – oświadczam.

– Skąd rozumiesz? – Koleżanka, a może już nawet, ubierająca mnie i dbająca o moje interesy, przyjaciółka przyszpila mnie wzrokiem.

Mi jakoś nie chcą przejść przez gardło słowa traktujące o tym, że rozumiem cudzą zazdrość, bo sama jej doświadczam. Zatem tym razem odpuszczam sobie dawanie świadectwa prawdzie i wymijająco mówię:

– Chodźmy już na lekcję.

– Dobra, ale jeszcze chwilę zaczekaj. – Liliana łapie mnie za ramię. – Chyba nie wygadałaś się ździrze z pomponami, że masz dziś z Damonem randkę?

– To żadna randka. – Oblewam się pąsowym rumieńcem.

– Omawianie sam na sam Romea i Julii, żadna randka, no pewnie. – Carterówna przewraca oczyma, a zaraz posykuje: – No ale puściłaś parę z ust o spotkaniu, czy nie?

– Zwierzyłam się tylko tobie.

– Aha... – Liliana patrzy na mnie z satysfakcją. – Tak właśnie ma być! Masz zwierzać się wyłącznie mi! – podkreśla żywiołowo.

Następnie idziemy na lekcję. Na taką, podczas której zupełnie nie wiem, co jest wykładane i co się wokół mnie dzieje. Nie bez przyczyny, ponieważ jest to lekcja kończąca zajęcia. Potem mam udzielać korepetycji i rzeczywiście trudno jest mi je traktować jedynie, jako pomaganie w nauce. Usilnie wmawiam sobie, że chodzi tylko o to. Lecz moje zakłamanie w tym przypadku jest rażące, z czego zdaję sobie sprawę. Inna sprawa, którą rejestruję, to upływający czas i przybliżająca się chwila, kiedy mam zostać z niezwykłym mężczyzną sama.

Po wyjściu z sali niemal wpadam w panikę. Prawie podejmuję decyzję, aby, jak szara myszka, choć w błękitnej sukni, poszukać sobie jakiejś bezpiecznej nory i się w niej skryć. Ucieknę do kościoła, do klasztoru, na bezludną wyspę. Gdziekolwiek, byle tylko...!

– Cześć, aniołku.

– Witaj... Mike.

– Świetnie wyglądasz.

– To sukienka... siostry.

– Masz siostrę?

– Eee...

– Równie piękną, jak ty?

– Aaa...

– Aż tak piękną raczej nie, prawda? Bo w tej dziedzinie to ty rządysz.

– Czy... moglibyśmy już wejść do sali literatury na... korepetycje? – Po krótkiej wymianie zdań na korytarzu czuję się tak dziwnie, jak wtedy, gdy wyznałam w konfesjonale jako grzech, że dostałam pierwszej miesiączki.

Przynajmniej mój rozmówca zachowuje pełen luz, co dodaje mi otuchy. Podprowadza mnie on do odpowiednich drzwi, otwiera je kluczem i mówi:

– Zapraszam do środka.

– Tak właściwie to skąd masz... klucz? – interesuję się.

– Wskakuj, aniołku.

Wchodzę do pomieszczenia, gdzie na ścianach wiszą oprawione w ramki portrety znamienitych pisarzy i poetów. Rozglądam się za jakąś ławką, aby przy niej usiąść. Już wysuwam sobie odpowiednie ku temu krzeselko, ale powstrzymuje mnie Mike:

– Tylko nie krzesła. Po całym dniu odgniatania sobie na nich tyłka mam ich diabelnie dość.

– To... gdzie spoczniemy?

– Na tronie.

– Czyli...?

– Na nauczycielskim biurku. – Mężczyzna podchodzi do wytypowanego przez siebie mebla. Zwinnie na niego wskakuje i zasiada ze skrzyżowanymi nogami.

Osobiście też się tam gramolę. Lecz kiedy zajmuję miejsce naprzeciw Mike'a, zalewa mnie fala wstydu. Ponieważ w siadzie skrzyżnym tak podwija mi się sukienka na nogach, że prawie widać mi majtki. Albo nawet naprawdę je widać...

– Zaczynamy – rzuca Damon. – Oddaję się w twoje ręce. – Wyciąga ku mnie ramiona.

Trochę zmieszana kładę pomiędzy nami mój egzemplarz Romea i Julii. Na rozluźnienie biorę kilka głębszych oddechów, po czym śpiewnym głosem nawiązuję do tematu spotkania:

– Romeo i Julia to jedno ze wcześniejszych, ale i bardziej znanych dzieł Szekspira.

Bohaterowie tej sztuki stali się symbolami młodych kochanków i miłości skazanej na niepowodzenie.

– Dlaczego ich uczucie musiało okazać się kłapą? – Mike wyraża zaciekawienie. Ja nie omieszkam wyjaśnić:

– Romeo i Julia zostali postawieni przed koniecznością wyboru pomiędzy lojalnością wobec rodziny, a lojalnością wobec własnych uczuć.

– Co wybrali? – Mężczyzna przygląda mi się z uwagą. Tak samo przyglądam się jemu i odpowiadam:

– Wybrali miłosne uczucie. Jednak społeczność, w której żyli, nie zaakceptowała ich wyboru. Zrodziło to szereg konfliktów i tragicznych zrządeń losu, gdzie pojawiły się nie tylko złamane serca, ale i zawitała śmierć.

– Trochę smutne – zauważa Damon.

– Tak, to bardzo wzruszająca opowieść. Traktuje też o tym, że tam, gdzie dominuje mrok, tam nawet najjaśniejsze światło nie może na dłużej rozbłysnąć. Zostanie zgaszone.

– Miłość to światło, czy tak?

– Zgadza się, Mike.

– Mrok to więzy społeczeństwa.

– Trafiasz w sedno.

– Podsumuję to.

– Proszę bardzo.

– „Jak śnieżny gołąb wśród kawek, tak ona, Julia, świeci wśród swoich towarzyszek grona”.

– To... cytat z tej sztuki. – Robię zdziwioną minę. – Znasz to dzieło Szekspira?

– „Ona zawstydzą świec jarzących blaski”. – Mike odpowiada kolejnym cytatem. Wtedy nie pozostaję mu dłużna:

– „To twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie. Na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie. Na grzbiecie kruka.” – Daję się ponieść miłosnym słowom słynnych kochanków. Zamykam przy tym oczy, a otwiera mi je delikatne muśnięcie w usta.

Podnoszę powieki, które mi trzepoczą, podobnie jak nagle serce. Oszołomiona rozchyłam wargi, których swoimi wargami próbuje mężczyzna. To mój niespodziewany, pierwszy w życiu pocałunek. Pocałunek, jak Romea i Julii...

– Przepraszam... – Raptem się opamiętuję. Odchylam głowę, trwożnie dotykam swoich ust i w taki sam sposób spoglądam na Mike’a. On, jakby nigdy nic, pyta:

– Czy po wypowiedzeniu tamtych słów Romeo i Julia się pocałowali?

– Tak... chyba tak.

– Czy ta para, po jednym dniu znajomości, wzięła z miłości ślub?

– Tak było. Jeden dzień wystarczył im do pełnego zakochania się w sobie.

– Czyli jeszcze tylko ślub i możemy uznać, że inscenizacja sztuki wychodzi nam prawidłowo – zauważa pewny siebie mężczyzna i z przekonaniem podkreśla: – Jesteś świetną Julią. Najlepszą jaką dotąd znałem.

– A ty wyjątkowym... Romeo. – Uśmiecham się szczególnie szeroko dlatego, bo Mike wspaniale rozładowuje sytuację, w której prawie spłonęłam od ognistych uczuć w sobie.

Podczas dalszego omawiania dramatu Szekspira zachowuję jednak większy dystans. Baczę także, aby ostrożnie dobierać cytaty. Damon trochę mnie prowokuje, ale w taki przyjemny, zadziorny sposób, a nie nachalny. Aż w pewnym momencie spoglądam na ścienny zegar i własnym oczom nie wierzę. Oto widzę, że zbliża się czas kolacji.

Jak to się mogło stać, że niespodziewanie upłynęło aż tyle czasu? Zupełnie straciłam jego rachubę i o sztuce Szekspira, choć nie tylko o niej, rozmawiam już kilka godzin.

Uzmysławiam sobie, że sprawia to magia przebywania w obecności Mike’a. To w moich oczach prawdziwy czarodziej. Rzuca on na mnie kolejne zaklęcia, którym z łatwością ulegam. Lecz uświadamiam też sobie, że ze względu na moje rodzinne zobowiązania raczej nie będziemy tu dyskutować do rana. Stwierdzam, że muszę się wreszcie opamiętać i słowa traktujące o rozłące z trudem, ale wypowiadam:

– Myślę, że na dziś już wystarczy. Uważam, że jesteś dobrze, a nawet bardzo dobrze, przygotowany do zajęć z literatury. No i niedługo zacznie się ściemniać. – Zerkam za okno, gdzie słońce chyli się ku zachodowi. Przenoszę spojrzenie na mężczyznę. Nie mogę sobie odmówić i zadaję mu, w zamierzeniu ostatnie, pytanie: – Powiedz mi jeszcze tylko. Jaki jest właściwie powód tego, że wróciłeś do szkoły?

– Cóż... – Mike drapie się w zadumie po brodzie. – Przyznaję, szkoła to raczej nie jest mój żywioł. Ale stwierdziłem, że lepiej jest wiedzieć za dużo niż za mało.

– Lepiej jest wiedzieć za dużo niż za mało. Dobrze powiedziane. – Uśmiecham się i na potwierdzenie kiwam głową.

Natomiast Damon przeciąga się błogo. Niespiesznie zsuwa się z blatu biurka, zupełnie jakby wychodził z naszego wspólnego łóżka. Podaje mi dłoń i pomaga mi samej dosięgnąć stopami podłogi.

Obecnie stąпам tak lekko, że wydaje mi się, iż pozostaję zawieszona w powietrzu. W całym ciele, a nawet duchu, czuję niezwykle uniesienie. Twardo na ziemię sprowadza mnie dopiero dźwięk ściennego zegara, który bezlitośnie wybija sądny czas, a mianowicie godzinę dziewiętnastą.

– Boże drogi, już kolacja – popiskuję trwożnie, by w kolejności dramatycznie wykrzyknąć: – Muszę już lecieć. Było cudownie. Do zobaczenia, pa!

Zdawszy sobie sprawę, że już jestem spóźniona na rodzinny posiłek, opuszczam Mike’a w podskokach. Z przebywającego w blasku miłości motyla, jakby przeistaczam się w mroczną ćmę. Ulegam społecznym regułom. Porzucam obiekt uczucia i gnam do domu, by sprostać rodzinnym oczekiwaniom. Przeklinam swój los, ale rozsądek podpowiada mi, że nie mogę być zakochaną Julią u boku Romea. W każdym razie jeszcze nie dziś.

Z sali lekcyjnej wypadam na szkolny korytarz i nie przestaję gnać aż na parking. Tutaj czym prędzej wskakuję do Chevroleta i z przejściem krzyczę:

– Jedź, szybko!

– Co, gdzie, jak? – Raptem przebudzona z drzemki Liliana patrzy na mnie rozkojarzona. Zerka na zegarek na rękę i łapie się za głowę. – Rety, już po dziewiętnastej. Co wy tam tyle czasu wyprawialiście?!

– Nie uwierzyłybyś... – Zagryzam dolną wargę.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Nie, to nie to co myślisz, w ogóle nie. Ale... – Zastanawiam się, jakie są dokładnie moje odczucia z chyba najniezwyklejszych chwil mego życia, po czym z przekonaniem wypalam: – Pocałował mnie i to było... To było wspaniałe!

– I... nazywał cię aniołkiem?

– Tak.

– Aaa! – Liliana raz za razem tłucze pięścią w klakson. Potem wachluje dłonią przed swoją piegowatą twarzą. Rusza wozem z parkingu i z wyższością w głosie stwierdza: – Tylko poczekaj. Już ja cię wyswatam z najlepszym towarem między Los Angeles, a San Francisco. Zostanę twoją druhną. Następnie pozwolę ci się mi jakoś odwdzińczyć...

– Dziękuję, że mi pomagasz. Doceniam to, naprawdę.

– Spokojnie... Jak powiedziałam, przyjdzie czas, że za przysługę zapłacisz. – Osoba, której nie obawiam się już nazwać przyjaciółką, patrzy na mnie bardzo tajemniczo.

Niebawem wysadza mnie przy moim domu. Zanim się rozstaniemy, umawiamy się na jutrzejszą sobotę na wspólne zakupy. Później wreszcie wpadam na trwającą już kolację.

– Przepraszam za moje spóźnienie. Bardzo przepraszam. – Zasiadam do stołu i pokornie się modłę: – Za ten posiłek, i wszystkie dary Twojej dobroci, chwalimy Cię Panie. Przez Chrystusa Pana naszego... – Nagle urywam w pół zdania wobec gwałtownego uderzenia pięścią w stół przez Benjamina. Aż podskakuję na krześle i spoglądam wystraszona na wuja. Nadziewam się na wręcz nienawistne spojrzenie. Tłumaczy mi je zachowawczy szept Elizabeth:

– Angelino... Tak nie przystoi zasiadać do stołu.

– Czyli... jak? – pytam zdezorientowana.

– Chodzi o twoje ubranie.

– Ah...

– Proszę, przebierz się w coś bardziej stonowanego i wtedy dołącz do nas, drogie dziecko.

– Oczywiście. I... przepraszam. Jeszcze raz przepraszam za siebie. Za moje zachowanie, ubranie i w ogóle. To się już nie powtórzy, obiecuję.

– Twoje obietnice nie wystarczą – zaznacza wuj. – Bóg mi świadkiem, że wkraczasz na złą drogę. W tym stajesz się wiarołomna. Dlatego nie zjesz dziś z nami kolacji. Pójdiesz na górę, do siebie, i gruntownie przemyślisz swoje karygodne zachowanie. Być może pusty żołądek nakłoni cię do głębszych refleksji na temat właściwego prowadzenia się i postępowania. Bowiem lekarstwem na twą zbłąkaną duszę na pewno nie jest żerowanie na dobroci mej żony. Ty potrzebujesz już prędzej bata, nie dobroci.

– Ależ... Benjaminie.

– Milcz, kobieto! – Następuje kolejne uderzenie męską pięścią w blat stołu, tym razem wręcz potężne. – Chyba mam coś jeszcze do powiedzenia w moim własnym domu. Więc zamilknięcie wszystkie!

Wobec sprawy mojego zachowania postawionej na ostrzu noża nie śmiem już wypowiedzieć przy stole ani słowa. Z pokornie pochyloną głową i przygarbiona idę na górę.

W swoim pokoju wyciągam z szuflady paczkę orzechów włoskich i chrupię je na mój ostatni tego dnia posiłek. Przy okazji przyglądam się kształtowi moich przekąsek, który przypomina mózg i zastanawiam się, gdzie ja miałam głowę podczas zajęć z Damonem, że zupełnie zapomniałam o innych bliskich mi osobach.

W zaciszu mego pokoju dociera do mnie, że właśnie sprzeniewierzyłam się swoim wartościom. Oto beztrąsko goniąc za własnym szczęściem, niefrasobliwie przyczyniłam się do nieszczęścia moich krewnych. To przecież z mojego powodu wuja zalewa teraz gorzka żółć, a rykoszetem dostaje się także Elizabeth. Winna temu fermentowi jestem oczywiście ja. To moje złe zachowanie wyzwała w tym domu złość. Nie mam co do tego złudzeń i nie zamierzam szukać dla siebie usprawiedliwień. Muszę więc znaleźć w sobie siłę i głęboko wziąć do serca to, aby nie



zatracić się w relacji z Damonem. Bezwzględnie muszę pamiętać o dobru mojej rodziny. Jedną już przecież przez własny błąd straciłam. Tak tragiczne zdarzenie nie może się nigdy więcej powtórzyć.

## V. Tarot – Wieża

Karta tarota Wieża odnosi się do rozpadu czegoś, co w naszym życiu było zbudowane na niepewnych podstawach. Zdarzenia związane z ukazaniem się tej karty potrafią zburzyć dotychczasowy porządek rzeczy i system wartości. Lecz ma się to dokonać dla naszego dobra. Wieża kończy ograniczenia w naszym życiu i prowadzi ku czemuś nowemu.

\*

Sobota w Crestone jest dniem, w którym czuję się niczym rozsypana talia kart i trudno jest mi się pozbierać. Po piątkowych wydarzeniach nie rozpoznaję w sobie dawnej osoby, ale i nie rozumiem tej nowej. Szukam dla siebie miejsca w nowej rzeczywistości, ale go nie znajduję, bo niby jak ta rzeczywistość się obecnie prezentuje?

Pomimo pragnienia postępowania zgodnie z nakazami mojej nowej rodziny już wiem, że i tak przyjdzie mi te prawa nagiąć, a może i łamać. Znacząca część moich uczuć pozostaje bowiem związana z Damonem. A coraz silniej przekonuję się, że uczucia nie są czymś, co łatwo poddaje się racjonalnym rygom. Jest wręcz przeciwnie. Miłosne uniesienie zdaje się nieokiełznane i porywcze jak dziki koń. Nie sposób go poskromić rozumem, ujeździć świętymi przykazaniami. W to miejsce zakochiwanie się prowokuje do oddania się szaleństwu, wolności i nieprzewidywalnemu pędowi zdarzeń.

Czy tak wypada postępować komuś, kto dopiero co aspirował, by wstąpić do zakonu? Niewątpliwie jest to z mojej strony występki przeciw boskim prawom. Zaś moja obecna labilność, gdzie jestem jakby zawieszona między piekłem, a niebem, rzutuje na wszystkie dziedziny mego życia, nawet tak prozaiczne jak zakupy.

– Ta sukienka jest z byt pstrokata. No i za krótka, bo nad kolana. Tej nie kupię. – W centrum handlowym na zakupach z Lilianą wybrzydzałam w stoisku z ubraniami. Akurat myślę o byciu cnotliwą. Dlatego nie do końca stonowane ubranie podawane mi przez przyjaciółkę odkładam z powrotem na półkę.

Aż raptem jakby przestawia się we mnie zwrotnica. Teraz myślę dla odmiany o Damonie. Prowokuje mnie to, abym zainteresowała się wręcz skandalicznie kusym strojem. Wobec mojej chwiejności Carterówna z płaskim uderza się dłonią w twarz i zmordowana jęczy:

– Żółta kiecka nad kolana jest dla ciebie za krótka, ok. Za to czerwona, w której będzie ci prawie widać tyłek, jest już w porządku, tak? Przepraszam, ale jaką ty stosujesz miarę? Bo nie nadażam...

– Teraz chcę tę krótką, czerwoną. Przymierzę ją.

– Czekaj, poczekaj. – Liliana wyrywa mi z dłoni miniówkę. – Jeśli postanawiasz ścigać się z Sandrą, która z was założy krótszą spódniczkę, to super, w to mi graj. Trzeba jeszcze tylko dobrać odpowiedni kolor.

– To znaczy? – Spoglądam pytająco na przyjaciółkę. Ona bierze do ręki dwie spódniczki o pastelowych barwach i stwierdza:

– Aniołkowi nie wypada paradować w czerwieni. To dobre dla diablidy, jak ja. Ty powinnaś nosić się na biało, ewentualnie na niebiesko.

– To się Damonowi spodoba? Jesteś pewna?

– Zaufaj mi... Poprzedniego aniołka Mike ubierał wyłącznie w jasne kolorki.

– Może jeszcze skrzydła? – Niewinnie żartuję, by zaraz już całkiem poważnie zapytać: – Co stało się z poprzednim aniołkiem?

Pieguska udaje, że mego pytania nie słyszy i siłą wpycha mnie do przebieralni:

– Właż – posykuje. Zanim dam się zamknąć w ciasnym boksie otoczonym lustrami, jeszcze popiskuję:

– Mogłabyś mi jednak podać jeszcze tę żółtą sukienkę nad kolana i zasłaniającą biust?

– Litości... – Liliana robi minę jak na stypie. Ale spełnia mą prośbę, tyle że zamiast dłuższej sukienki w złotym kolorze wręcza mi białą.

Ostatecznie z centrum handlowego wychodzę z trzema kompletami ubrań. Wszystkie są białe. Za to mocno różnią się od siebie krojem. Jeden komplet jest wyzywający, drugi stonowany, a trzeci bardzo zachowawczy.

W ten sposób ubezpieczam się na każdą ewentualność i w poniedziałek, co mi będzie akurat w duszy grało, to założę. Aczkolwiek kiedy przychodzi wspomniany dzień, i nowy tydzień w szkole, wszystko się komplikuje, nawet sprawy z ciuchami.

– Minał mnie na korytarzu... Zwyczajnie mnie minał.

– Nawet na ciebie nie zerknął? – dopytuje Liliana, która właśnie wyszła ze szkolnej toalety.

– Przeszedł koło mnie tak, jakby mnie nie dostrzegł. – Zakwitam kwaśnym uśmiechem, który szybko więdnie, jak pozbawiony życiodajnej wody kwiat.

Carterówna kiwa na to głową, zupełnie jakby chciała powiedzieć: „nie mówiłam”. Zresztą za chwilę dokładnie tak kwituje tę sytuację:

– Nie mówiłam, że biały worek, to ciągle worek? – Spogląda na mnie, a zarazem moją nową, ale najbardziej zachowawczą sukienkę kończącą się aż na kostkach. Wkłada w usta kciuk i go ssie, jak osesek, po czym jakby wysysając z palca uniwersalną mądrość, odkrywczco wypala: – Przebierzemy cię!

– Nie zabrałam ze sobą innych ciuchów – zauważam i w duchu żałuję, że do plecaka wrzuciłam tylko książki. Ale widać moja zapobiegliwa koleżanka ma na to remedium:

– Ładujemy się do mojego wozu i śmigamy do twojej szafy!

- Wyrobimy się? – Patrzę z nadzieją na Lilianę.
- Najwyżej trochę spóźnimy się na matkę. Ładnie za nas przeprosisz.
- No to... w drogę!

Razem z pieguską porywam się szkolnym korytarzem prosto na parking. Za moment jesteśmy w Chevrolecie, a w kolejności przed moim domem.

– Daj mi trzy minuty! – W te pędy forsuję wejściowe drzwi i biegnę do siebie na górę. Odprowadza mnie zaskoczony wzrok krewnych w salonie.

Kiedy za chwilę pokonuję tę samą drogę, ale w sukience nie do kostek, a nad kolana, srogie spojrzenie wujostwa jakby wygania mnie z domu. I tak nie zamierzałam tu zostawać, więc co mi tam.

Na lekcję matematyki spóźniamy się z Lilianą pięć minut, co zostaje nam wybaczone. No może nie do końca, bo za karę Carterówna zostaje wezwana do tablicy.

Odbieram w sobie impuls, aby szlachetnie zgłosić się za nią. Jednak na impulsie się kończy. Jestem bowiem zbyt zaabsorbowana sprawą kuszenia sobą Mike'a, a jednocześnie karceniem się za to, że to robię.

Momentami wydaje mi się wręcz, że doznaję rozdwojenia jaźni i funkcjonuję w swoistej schizofrenii. Czuję się cnotliwą damą, która nawet nie chce myśleć o męskim towarzystwie. To przeistaczam się w kobietę wampa, bezwzględną podrywaczkę. Pomiędzy tymi dwiema skrajnościami samą siebie, jakby zatracam.

Lecz z czasem szala i tak zaczyna przeważać już tylko w jedną stronę. Przez to w pewien sposób doświadczam swej osoby, jak zbudowanej na niepewnym gruncie Krzywej Wieży w Pizie. Widzę, jak ta wieża coraz bardziej się przechyla i w końcu niechybnie runie. Zwiastunem tego zdarzenia jest kolejna przerwa między lekcjami:

– Liliana! – Na szkolnym korytarzu wręcz drapieżnie atakuję przyjaciółkę, siłą przypierając ją do ściany. – Grzej silnik – powarkuję niczym sam wóz.

– Ale o co chodzi? – Dziewczyna wybałusza na mnie oczy.

– Znow na mnie nie spojrzał.

– Czyli chcesz wprowadzić opcję zero? Zero tolerancji dla facetów, którzy nie raczą podziwiać twoich zasłoniętych kiecką nóg i cyczków?

– Muszę natychmiast przebrać się w najseksowniejszy ciuch. Zero tolerancji – podkreślam, będąc niczym w transie.

Jak szalone, aż nawiedzone, znow biegniemy w wiadomym kierunku, tym razem ryzykując spóźnienie się na lekcję chemii. Ale co tam. Nawet opuszczenie całej lekcji jest dla mnie teraz niczym wobec tego, że Mike w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. A przecież po tym, co się pomiędzy nami wydarzyło, musi do mnie Ignać!

– To znowu ja! – W domu ponownie gnam ręczo po schodkach do mojego pokoju. Już po nich zbiegam, tyle że w nowej odsłonie: mini ledwie zakrywającej mi pośladki i zwiewnej koszulce na ramiączka z dużym dekoltem. Reakcji wujostwa na taką moją prezencję w myślach nawet nie komentuję.

Cała ta sytuacja mi samej wydaje się raptem komediowa. Chociaż, gdy jadę Chevroletem do szkoły, wspomnianą komedię odbieram już bardziej jako tragikomedię. Kiedy natomiast po lekcji chemii Mike wciąż mnie olewa, czuję, że biorę udział w tragifarsie ze sobą w roli głównej.

Oto kończą się zajęcia zarówno pierwszego, jak i czwartego rocznika, moje, jak i Damona. Pod względem ubioru zrobiłam wszystko, aby adorowanego przeze mnie mężczyznę sobą zainteresować. Jednego dnia demonstruję w szkole całą swą nową garderobę. Co w zamian dostaję? Uczucie beznamiętnej pustki w sobie i zrezygnowanie. Co więc mi pozostaje? Dochodzę do wniosku, że chyba tylko już szukanie ukojenia w modlitwie. Albo też...

– Cześć, Mike! – Na parkingu bezczelnie zaczepiam Damona.

– O... witaj, aniołku.

– Jak poszły zajęcia z literatury?

– Nieźle, całkiem nieźle. – Mężczyzna spogląda na moje po części odsłonięte piersi, to całkiem odsłonięte nogi. Z palców dwóch dłoni czyni ramkę i mruga okiem, imitując robienie mi zdjęcia. Uśmiecha się przy tym i mnie także zaraża uśmiechem. Łapię się na tym, że cały dzień chodziłam pochmurna, a teraz nagle ogarnia mnie radość. Nie jest dla mnie tajemnicą, dlaczego tak się sprawy mają...

– Chyba wspominałeś, że potrzebujesz jeszcze korepetycji. – Zalotnie poprawiam rozpuszczone włosy, które zwykle związywałam w kitkę.

– Korepetycje. No niby tak. Ale... – Mike spogląda w kierunku różowego kabrioletu Sandry.

Przekaz jest dla mnie jasny. Rozumiem więc, że aby zdobyć to, przed czym się wzbraniam, ale czego jeszcze bardziej pragnę, muszę na chwilę wyjść ze skóry aniołka i wejść w skórę diablicy. To właśnie czynię:

– To chcesz te korepetycje, czy nie? – Stawiam ultimatum. Jednocześnie wysuwam z ust różowy języczek, którym oblizuję górną wargę i chwytam mężczyznę za rękę.

On spogląda na mnie z malującym mu się na twarzy rosnącym zadowoleniem. Wyciąga z kieszeni kluczyki, które rozpoznaję i wskazuje nimi drogę z powrotem do szkoły. Od tej pory już nie myślę, nie analizuję, nie czynię sobie wyrzutów sumienia. Jedynie reaguję.

Jak krzywa wieża, która właśnie przechyliła się, by runąć z hukiem, przesuвам się z Damonem w kierunku przeciwnym do wylewających się ze szkoły uczniów. W tym uczniowskim potoku jesteśmy niczym para udających się na tarło łososi, które muszą pokonać wszelkie przeszkody.

Owszem, pokonujemy je, także próg jednej z pustych sali lekcyjnych i oto znów jesteśmy tylko we dwoje – sami. Choć może nie do końca sami, ponieważ gorąco pragnę wierzyć, że jest między nami jeszcze wspólne uczucie, którego temperatura będzie się tylko wzmaczać.

– Jaki przedmiot bierzemy na warsztat? – Mężczyzna mnie obejmuje. – Może poćwiczymy w praktyce lekcję biologii? – rzuca i nagle podrywa mnie do góry.

Moje stopy tracą kontakt z podłożem, a świadomość niemal pozbawiona zostaje połączenia z realnym światem. Uwieszam się rękoma za męski kark. Daję się ponieść zarówno swemu pragnieniu, jak i mojemu wybrankowi.

On sadza mnie na nauczycielskim biurku. Sam zasiada w fotelu nauczyciela i go sobie podwyższa. Następnie wtula twarz między moje piersi, głęboko zaciąga się moim zapachem i jak odurzony zamyka oczy.

Ja coraz szybciej oddycham. Spoglądam, jak mój falujący biust unosi na sobie kołyszący się, męski podbródek.

Czuję, że szybko ogarnia mnie istne szaleństwo, które zresztą sama sprowokowałam. Choć mój pierwotny zamiar był skromniejszy – łaknęłam jedynie bliskości Mike'a i może pocałunku, to obecnie nie panuję nad swoim ciałem. Nagle postrzegam je jako kobiece naczynie do połączenia się z mężczyzną. Kaskadowo wyzwala się we mnie pragnienie dotyku, tulenia, nawet uścisku. No i pocałunki. Nie chcę ich już tylko na ustach. Cudzych ust pożądam chyba na całej sobie.

– Och, Mike... – pojękuję błogo, zgodnie z moim niewypowiedzianym życzeniem coraz silniej obejmowana przez mężczyznę.

Czy ten pochłaniający mnie zmysłowy pożar mógłby zostać czymkolwiek ugaszony? Tak mocny jest to ogień, że wydaje się to niemożliwe, niewykonalne. Okazuje się jednak, że tylko dlatego, że nie doceniam antagonistycznego żywiołu gaszącej płomienie wody.

– Muszę odebrać, sorry. – W rozkosznych dla mnie momencie Damon wyjmuję z kieszeni dzwoniący telefon i oddaje się nie mi, a telefonicznej rozmowie.

Jestem rozdygotana od przyjemności, a zarazem okrutnie niedopieszczona. Przez to rejestruję tylko strzępy cudzej dyskusji:

– Dwa baseny, rozumiem. Niech będzie, dopłacę. Co z ognistą wodą? Dostawa w drodze. Nie wolno wam się spóźnić. W porządku, zaraz sprawdzę to na miejscu.

– Mike... – popiskuję z nutą rozpaczy w głosie za mężczyznę, który w takiej chwili ode mnie odchodzi. On nie przystaje. Nadal się ode mnie oddala. Idzie tyłem, w geście bezradności rozkłada ramiona i na pożegnanie rzuca:

– Siła wyższa, interesy. Ale dokończymy to spotkanie innym razem. Obiecuję, aniołku!

Dłuższy czas pozostaję na biurku. Czuję się, jakby na moje płonące dotąd ciało ktoś wylał kubek zimnej wody. Nagle nie mam już w sobie ognia, nawet iskry. Błyskawicznie stygnę, a

niemal zamazam. Pozostawiona sama sobie staje się lodowata i pusta. Oczywiście jest jak i przez kogo ponownie mogłabym zostać rozpalona. Oczywiście jest też już dla mnie, że nieprzyzwoicie gorąco tego pożądam.

\*

– Chwalimy Cię Panie i dziękujemy za ten posiłek, dar Twojej dobroci. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

– Amen.

– Amen.

Podczas kolacji w domu zachowuję się przykładowo. Ubrana też jestem przykładowo, bo w szary worek.

Po posiłku jednakże, co nie jest dla mnie zaskoczeniem, nie zostaje mi oszczędzone suszenie głowy z powodu mojej dzisiejszej rewii mody. Ostatnie dni w moim wydaniu ogólnie dają mi bogobojnym krewnym do wiwatu. Żeby więc jeszcze bardziej nie przeciągać struny, a wyjść z obecnej konfrontacji cało i z twarzą, uciekam się do niezbyt chwalebego fortelu. Jest nim niestety, nieprzystające aniołkowi, grzeszne kłamstwo:

– Te wszystkie dzisiejsze zmiany ubrań związane były z przedstawieniem teatralnym, które z innymi uczniami odgrywam w szkole – odpowiadam niewinnie na zadane mi przez Benjamina pytanie o moją nową garderobę. Następnie, aby wypaść wiarygodnie, dalej brnę w mijanie się z prawdą: – Nauczyciel, który sprawuje pieczę nad przedstawieniem, cały dzień nie mógł się zdecydować, jaką ostatecznie powierzyć mi rolę. Stąd cały ten rozgardiasz z ciuchami. Ale sytuacja została szczęśliwie opanowana. Nie będę więcej wprowadzać zamieszania ze zmianą sukienek, bo mam już swój przydział.

– Jaki to przydział?

– To cię raczej nie zaciekawia... wuju. – Czynię niewinną minkę.

– Jaki?

Wobec przyparcia do muru dalej brnę w swoje fantazje, które jednak z fikcją mają coraz mniej wspólnego:

– Gram dziewczynę, która jest z natury skromna, ale zakochuje się w wyjątkowym chłopaku. Przez to dojrzewa i staje się w życiu coraz odważniejsza. Rzutuje to na jej zachowanie, relacje z krewnymi, ale też na dobór ubioru, którym wyraża nową siebie.

– Ta rola bardzo do ciebie pasuje, moje dziecko, gratuluję. – Ciotka uśmiecha się do mnie wyjątkowo naiwnie, szeroko i szczerze. Co innego Benjamin, który nad wyraz ciężko wzdycha:

– Elizabeth... – Spogląda z dezaprobatą na żonę, która od razu poważnieje. Na mnie za to nie raczy już nawet spojrzeć. Żadnych słów też więcej się od niego nie doczekuję. Z kolei jego myśli na mój temat chyba wolę nie znać. Zatem uznaję, że nic tu już po mnie. Grzecznie żegnam

się z zaciętym wujostwem, po czym ruszam do siebie, aby myśleć coraz bardziej niegrzecznie o mnie i Mike'u Damonie.



## VI. Tarot – Wisielec

Karta tarota Wisielec oznacza czas oczekiwania i w pewnym sensie stania w miejscu. Ukazuje moment zawieszenia, jakby marazmu, w którym stajemy u progu doniosłego wydarzenia. To okres przygotowania się do czegoś nieuchronnego, czego zwiastuny już odebraliśmy i czego ziszczenia się spodziewamy.

\*

Dzień po zabawie w korepetycje z biologii, co dla mnie osobiście wcale nie było zabawą, Mike nie pojawia się w szkole. Odbieram w sobie irracjonalny strach, że z powodu interesów, o których wspominał, w ogóle rzuci naukę, powróci tam, skąd przyjechał i więcej go nie zobaczę. Na chwilę obecną wydaje mi się to większą katuszą niż wieczne potępienie.

Niestety nie mam nawet jak skontaktować się z Damonem. Korzysta on ponoć z kilku telefonów. Jeden jego numer jest powszechnie znany. Telefonu z nim używa jednak tylko do połączeń wychodzących. Dlatego nie ma co do niego dzwonić, licząc że oddzwoni. Mam ten numer od Liliany i nawet nauczyłam się go na pamięć. Kiedy zaś będąc pogrążoną w zgryzocie, uznaję, że nie mam już co liczyć na telefon od Mike'a, on robi mi niespodziankę i sam się ze mną kontaktuje:

- Hej, aniołku.
- Cześć... Mike.
- Myślałem o tobie.
- Ja o tobie... też.
- Zatęskniłem.
- I... ja.
- Mam też kłopot z chemią.
- Chcesz może... korepetycji?
- Przydałyby się.
- Jutro... po szkole?
- Dzisiaj.
- Mam... pójść do szkoły?
- Po cholere nam znowu szkoła.
- To gdzie się spotkamy?
- U siebie mam straszny bajzel. Więc u ciebie.
- U mnie.
- No tak.
- Więc kiedy... przyjedziesz?

– Będę za pół godziny, aniołku.

– To czekam... Mike.

W nagłym szoku przebiegam niespokojnym spojrzeniem po moim pokoju, gdzie przebywam. Na ściennym zegarze zauważam godzinę szesnastą. Natomiast na samych ścianach dostrzegam pełno obrazów świętych, wiszące krzyże i flagi maryjne. Do kompletu na biurku stoją okazałe gromnice, leżą różańce i opowieści biblijne.

Stwierdzam, że rzut oka na to pomieszczenie wystarczy, aby stwierdzić, że zamieszkuje tu ostatnia dewotka. Przy czym trzymam u siebie takie zatrzęsienie dewocjonaliów, że ich schowanie gdzieś w szafie, czy pod łóżkiem, nie wchodzi w grę.

Jak więc zareaguje Mike, gdy zobaczy, że mieszkam jak zakonnica? No i o intymnej atmosferze w takim miejscu chyba nie ma mowy. W takim układzie spotkanie rzeczywiście może się ograniczyć wyłącznie do nauki chemii.

Co mogę zrobić, by temu przeciwdziałać? Dochodzę do wniosku, że Pan w niebiosach w tym przypadku mi nie pomoże. Za to perfidne rozwiązanie podsuwa sam diabeł:

– Dzień dobry, czy dodzwoniłam się do pani... Madelyn Wilson?

– Przy telefonie.

– Mówi Angelina Evans.

– Pamiętam cię, złotko. Pamiętam cię z kolacji u państwa Nelson.

– Ja właśnie w sprawie Benjamin i Elizabeth.

– Tak, co z nimi? Stało się coś poważnego?

– I tak i nie...

– Powiedz, proszę, co zaszło. Być może będę mogła pomóc.

– Na to właśnie liczę, ponieważ państwo Nelson bardzo narzekają na to, że nikomu nie są już potrzebni i nikt się nimi nie interesuje. Obawiam się, że znowu poleją się łzy.

– Bardzo dobrze, że mi o tym mówisz, drogie dziecko. W przyszłym tygodniu zaproszę Benjamin i Elizabeth na obiad.

– Nie... nie!

– W czymś jeszcze problem?

– Widzę, co się tu dzieje, teraz, właśnie w tej chwili. Benjamin jeszcze się jakoś trzyma, ale Elizabeth... Ona jest na granicy załamania. Szczególnie ona natychmiast potrzebuje pomocy!

– Dobrze... Skoro sprawa jest tak poważna, zaproszę ich do siebie na dzisiaj.

– Bardzo dziękuję, pani Wilson. Nie wiem, jak mogłabym się odwdziżyć za pani bezinteresowną dobroć. Chyba tylko modlitwą. Szczęść Boże!

Zakończywszy połączenie telefoniczne, uchylam drzwi swego pokoju i nasłuchuję, co dzieje się w salonie. Niebawem udaje mi się podsłuchać strzępy rozmowy telefonicznej, w której moja

ciocia zarzeka się, że u niej wszystko jest w najlepszym porządku. Godzi się jednak na odwiedzinę przyjaciółki jeszcze tego dnia.

Gdzie anioł sam nic nie może, tam diabeł pomoże. Dokładnie tak.

– Wychodzicie gdzieś? – Po zejściu na dół udaję zaskoczenie, widząc zbierających się do wyjścia krewnych. Gburowatej odpowiedzi udziela mi Benjamin:

– Dzwoniła ta płaczliwa... Madelyn. Naciskała, jakby to była sprawa piekła i nieba, abyśmy zjedli z nią kolację. Moja żona ma gołębie serce. Uległa namowom. – Wuj łybie oczyma na Elizabeth. Ona zaś zwraca się do mnie:

– Moja przyjaciółka zapewne znów poczuła się u siebie bardzo samotna. Nie wiem, czy jest ci to wiadome, ale kilka lat temu Crestone wstrząsnęła fala podpaleń. Były wtedy ofiary śmiertelne, a wśród nich także świętej pamięci mąż Madelyn.

– Cóż za tragedia. – Przez umysł przelatuje mi obraz płonącego samochodu, w którym spaliła się moja rodzina.

– Chodź już. Czeka nas dłuższa podróż. – Benjamin otwiera wyjściowe drzwi.

– Na kolację odgrzej sobie zupę, kochanie. – Elizabeth uśmiecha się do mnie dobrotliwie, po czym wraz z mężem opuszcza dom.

Teraz ja jestem jego panią i podstępem pozbywszy się pozostałych lokatorów, bacznie rozglądam się po salonie, gdzie ugoszczę Mike'a. Zastanawiam się, co powinnam tu zmienić.

Pierwszą ofiarą przemeblowania pada ścienny obraz przedstawiający Ostatnią Wieczerzę. Następnie zdejmuję ze ściany imponujący krucyfiks.

To co ściągam z góry ląduje na dole, a ściślej pod brązową kanapą.

Co do samej kanapy, to sprężynuję na niej pośladkami, aby sprawdzić jej miękkość.

Przy tej czynności ponosi mnie wyobraźnia, która moje myśli ubiera w gorące, nieprzyzwoite obrazy.

Dotykam dłońmi twarzy i odczuwam wzmożone ciepło. By ochłonać, przekręcam w salonie termostat, wzmacniając działanie klimatyzacji. Później biegnę do siebie, aby się przebrać.

W tym momencie żałuję, że na ostatnich zakupach kupiłam dwie pary długich sukienek i mini, zamiast mini i dwóch krótkich spódniczek. W takich okolicznościach nie mam wielkiego wyboru. Zaprezentuję się Damonowi w takim samym stroju jak poprzednim razem.

Już przebrana stoję naprzeciw lustra. Na komodzie przed sobą rozkładam pożyczone od Liliany przybory do makijażu. Usta podkreślam krwistą czerwienią pomadki, a oczy czarną kredką.

Tak udekorowana patrzę w swe lustrzane odbicie. Uznaję, że choć zupełnie nie mam wprawy w takim upiększaniu swej osoby, to chyba wychodzi mi to przyzwoicie.

W kolejności znów jestem na parterze domu, by zaraz powrócić na górę po książki do chemii. Rozkładałam je na stole w salonie, a po kartki i długopisy zawijam się ponownie do swego lokum.

Im bardziej zbliża się czas przybycia Mike'a, tym bardziej jestem rozbiegana i rozkojarzona. Aż wreszcie zdaję sobie sprawę, że ten czas już minął. Potem upływa go cały szmat.

W rezultacie moja uprzednio narastająca ekscytacja transformuje w pogłębiające się rozczarowanie. Już nie latam po domu jak biały motyl, a snuję się po nim niczym mroczna ćma. Bez wiary poprawiam na stole puste szklanki i salaterki z przekąskami. Od niechcenia przecieram na regale miejsca, gdzie wcześniej już wytarłam kurz. Przy oknie leniwie poprawiam zasłonę.

Moje ruchy stają się spowolnione. Również myśli ulegają zastoju i, jak elektrony wokół atomowego jądra, krążą wokół uczucia pustki w sobie. Wszystko bowiem wskazuje na to, że nici z nauki chemii i przede wszystkim tego, z czym miałyby się ona łączyć.

Gdy raptem rozbrzmiewa dzwonek do drzwi. Porywam się do nich, niczym lecąc na anielskich skrzydłach, i już je otwieram!

– Cześć, aniołku.

– Mike... – Promienieję.

– Wpuścisz mnie do środka?

– Jasne, zapraszam. – Usuwam się w bok i daję mężczyźnie wejść do domu. Krótkim korytarzem prowadzę gościa do salonu i zapraszającym gestem pokazuję kanapę, do której dosunęłam stół.

– Całkiem wygodnie. – Damon rozsiada się na wskazanym mu, skórzanym meblu. Bierze ze stołu pustą szklankę i ogląda ją bez przekonania. Podobnie patrzy na soki owocowe na blacie, po czym mówi: – Daj mi piwo.

– Chyba... nie mam.

– To zrób nam po drinku

– To dom... moich krewnych. To abstynenci i zabraniają tu trzymać alkohol. – W niewinnej pozie łączę razem dłonie i nóżki. Mike spogląda na mnie i przesadnie miękko się do mnie zwraca:

– Moje ty biedactwo. Chodź do mnie, no chodź. – Klepie miejsce na kanapie tuż koło siebie. Ja nieśmiało zapytuję:

– To czego się... napijesz?

– Piwa.

– Ale...

– Nic się nie martw, aniołku. – Mężczyzna wyjmując z kieszeni czarnych, skórzanych spodni smartfon i wysyła wiadomość tekstową. – Załatwione – stwierdza.

– Jak... uważasz. – Zajmuję miejsce koło mojego gościa. Unikam jego wzroku i zupełnie jakbym miała nerwicę natręctw, poprawiam wszystko, co znajduje się na stole, a co i tak jest już w najlepszym porządku. Mike z kolei obejmuje mnie ramieniem. Przyciąga do siebie, rozgląda się po salonie i zauważa:

– Wnętrze w starym stylu. Przyznaję, ma swój klimat. – Kiwa z uznaniem głową.

– Podoba ci się tu?

– Jasne, ale ty bardziej, biały promyczku. – Damon uśmiecha się i puszcza mi całusa.

Ozdabiam twarz wyjątkowo szerokim uśmiechem i wstydliwie zasłaniam lico dłonią. – Daj spokój. Pokaż się, ślicznotko. – Mike zdejmuje sprzed moich ust zasłonę i od razu mnie całuje. Tym razem czyni to mocno, namiętnie, w pełni smakując mych warg.

Zmysłowość tak intensywnego pocałunku mnie zniewala. Dlatego, kiedy mężczyzna go przerywa, podążam za nim ustami spragniona dalszych pieszczot. Natrafiam jednak na nieco studzące mój zapal słowa:

– Co z chemią? – Mike zerka na książki. Ja, nie poznając siebie, kokieteryjnie odpowiadam:

– Chemia już tu między nami jest... – Zaplatam palce w wisiorach na klatce piersiowej

Damona. On uśmiecha się drapieżnie, obnażając kły i zapytuje:

– Czyżbyś chciała pominąć teorię i przejść już do zajęć praktycznych?

– Chyba... nie odmówię. – Gładzę męskie ramię.

– Czyli zadania praktyczne z chemii.

– No tak...

– Więc co proponujesz?

– Ty coś zaproponuj, Mike.

– To może... połączymy ze sobą pierwiastki.

– Jakie?

– Pierwiastek męski i żeński. Zobaczymy, co z tej reakcji chemicznej wyniknie.

– Czeka... Mike.

– Nie czekaj, tylko chodź do mnie.

W tym momencie cała już jestem jego. Nachylam się ku niemu, po czym inicjuję drugi, jeszcze mocniejszy pocałunek. Mężczyzna przyjmuje go, ale zaraz pokazuje, kto tu naprawdę rządzi.

Przypiera mnie do krańca kanapy i jednocześnie rozpląszcza na niej. Kładzie się na mnie, a ja oplatom go kończynami. Doczekuję się całej kaskady pocałunków. Dosięgają mej szyi, ramion i piersi. Rozczapierzam palce na szerokich plecach Damona i rozkoszuję się odczuciem napinania męskich mięśni, kiedy Mike coraz mocniej wtula się we mnie.

Takie zespolenie kochanków zawiera dla mnie wszystko co najcudowniejsze. Niczego ponad to nie pragnę. Ale mój kochanek najwyraźniej tak:

– Rozłóż skrzydła, aniołku, polatamy. – W pewnym momencie Damon klęka między moimi udami, po czym odpina sobie pasek od spodni.

– Ale... – Zapiera mi dech. Z siódmego nieba, gdzie dopiero co przebywałam, trafiam jakby na zupełnie nieznaną mi, niepokojące bezdroża.

– Spokojnie, aniołku, to tylko seks. – Mężczyzna zsuwa sobie spodnie do kolan. – Odpręż się, będzie przyjemnie. – Zachęca i znów próbuje się na mnie położyć. Tym razem jednak napotyka zdecydowany opór w postaci moich wyciągniętych rąk, które go odpychają. – Coś nie tak? Myślałem, że tego właśnie chcesz – wyraża zdziwienie moim zachowaniem.

Mi nagle przechodzi cała ochota na amory. Nieważne bowiem jak bardzo mogłabym się rozkochać w Damonie, myśl o pełnej miłości fizycznej z nim napawa mnie czystym lękiem. To o wiele za szybko, za wcześnie dla mnie. Nie chcę tego, w ogóle nie pragnę, co chyba najlepiej oddaje zmiana mojego wyrazu twarzy.

– Już dobrze, aniołku. Nie patrz tak na mnie. Nie jestem żadnym złym wilkiem. Nie chciałem cię przestraszyć ani tym bardziej zjeść. Nic ci nie zrobię. Nie zrobię ci niczego, na co sama się nie zgodzisz. – Słyszę uspokajający głos Mike'a i kojący dźwięk zapinania jego paska od spodni. Lecz w kolejności dochodzi do mnie pełen gniewu głos, który wręcz rani moje uszy, ale i... duszę:

– Ladacznica! Nierządnica w moim domu!

– Cześć, dziadku. – Damon swobodnie macha ręką do Benjamin, który ni stąd ni zowąd pojawił się w salonie.

Zdając sobie sprawę z tego, co właśnie ma miejsce, i jak to z boku wygląda, błyskawicznie wyślizguję się spod mężczyzny. Trwożnie, z poczuciem winy i wstydu, kulę się na kanapie. Krzyżuję też ręce na piersiach, choć wcale nie jestem naga, ale tak właśnie się teraz czuję.

– Angelino... – Dociera do mnie dławiony rozczarowaniem głos Elizabeth. Wuj natomiast nie przestaje gniewnie grzmieć:

– Taki grzech w tym domu! To nie Sodoma i Gomora. To nie jest dom rozpusty!

– Wyluzuj, seniorze. Chciałem tylko dogodzić twojej wnusi.

– To nie jest moja wnuczka! To nie moja wnuczka! – Benjamin oskarżycielsko wytyka mnie palcem.

– Nie twoja? To żałuj, bo to świetny towar.

Jest mi tak słabo. Trafiam z nieba do piekła i nie mogę uwierzyć w to, że w tym piekle to ja jestem potępianą właśnie diablicą. Pragnę powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, cokolwiek. Lecz wszystko nagle zdaje się sprzysięgać przeciwko mnie:

– Mam już twoje zamówienie, szefie! – Wtem do pokoju wpada jakiś chłopak. – Tak jak sobie życzyłeś. Dwa piwka i dwie działki marychy!

– Spadamy stąd, Max. Wyszło tutaj, jak wyszło. Dlatego zamówienie spożytkujemy sami. – Damon dopina pasek od spodni i wstaje z kanapy. Niespiesznie podchodzi do roztrzęsionego Benjamina. Uśmiecha się do niego i, zupełnie jakby chciał dodać mu otuchy, poufale klepie go po plecach. Potem zerka przez ramię. Puszczą mi oko i razem ze swoim kumplem wychodzi z salonu. Ostatnim aktem jego bytności w tej okolicy jest odgłos za oknem stanowiący ostry pisk opon.

Niniejszym pozostaję z krewnymi sama. Pod ich karzącym wzrokiem nie mogę zebrać myśli, aby powiedzieć coś sensownego na swoją obronę. Co gorsze zdaję sobie sprawę, że niezależnie od tego co obecnie zrobię, czy powiem, wyrok na mnie i tak już zapadł.

Ogarnia mnie całkowita bezsilność. Po policzkach ściekają perliste łzy – płaczę.

Mój skruszony widok w końcu miękczy serce Elizabeth. Czyni ona ku mnie krok i wyciąga pomocną dłoń. Powstrzymuje ją jednak bezwzględny uścisk męża za ramię. Nie pozwala on żonie się do mnie zbliżyć, zupełnie jakby moje przekleństwo było zaraźliwe. Stwierdzam zatem, że dość już tu strapięń z mojego powodu. Zsuwam się z kanapy i w pokurczonej pozie pełną bez życia do swojego pokoju.

W moim zacisznym gniazdku na poddaszu nie jest mi niestety ani na jotę na duszy lżej. Jest mi za to tak dziwnie, że tego nie ogarniam. Najchętniej pragnęłabym zapaść się pod ziemię. Chciałabym zniknąć, aby nie doświadczać kompletnego pomieszczenia w sobie.

Zrezygnowana i rozczarowana sobą siadam na łóżku z pudełkiem kart tarota. Z wnętrza drewnianego opakowania wydaję kartę Wisielca. Spoglądam na widniejącą tam postać, jak w me obecne lustrzane odbicie.

Czuję się zawieszona między moim dawnym życiem w cnocie, a nowym, pełnym pokus. Wyraźnie jednak już widzę dokąd prowadzi moja wyboista droga. Mówię więc sobie w duchu, że jeżeli już przeznaczone mi zboczyć w piekielną otchłań, to niech się to w końcu stanie. Niech dokona się w tym względzie przełom. Bylebym dłużej nie przedstawiała sobą żalostnego obrazu istoty, która bezradnie utkwiała na rozstaju dróg. Miota się między nimi i srogo siebie biczuje.

## VII. Tarot – Kochankowie

Karta tarota kochankowie nawiązuje do naszych najważniejszych relacji z ludźmi, nie tylko miłosnych. Karta ta przypomina, że każdy bliski związek ma swoją cenę, swą jasną i ciemną stronę. Uświadamia nas, że nie ma róży bez kolców. Jeżeli więc pragniemy z kimś silnej więzi, zapewne możemy to otrzymać, ale musimy też coś od siebie poświęcić.

\*

Po wydarzeniach w salonie z udziałem moich krewnych i Mike'a na dobre barykaduję się w moim pokoju. Nie idę do szkoły, tylko rozmyślam nad swoim życiem i tym, jak powinnam nim pokierować.

Dociera do mnie, że prowadzenie dalej podwójnego życia, co próbuję uskutecznić, na dłuższą metę nie ma racji bytu. Pozostaje mi więc wybrać bezpieczną przystań u boku krewnych i być cnotliwą panną, albo mogę zaryzykować i wszystko postawić na jedną kartę. W tym przypadku nie byłaby to karta tarota, a symbolizowałaby ją nieokiełznany ogier.

Gdybym zdecydowała się na tę drugą opcję, czy mam prawo żywić nadzieję na to, że wiążąc los z Damonem, dostałabym wszystko, jak w prawdziwym związku kobiety i mężczyzny? Mike zatroszczyłby się o mnie i stanowił prawdziwe wsparcie, opokę? Wreszcie, czy mógłby zostać moim mężem? A może raczej jedynie wykorzysta mnie. Pobawi się mną, po czym odstawi w kącie jak zabawkę, którą szybko straci zainteresowanie.

By w tym względzie przybliżyć się do prawdy, zapewne powinnam porozmawiać z księdzem, boskim powiernikiem. Zamiast tego pomiędzy lekcjami dzwonię do innej osoby, w której od pewnego czasu także pokładam zaufanie:

- Liliana...
- Angelina?! To ty? Jak głupia stałam wozem przed twoim domem prawie do ósmej! Co się z tobą, do cholery, dzieje? Co ty wyprawiasz?!
- Wybacz.
- Mogłaś chociaż zadzwonić albo odebrać mój telefon, jak dzwoniłam!
- Zasnęłam.
- I czego jeszcze kłamiesz, zołzo?!
- Nie nazywaj mnie tak.
- To jak? Bo co ty niby odwalasz?!
- Myślę o... Damonie.
- Och, biedactwo. Znalazł się aniołek ze złamanymi skrzydełkami.
- Przestań, Liliana, już przestań. Przepraszam cię za rano, ok? Ale teraz potrzebuję twojej rady.



– No dobra, to wal. Tylko szybko, bo zaraz mam chemię. Niektórzy, wyobraź sobie, ciągle chodzą do szkoły.

– Chciałam cię zapytać o poprzedniego aniołka.

– ...

– Halo? Liliana? Jesteś tam?

– Tak.

– To powiedz mi, co stało się z poprzednią dziewczyną Mike'a.

– Nie chcesz tego wiedzieć.

– Zaręczam, że chcę, a nawet muszę.

– Odpowiedź brzmi nie.

– Tak.

– Nie.

– Powiedz mi to!

– Nie chcę!

– Mów!

– Dobra. Ona spłonęła, rozumiesz? Spłonęła żywcem!

– Że... jak?

– Ktoś podpalił dom Mike'a, w którym razem mieszkali. To było w czasie, jak w Crestone grasował podpalacz. Zadowolona?

– To straszne... przerażające.

– A żebyś wiedziała.

– A... długo wspólnie mieszkali? Damon był dla niej dobry, jak byli razem?

– Najlepsza para w szkole i w mieście, jak z filmu Hollywood. Ona by mu nieba uchyliła.

On poszedłby za nią do piekła.

– To po jej śmierci wyjechał z Crestone?

– Zgadza się.

– Po co tak naprawdę powrócił? Jak myślisz?

– Może... aby poszukać sobie drugiego aniołka?

– Dzięki, Liliana. To wszystko, co do ciebie miałam.

– Czeka, Angelina. Będziesz jutro w szkole? Tak w ogóle to czemu cię dziś nie ma?

– Pa...

Rozmowa z przyjaciółką jest dla mnie inspirująca. Oto dowiaduję się o trudnej przeszłości Damona, ale też o tym, że jest on zdolny do głębokiej, romantycznej miłości. Przy czym jego największa dotąd miłość okazuje się tragiczna, trochę jak ta Romea i Julii. On jednak wciąż żyje i nadal ma serce, którym może, i zapewne pragnie, kochać. Tak się zaś składa, że to mnie teraz nazywa aniołkiem. Zgodnie z twierdzeniem Liliany nie zwraca się takim określeniem do każdej

blondynki. Podobno w ten sposób, oprócz mnie, nazywał dotąd tylko jedną osobę. Tę, którą utracił w płomieniach, zupełnie jak ja swą ukochaną rodzinę, co nas dodatkowo łączy.

Uskrzydłona nowymi przemyśleniami o wiele optymistyczniej patrzę na potencjalnie głębszą relację uczuciową z Damonem. Skutkuje to tym, że odzyskuję wiarę w świetlaną przyszłość.

Taka też, pozytywnie nastrojona, o dziewiętnastej opuszczam wreszcie swój pokój. Czynię to, by zasiąść z domownikami do stołu.

Zajmuję swoje miejsce przy kolacji. Nieoczekiwanie zauważam jednak, że na obrusie są tylko dwa nakrycia: dla Benjamina i Elizabeth.

Spoglądam pytająco na ciotkę. Ona nisko kieruje swój wzrok. Patrzę więc na wuja. Kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, on silnie zaciska dłonie na sztućcach i gniewnie cedzi przez zęby:

– Bóg Ojciec za dobre wynagradza, a za złe karze. Postąpimy z tobą wedle takich właśnie, boskich prawideł. Nadużyłaś naszej gościnności. Zawiodłaś nasze zaufanie. Opuść więc ten spokojny dotąd dom, abyś nie wpuszczała tu ze sobą panoszącego się zła.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moje dziecko – szepcze ze smutkiem Elizabeth.

– Cicho, głupia. Tej ladacznicy już tylko na jednym zależy i na pewno nie na Bogu.

Przy stole zapada ciężka, nieprzyjemna cisza. Uzmysławiam sobie, że biorę udział w mej ostatniej wieczerzy w tym miejscu, której niedane mi będzie nawet skosztować. Przy czym Judaszem, który mnie wydaje, abym już nie biesiadowała z krewnymi, okazuje się moja miłość.

Skoro jednak sąd ostateczny już się nade mną dokonał i zapadł skazujący wyrok, to nie mam, co się kajać. Zostaję potępiona, wliczona w poczet upadłych dusz, przez co nie otrzymam łaski. Wstaję zatem i bez słowa kieruję się do wyjściowych drzwi.

Widząc, że już w tej chwili, tak jak jestem ubrana i bez żadnego dobytku, zamierzam opuścić dom, Elizabeth za mną błagalnie pokrzykuje:

– Angelino! Na zewnątrz mocno pada. Możesz wyprowadzić się jutro!

– Niech idzie. – Benjamin zgrzyta zębami i orze paznokciami blat. – Miała u nas, jak w rajku i nie doceniła tego. Niech więc poczuje się teraz, niczym zwiedziona przez węża Ewa. Niech doświadczy na sobie wygnania. Niech idzie precz niemal tak, jak ją Pan Bóg stworzył.

Czynię zgodnie ze wskazaniem srogiemu wuja. Przed zmierzchem wychodzę na rześisty deszcz. W rezultacie w parę chwil jestem całkiem przemoczona.

Obecnie nie mam ze sobą niczego poza szarą sukienką na sobie i celem, który sobie wyznaczam. Jest nim znajdujący się po drugiej stronie miasta dom Mike'a. Jego adres znam od Liliany.

Zapukam więc do miejsca, gdzie pragnę znaleźć nie tylko schronienie, ale i dobrą przyszłość dla siebie. Czy wyjątkowy dla mnie mężczyzna rzeczywiście wyciągnie ku mnie pomocną dłoń? O tym zapewne jeszcze tego dnia dane mi się będzie przekonać.

Gdy docieram do centrum Crestone, zapada już noc. Jej nadejście jakby przyspieszają granatowe obłoki, które w całości zasnuwają nieboskłon, odcinając ostatnie promienie słońca.

Ciemne chmury przywodzą na myśl żałobny całun. Lecz ja w swej pielgrzymce do domu kochanka nie odczuwam smutku. Mimo osaczającej mnie zewsząd ciemności, chłodu i wilgoci, w moim sercu ochraniam tłący się tam płomień nadziei. Pragnę wierzyć w to, że zmierzam nie do miejsca wygnania, a raczej do Ziemi Obiecanej.

Tak jak Mojżesz po opuszczeniu ziemi egipskiej, domu niewoli, pokonał długą drogę z zachodu na wschód, tako i moją wędrówkę odbywam w tym samym kierunku. Pieszko przechodzę przez całe Crestone i w strugach deszczu stoję przed drzwiami Mike'a Damona.

W dojmującym mroku nie widzę dzwonka, więc pukam do drzwi. Kiedy pukanie nie przynosi efektu, okładam drewniane wrota piąstkami. Aż desperacko wyję:

– Mike! Mike! – W miarę kolejnych zawołań kierowanych do mężczyzny w mój głos wkrada się coraz silniejsza nuta rozpaczki: – Mike! Proszę cię... Mike!

Nagle mrok zostaje rozproszony przez światło. Widzę je w oknach po bokach drzwi, a one same zostają przede mną otwarte.

Damon ukazuje mi się w samych bokserkach. Z kamiennym wyrazem twarzy spogląda na mnie, doszczętnie przemoczoną, trzęsącą się z zimna, ale też drżącą od emocji i pochlipującą. Patrzy na mnie, zupełnie jakby przenikał mą osobę na wskroś i odgadywał kierujące mną intencje. Wydaje się, że naprawdę to czyni i to z powodzeniem, bo w końcu pyta:

- Na jedną noc, czy na dłużej?
- Na dłużej, Mike. Na dłużej...
- Jesteś pewna?
- Tak.
- Dobra... Poczekaj tu chwilę.

Mężczyzna powraca do mieszkania. Ja stoję pod daszkiem i obejmuję klatkę piersiową ramionami. Chronię się tak przed deszczem i zimnem. Choć w mej obronnej postawie także skupiam się w sobie.

Już do mnie dociera, że otrzymam tu spodziewaną pomoc, co ze wzruszenia wyciska mi dodatkowe łzy z oczu. Żywię też jednak obawę o to, jak odnajdę się pod jednym dachem z prawie obcym, mimo że paradoksalnie mi bliskim, mężczyzną.

Ten, zgodnie z zapowiedzią, powraca, ale nie sam. Wobec serwowanego mi widoku wysoko unoszą brwi, będąc świadkiem ostrej wymiany zdań między Damonem, a... Sandrą.

- Co ty ze mną wyprawiasz, Mike? Oszalałeś? Jest środek nocy!
- Wynoś się.
- Niby dlaczego?!
- Powiedziałem, wyjdź.

- Nie szarp mnie. Daj mi się chociaż ubrać!
- Już cię tu nie ma.
- Mnie? A... a co ona tu robi? Co robi tu ta Święta?!
- Nie rób sceny. Po prostu wyjdź.
- Mam nie robić sceny, nie robić sceny?
- Tak.
- Mam nic nie robić, kiedy wywalasz mnie z domu na zbity pysk dla tej, tej...
- Opuść sobie.
- Kurwa, ty gnoju... Nienawidzę cię. Słyszysz? Nienawidzę!
- No jasne, słyszę. Ale już wypad. Z nami koniec. A ty chodź do mnie, aniołku.

Mike bezceremonialnie wypycha półnagą Sandrę za drzwi i rzuca w kałużę jej różowe ubranie. Mnie, również siłą, wciąga do domu. Na moment zostawia mnie w korytarzu samą. Powraca z błękitnym szlafrokiem, podaje mi go i spokojnie mówi:

- Na lewo jest łazienka, na prawo sypialnia.

Po tych słowach mężczyzna odchodzi w głąb mieszkania. Ja, zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, najpierw idę do łazienki.

W jaskrawo oświetlonym wnętrzu, wysyconym bielą i złotem, zdejmuję z siebie mokrą sukienkę i równie przemoczoną bieliznę. Wchodzę do kabiny i zaznaję ukojenia, racząc się gorącym prysznicem. Pod jego wpływem me ciało ogrzewa się, także rozluźnia. O scenie z udziałem Sandry staram się nie myśleć, a jedynie o tym, że znajduję tu dla siebie bezpieczną przystań.

Po wyjściu z kabiny prysznicowej wycieram się jednym z niebieskich ręczników, które wiszą na złotych wieszakach. Potem podchodzę do umywalki i biorę z niej różowy grzebień. Między jego zębami zauważam długie blond włosy. Domyślam się, do kogo należą. Również nie stanowi dla mnie tajemnicy, czyje są rozłożone na półce pod lustrem przybory do makijażu i kosmetyki.

Raz jeszcze przemyka mi w umyśle obraz półnagiej, wściekłej i zarazem zrozpaczonej chilriderki. Łapię się na tym, że jej upokorzenie stanowi mój triumf. Doznaję olśnienia, że Mike właśnie dokonał wyboru, a jestem nim ja.

Do pewnego stopnia uspokojona takimi wnioskami zarzucam na siebie podarowany mi szlafrok i opuszczam łazienkę. Wchodzę do pokoju naprzeciw niej, który zgodnie z otrzymanymi sugestiami okazuje się sypialnią. Chociaż jest to nie do końca typowy pokój na nocny spoczynek. Obok wysokiego, podwójnego łóżka, widzę tu bowiem kominek, w którym palą się drwa.

Podchodzę do paleniska. Kucam przy nim i wysuwam ku niemu dłonie. Odczuwam na palcach przyjemne ciepło i daję się zahipnotyzować tańczącym językom ognia.

Odbieram wrażenie, że patrząc w płomienie, spoglądam zarazem w oczy Mike'a. Zauważam tu bowiem pewną zbieżność, którą wyznacza opieka, ale też niebezpieczeństwo. Zarówno Damon, jak i ogień, sprawiają, że lgnie się do nich. Lecz istnieje też obawa, że w razie zbyt bliskiego kontaktu z nimi można się sparzyć.

– Wskakuj do łóżka, aniołku.

Słyszę za sobą męski głos. Jest on niczym ognisty oddech, którego przyjemne ciepło mnie całą otula. Sprawia to, że zupełnie już nie odczuwam zimna, również w swym wnętrzu.

W szlafroku kładę się na posłanie. Nie pozwalam zsunąć się ze mnie odzieniu i bacznie chronię swą nagość. Ta jest zdecydowanie zagrożona, bo ma tu męskiego adoratora.

– Spokojnie. Przecież już wspominałem, że nie jestem złym wilkiem. Nie ugryzę ich, jedynie je pocałuję... – Mike powoli przełamuje moje opory. Niespiesznie zdejmuje me dłonie z mej klatki piersiowej. Odślania tam błękitny materiał i pieści moje piersi ustami.

Ten dotyk jest tak zmysłowy, rozkoszny i elektryzujący, że chcąc nie chcąc pojękuję i błogo przeciągam się w pościeli. Ani się obejrzę, a mam już nagiego mężczyznę na sobie i sama też całkiem zostaję pozbawiona ubioru. Wtedy nieco nerwowo reaguję:

– Nie jestem jeszcze na to... gotowa – popiskuję.

– Na co niby nie jesteś gotowa?

– Na... seks.

– Znów te same opory?

– No tak.

– Skąd je w sobie masz?

– Nie wiem. Jakoś tak...

– Zastanów się i mi zdradź.

– Chyba... Chyba nie umiem jeszcze być dość podniecona.

– Ja jestem, bo dopiero co posuwałem Sandrę i z nią nie dokończyłem.

– Nie mów tak.

– Dlaczego?

– To... nieprzyjemne, przykre.

– Nie dla mnie, bo z Sandrą było diabelnie dobrze. Ale wolę dokończyć anielsko z tobą.

– Poczekaj...

– Cicho, aniołku. Dokończę z tobą.

– Ale... W moim domu mówiłeś, że jeśli nie będę chciała...

– Nic już nie mów. Odpręż się.

– Ale ja jestem... dziewicą!

– Już nie jesteś, aniołku. Już nie.

– Och!

\*

Leżę w pozie krzyża, jak martwa. Nie ruszam się i prawie nie odbieram w sobie życia.

Właśnie straciłam niewinność, mój z taką pieczołowitością chroniony dotąd skarb. Co dostaję w zamian? Na pewno nie jest to miłosne spełnienie. Otrzymuję raczej coś jak nasiona, które dopiero wydadzą plony lub nie. Będą one bogate, jako rozkwit związku z Damonem, bądź uschną, jeśli nie trafią na podatny grunt i nie będą pielęgnowane.

Czas zatem pokaże, czym zaowocuje ta niezapomniana dla mnie noc, kiedy to dokonuję się przełom w moim życiu. Oto opuszczam domowe pielesze państwa Nelson, by doświadczyć czegoś zupełnie nowego i spróbować zaznać ciepła u boku Mike'a Damona.

– Przytul się, aniołku. – Leżący na plecach mężczyzna przyciąga mnie do siebie i okrywa mą nagość kołdrą. – Nie zmarznij mi. – Czule całuje mnie w czoło.

Ja wsłuchuję się w bicie męskiego serca. Jest to spokojny, silny, zdecydowany rytm. Pragnę zsynchronizować z nim własne tętno. Tak bardzo pragnę, aby nam się udało być szczęśliwymi, razem, i abyśmy stanowili dla siebie nawzajem zawsze niebo, a nigdy piekło. Mimo naszych grzechów i występków, proszę cię, tak nam dopomóż łaskawy Panie. Amen.

## VIII. Tarot – Słońce

Karta tarota Słońce reprezentuje radość, optymizm i jasną stronę życia. Stanowi symbol rozstępujących się chmur i odejścia od nas dotychczasowych problemów. Karta Słońca sprowadza na nas wielkie szczęście przeżywane w zdrowiu i akceptacji pośród najbliższych nam osób. W przypadku miłości oznacza początek nowego związku.

\*

– Wstawaj, aniołku, już czas.

Budzi mnie delikatne muśnięcie w usta. Podnoszę powieki i widzę pogodną twarz Mike'a. Uśmiecham się, ale z pewnym dystansem. Zaraz jednak mam w sobie już tylko jedną emocję, a jest nią dojmujące zdumienie:

– Ale jak... skąd? – Zauważam, że całe łóżko jest wysypane białymi, kwiatowymi płatkami. Wokół natomiast, wszędzie, gdzie tylko się da, stoją kosze z białymi różami. – Jesteś... szalony! – wyrywa mi się radośnie z ust.

Tonę w męskich ramionach i nagle jest mi tak dobrze, tak cudownie, jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

Patrząc na jasne promienie słońca wpadające do pokoju, to wszędobylskie kwiaty. Jestem widokiem i atmosferą w sypialni wręcz zauroczona. W ogóle nie mam ochoty stąd wychodzić, z miejsca jak raj. Dlatego błagalnie szepczę do Damona:

– Nie chcę iść dzisiaj do szkoły. Chcę zostać tutaj, z tobą...

– Nic z tego, promyku. Pamiętaj, że lepiej jest wiedzieć za dużo niż za mało. Musisz się uczyć.

– Jesteś taki okrutny, wiesz? – Z wymalowanym na twarzy uśmiechem piąstką uderzam mężczyznę w tors.

– Zbierajmy się, już późno. – Ubrany w swoje ciemne skóry Mike podzwiga się z łóżka. Ja jeszcze desperacko próbuję go powstrzymać:

– Chyba nie mam w czym wyjść. Moja szara sukienka na pewno jest jeszcze mokra, mokrusieńka.

– Daj spokój. Moim zdaniem wygląda na całkiem suchą, chociaż trochę zmieniła kolor i fason. – Damon sięga do tekturowego pudła przy łóżku, po czym, jak magik, wyciąga śnieżnobiałą suknię. Nie byle jaką, bo tak pełną zdobnych falban, że suknia ta przypomina ślubną.

Z wrażenia zakrywam dłońmi usta. Mężczyzna zaś prezentuje mi wyjątkowe ubranie w pełnej krasie:

– Jeszcze tylko odgryzę metkę, tfu, i gotowe.

Odbieram z cudzych rąk olśniewające wdzianko i ostrożnie pytam:

– Mam w tym iść do... szkoły, tak?

– Raczej nie do kościoła na ślub. Mam alergię na wodę święconą – szczyrzy się Damon i dodaje: – Będę na ciebie czekał w samochodzie. Jak chcesz czymś się zapchać przed wyjściem, kuchnia jest na lewo na końcu korytarza.

Nie chce mi się jeść. Wyłącznie, czego pragnę, to się uszczypnąć, aby przekonać się, że to nie sen.

To nie jest sen...

To nie jest sen.

To naprawdę nie jest sen!

Rozradowana ubieram się w przepastną suknię, która pasuje na mnie idealnie. Zamiast do kuchni biegnę do łazienki, by czym prędzej przejrzeć się w lustrze.

Wyglądam cudownie...

Wyglądam olśniewająco.

Wyglądam jak anioł!

Jak na skrzydłach lecę do czerwonego Lamborghini Mike'a, które zaparkował tuż przed domem. Uszczęśliwiona zasiadam koło kierowcy, a wtedy uraczona zostaję kolejnymi prezentami:

– To twój nowy smartfon. – Mężczyzna wręcza mi telefon, po czym zaznacza: – Masz tam wpisany mój zastrzeżony numer. Nikomu go nie pokazuj. Jest tylko dla ciebie. No i jeszcze klucze do mojego domu, bo teraz to także twój dom. Trzymaj.

– Dziękuję... Mike. – Odbieram upominki i w podzięcie sprzedaję słodkiego całusa darczyńcy.

On mruga mi okiem i nagle potężnie daje gazu. Siła ciężenia aż wgniata mnie w miękki fotel. Jestem świadkiem tego, jak z zawrotną prędkością pokonujemy kilkanaście uliczek i już jesteśmy przed szkołą.

Damon parkuje koło furgonetki. Idzie porozmawiać z jej kierowcą i za chwilę razem zmierzają na tyły pojazdu. Otwarte tam zostają podwójne drzwi i z wnętrza samochodu coś jest wyciągane. Kiedy zaś zauważam, czym takim to jest, ucieszenie piszczę:

– Nawet nie ma mowy. Nie założę tego do szkoły!

– To tylko na prezentację. Przejdziesz w tym szkolnym korytarzem, a ja będę ci towarzyszył. – Mike demonstruje mi rozłożyste, anielskie skrzydła, które aż kłują w oczy nieskazitelną bielą.

Kręcę z niedowierzaniem głową. Lecz memu mężczyźnie z radością ulegam.

Wychodzę z wozu i daję sobie przypiąć do pleców anielską ozdobę. Następnie Damon mnie obejmuje ramieniem i razem idziemy do szkoły.



Parking jest dziwnie o tej porze wyludniony. Za to, kiedy przekraczamy próg college'u, rozbrzmiewa ogłuszający aplauz z setek studenckich gardeł. Jest to jednak dopiero początek niezwykłych owacji na naszą cześć.

Oto kroczymy środkiem korytarza, a z dwóch naszych stron uczniowie sypią ku nam białe płatki kwiatów, klaszczą i dalej wznoszą wiwaty. Temu szaleństwu wydaje się nie być końca, ponieważ szkolny korytarz przed nami się ciągnie i ciągnie, a my niespiesznie, bo dostojnie, stawiamy kroki.

Uradowana tak powszechną adoracją posyłam na lewo i prawo promienne uśmiechy. W stylizacji anioła pozdrawiam gestami dłonią podziwiających mnie uczniów. Tulę się do obejmującego mnie Mike'a i rozkoszuję się uczuciem jakby wniebowstąpienia.

Ze szczęściem, jakie przeżywam, nic nie może się równać. Brakuje mi już chyba tylko wokół głowy świetlistej aureoli z samej korony słońca. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Damon nawet takie cudo mi podarował. Mi, swemu nowemu, jedynemu aniołkowi, o czym każdy może się teraz przekonać.

– Angelina, Angelina! Tak się cieszę! – Na końcu korytarza Liliana skacze na mnie z rozpostartymi ramionami. Obejmuje mnie mocno i z uczuciem, zupełnie jak swą kochankę.

Zadzieram podbródek i wspinam się na palcach. Z wywyższonej pozycji głaszczę po głowie poczciwą pieguskę. Zachowuję się, jakbym zsyłała na nią mą jaśniejącą łaskę, aby i ona mogła się w świetle mego szczęścia wykąpać.

Jest mi tak niesamowicie, że nawet po odpięciu skrzydeł odbieram wrażenie, iż nadal je mam na plecach. Me ciało nabywa niebywałej lekkości, także dusza wydaje się wznosić.

W takim uniesieniu, uskrzydłona, czasowo zaznaję rozłąki z moim wybrankiem. Udajemy się bowiem zasiąść na lekcjach w innych salach oraz innych ławkach.

Na szczęście na przerwach znów łączymy się razem. Chyba że akurat zostanę zatrzymana tamą w postaci studentów, z których każdy jest ponoć moim bliskim przyjacielem i pragnie być jeszcze bliższym.

Ja niezmiennie zatrzymuję przy sobie dumną z tego Lilianę. Jak wyższa, niebiańska istota nagradzam tym samym zasługi i lojalność maluczkiej Carterówny.

Za to po szkole już czeka na mnie czerwone Lamborghini. Jego piekielny warkot przyzywa mnie. Ja zaś z rozkoszą tej diabelskiej pokusie się oddaję.

Mike zawozi mnie prosto do centrum handlowego. Szalejemy w nim z zakupami i nie znamy w nich umiaru. Szczególnie Damon ma ambicję kupić mi chyba wszystko, co jest seksowne, białe i drogie. Poza ubraniami, które spełniają wspomniane kryteria, obdarowana zostaję złotą i srebrną biżuterią. W ten sposób z anioła przekształcam się jakby w jaśniejącą królową u boku mrocznego rycerza.

Razem z nim pod wieczór udaję się samochodem za miasto. Zabrana zostaję nad niezmiernie wysokie wody Pacyfiku. Zasiadamy tu na klifie, by oglądać rozbijające się o wysoki brzeg spienione fale, a na niebie podziwiamy ognisty zachód słońca.

W takiej scenerii przekazujemy pizzę, karmiąc się nią nawzajem. Obejmujemy się też, to całujemy. Ponadto, by czegoś więcej dowiedzieć się od samego Damona na jego temat, nawiązuję z nim swobodną rozmowę:

– Wychowałeś się tutaj, w Crestone i okolicy? – zapytuję.

– Stąd pochodzę.

– Jesteś tu dość popularny.

– Nawet bardzo. – Mike szczerzy się, nie udając fałszywej skromności. Urzeka mnie jego otwartość. Korzystam z niej i dalej go podpytuję: – Czym sobie zawdzięczasz takie uwielbienie tłumów?

– Urodziłem się już tak wspaniały, że po prostu naturalnie wszyscy mnie kochają. Czyż można mnie nie kochać? – Mężczyzna zastyga z zadziornym uśmiechem na twarzy.

Znów mnie rozbawia.

– Droczyś się? A chcesz się doigrać?! – Roześmiana popycham Damona, zupełnie jakbym za karę chciała zrzucić go ze skarpy. Chociaż ze względu na jego posturę nie jestem w stanie przesunąć go nawet o cal. W innym względzie nie daję jednak za wygraną, przez co naciskam: – No wyduś to z siebie. Na czym polega twój największy czar?

– W Crestone sporo udzielałem się charytatywnie. – Mike bierze z ziemi kamień. Rzuca nim hen przed siebie w kierunku spienionej wody i obserwuje jego lot.

Ja obserwuję mężczyznę. Czekam, aż to co powiedział, obróci w kolejny żart, abym znów mogła udawać dąsy i boksować się z nim piąstkami. Ale on poważnieje.

– Naprawdę bezinteresownie pomagałeś finansowo ludziom? – wyrażam zdumienie.

– A co, nie wyglądam na takiego? – Damon znów spogląda na mnie. Ja, zarażona prawdomównością, otwarcie odpowiadam:

– Nie chodzi o to, jak wyglądasz. Miałam raczej na myśli tę kwestię, że niewielu ludzi stać na taki gest. Przykładowo u mnie, w Teksasie, ciągle słyszałam w kościele, że należy pomagać ubogim i potrzebującym. Ale nie pamiętam, aby ktoś z moich znajomych rzeczywiście dzielił się swoim majątkiem. Sama zresztą nie jestem w tym względzie lepsza...

– Nie obwiniaj ich, czy siebie. Może zwyczajnie nie mieliście dość dużego majątku, by się dzielić. – Mike puszcza mi oko.

– Taki z ciebie krezus? – Zerkam z ukosa na Lamborghini, które musiało kosztować majątek. Damon przechwytuje kierunek mojego spojrzenia i potwierdza:

– Mam czym się dzielić. O to się nie martw.

– Na pewno nie powinnam się martwić, jak nagle znikasz w interesach?

– Nie powinnaś.

– Co to za... interesy? – zawieszam głos. Mike wzrusza ramionami i z rozbrajającym uśmiechem na twarzy oznajmia:

– Najlepsze moje interesy to... nielegalne interesy.

Wobec tego oświadczenia patrzę badawczo na mężczyznę. Nie urodziłam się wczoraj, trochę znam już świat, więc zasłyszana odpowiedź mnie bardzo nie zaskakuje, bardziej niepokoi.

Dlatego markotnie zauważam:

– Jakbyś do tego stopnia wszedł w konflikt z prawem, że zabrałaby mi cię policja, rzuciłabym się z tego klifu. Naprawdę bym się rzuciła i to bez skrzydeł.

– Myślałem, że raczej poszłabyś mi dotrzymać towarzystwa w pace? – Mike wysoko unosi brew.

– Chciałbyś? – podchwytyję, gotowa iść w tym temacie na wymianę ciosów. Damon zaś, jak to on, bezpośrednio stwierdza:

– To jest twój wybór, jak pokierujesz swoim życiem. Ja nie zamierzam mieć przed tobą tajemnic. Jeżeli zechcesz, to cię w moje interesy wprowadzę.

– Aż tak mi ufasz?

– Czemu nie?

– Przecież prawie się nie znamy. Raptem kilka dni.

– Sto lat, czy jeden dzień. Co za różnica? – Mężczyzna ujmuję mój podbródek i kieruje ku sobie. – Pamiętasz Romea i Julię?

– Pamiętam... – Mrużę oczy, a usta składam do pocałunku.

– Romeo i Julia. Im wystarczyła jedna noc, aby byli gotowi pójść za sobą w ogień. Ja bym za tobą poszedł.

– Ja za tobą też, Mike... – Smakuję męskich warg. Są takie gorące.

W urzekającej scenerii płomiennego zachodu słońca, którego ognistości nie zagraża cały ocean wody, całuję się z moim wybrankiem. W miarę trwania pocałunku przekonuję się, że pragnę dzielić z Damonem wszystko. Niczym jego żona chcę być z nim w zdrowiu i w chorobie, w szczęściu i w niedoli. Nie zawaham się wyjść nawet poza nawias prawa, jeżeli tylko miałyby to nas jeszcze do siebie zbliżyć. Uczynię, co w mojej mocy, by naszą relację przekształcić w istic niebiańską czarę rozkoszy.

– Zbieramy się. Zaraz będzie noc.

Wobec wskazania Mike'a niebawem pędzimy już szosą z powrotem do Crestone. Mijamy półpustynny krajobraz naznaczony rdzawymi pagórkami i ciemną zielenią nielicznych krzewów oraz kaktusów.

W domu Damon pokazuje mi mój nowy pokój, gdzie zanosi stos pakunków z dzisiejszych zakupów. Przy okazji nadmienia, że dowolne meble do niemal pustego pomieszczenia mogą sobie zamówić z katalogu, a on pokryje koszty.

Ripostuję, że sama mogę zapłacić, bo nie narzekam na brak pieniędzy, które mam ze spadku po rodzicach. W odpowiedzi doczekuję się karcącego klapsa w tyłek, który ma mi wytłumaczyć, że wszystko, czego potrzebuję, zasponsoruje Mike.

Nie kłócę się, a doceniam szczodrość mojego nawet nie tyle nowego, co w ogóle pierwszego w życiu chłopaka. Pragnę mu się też za okazane względy odwdziaczyć. Również chcę go czymś obdarować. Czymś, co szczególnie doceni i co sprawi mu wyjątkową przyjemność. Dość oczywisty wybór pada na moją osobę.

– Zmęczony po intensywnym dniu? – W zwiewnej, nocnej koszuli, wchodzę do sypialni. Staję koło siedzącego na łóżku Damona, który właśnie zakończył z kimś telefoniczną rozmowę i rozmasowuję mu kark. Potem klękam i z uniżonej pozycji spoglądam w męskie oczy.

– Słodka jesteś. – Mężczyzna gładzi mnie po włosach i po policzku.

– Mogę być taka, jaką najbardziej chcesz. – Tulę się do silnej dłoni. – Mogę być taka, jaką tylko sobie zażyczysz.

– Czyli jaka?

– Nie wiem. To ty masz wypowiedzieć życzenie. – Powoli wstaję. Mike czyni kłamrę z ramion pod moimi pośladkami. Przyciąga mnie do siebie za pupę i zaintrygowany pyta:

– Zmieniła byś się w coś dla mnie z niewinnego aniołka?

– Dla ciebie... tak.

– No to cię zaczaruję...

– W co mnie... zaczarujesz?

– W...

– Tak?

– Przemienię cię z jaśniejszego aniołka w pryszczatą, paskudną ropuchę...

– Ojej... – Udaję przestraszona, składając ręce na piersiach. – I nie będziesz się bał takiej brzydkiej żabki pocałować?

– Nie będzie we mnie strachu.

– Dlaczegoż to, mój ty książę od ropuch?

– Ponieważ pod wpływem mego pocałunku znów przemienię brzydką żabę w pięknego aniołka.

Po tej surrealistycznej wymianie zdań, rodem z bajki, razem z Damonem spoglądamy sobie głęboko w oczy, po czym wybuchamy głośnym rechotem, jak żaby. Za chwilę mój śmiech zmienia się w ucieszny pisk, kiedy z diabelskim uśmieszkiem na ustach mężczyzna podszczypuje mi krocze, kumkając przy tym:

– Kum, kum. Kum, kum.

Walczę, wzbraniam się, to jednak ulegam, by Mike dotykał mnie w miejsce, które już nie jest dziewicze, a należy teraz na równi do mnie, jak i do niego. Jesteśmy bowiem obecnie jak jedność. Połączeni przez szczęście, zadowolenie i zachwyt, a może już nawet przez najprawdziwszą w świecie wspólną... miłość.

## IX. Tarot – Cesarzowa

Karta tarota Cesarzowa symbolizuje narodziny czegoś nowego, o czym dotąd nieraz nawet nie śmieliśmy marzyć. To otwarte wrota do osiągnięcia sukcesu. Karta ta pokazuje nam, że świat ma w sobie nieskończoną obfitość, z której możemy nieprzerwanie czerpać dla swego dobra.

\*

Luźne ustalenia z Damonem, odnoszące się do wprowadzenia mnie w jego interesy, szybko nabierają realnych kształtów. Początkowo mam zobaczyć jego nowo otwarty klub ze striptizem.

Jeszcze tydzień temu, słysząc o takim miejscu, tylko bym się przeżegnała, po czym modliła się za upadłe dusze istot korzystających z takiego, diabelskiego przybytku. Obecnie, zauroczona moim wyzwolonym z konwenansów mężczyzną, i pod jego przemożnym wpływem, nawet z ekscytacją oczekuję pokazania mi mrocznej odsłony Crestone. Pewnej nocy dane mi jest ją poznać w pełnej krasie.

– Jesteśmy na miejscu. – Mike parkuje wóz we wschodniej części miasta, sporo na południe od naszego domu.

Ubrana w długą, białą suknię wychodzę z czerwonego Lamborghini na chodnik i podziwiam przed sobą nocny klub. Nad wejściem do niego widnieje stworzony z neonowych lampek wizerunek anioła z płonącymi skrzydłami. Napis powyżej czytam na głos:

– „Pod Płonącym Aniołem”...

Domyślam się, że nazwa tego przybytku jest stworzona na cześć mojej poprzedniczki u boku Mike'a. Dotąd go o nią nie pytałam, bo w sumie nie wiem, co chciałabym na jej temat usłyszeć. Obawiam się też rozdrapywać u bliskiego mi mężczyzny stare rany. Widzę jednak, że bynajmniej nie ucieka on od trudnej przeszłości. O swej dawnej miłości pamięta i w pewien sposób czci jej pamięć.

– Wskakujemy do środka. – Tymczasem ubrany na czarno Damon bierze mnie pod rękę i prowadzi do wnętrza klubu. Para goryli przed wejściem pozdrawia nas serdecznie i wpuszcza do środka.

– Matko Boska... – Przekroczywszy próg, aż przystaję i dłużej nie mogę się ruszyć. W uszy wlewa mi się głośna, taneczna muzyka, która dudni jakby we mnie samej. Oddech w piersi zapiera mi intensywna woń tytoniowego dymu, przez który, jak przez mgłę, obserwuję isticie piekielny obraz.

Oto pomiędzy dwoma szpalerami męskich gości zasiadających na krzesłach ciągnie się tu długi, wąski parkiet, jak do pokazu mody. Z tą tylko różnicą, że nie przechadzają się tutaj modelki, a w wyuzdanych pozach wyginają się na rurach striptizerki.

Niektóre z tańczących kobiet są praktycznie nagie, bo pozostają jedynie w butach na wysokich obcasach. Trzymając się drążków, zwieszają się z nich głową w dół, to wspinają się wysoko, by korkociągiem zjechać po palikach na parkiet. Wszystkie te akrobatyczne popisy kwitowane są wiwatami męskiej publiki.

Do kompletu mieszane towarzystwo, bo damsko męskie, znajduje się przy każdym z dwóch barów, które są usytuowane symetrycznie po obu stronach lokalu. Widzę tam uwijających się barmanów i podświetlone półki, uginające się pod ciężarem butelek z różnobarwnymi trunkami.

Ponadto tu i tam przechadzają się półnagie kobiety. Zaczepiają klientów, jak prostytutki i wskazują na schody, które prowadzą na wyższą kondygnację.

Ciekawska akurat zadzieram tam głowę. Ale w tym momencie Mike ciągnie mnie ze sobą w głąb sali. Ulegam i razem z moim mężczyzną mijam pozdrawiających nas gromko bywalców tego miejsca.

U szczytu pomieszczenia wchodzimy po schodkach na wywyższoną platformę. Stoją tutaj dwa czerwone trony z połączanymi ramami. Za jednym z siedlisk widnieje wymalowany na ścianie czarny pentagram. Za drugim tronem przyczepione są anielskie skrzydła.

Zajmuję miejsce ozdobione skrzydłami, które, jak domniemam, jest tu przygotowane specjalnie dla mnie. Od razu pojawia się koło mnie półnaga kelnerka, która w przykłeku demonstruje tacę z pełnymi kieliszkami.

Czuję od nich woń alkoholu i wybieram pierwszy z brzegu o złocistym zabarwieniu. Zasiadający koło mnie Mike rączy się krwistoczerwonym trunkiem. Czyni ku mnie pozdrawiający gest kieliszkiem i jego zawartość wypija jednym haustem. Ja ledwie maczam usta w ostrawo kwaśnym napoju. Odejmuje go sobie od warg i sztywno siedzę na swoim tronie.

Zaintrygowana spoglądam na świat, od którego do niedawna całkowicie się odżegnywałam. Nawet więcej, bo brzydziłam się czymś takim, jak zabawą pośród golizny i alkoholu. Gdy jednak nie patrzę na otaczającą mnie rzeczywistość przez religijny filtr, coraz bardziej się do niej przekonuję.

Doświadczam tu czegoś diametralnie odmiennego niż w kościele, ale nie mogę napiętnować tego, jako jednoznacznie złe. Odbieram tutaj pulsujące życie, jego jakby wzmocnioną energię. W miejsce stonowania i wyciszenia w sakralnych budynkach w nocnym klubie jestem świadkiem żywiołowej ekspresji i głośnego wyrażania ognistych emocji.

Ogień. Jest on tu także bezpośrednio obecny. Co pewien czas wystrzeliwuje bowiem z otworów w parkiecie pomiędzy tańczącymi striptizerkami.

Zresztą te rozneglizowane dziewczyny też są płomienne. Na pewno nie mogę im tego odmówić. W przeciwieństwie do mnie, bo zasiadam na tronie niczym niedająca się roztopić kostka lodu. Za to mój partner wydaje się tu być w swoim żywiole:

– Muszę na chwilę zniknąć w otchłani mroku. Wybacz, aniołku. – W pewnym momencie Damon wstaje. Podryguje tanecznie w takt muzyki, wypija jeszcze jednego drinka i przedstawia mi nowego przybysza: – Poznaj Alexa. – Klepie po plecach rudawego mężczyznę, który ubrany jest podobnie jak Mike. On sam dodaje: – Alex zaopiekuje się tobą pod moją nieobecność.

– Kiedy wrócisz?! – rzucam tęsknie, a nawet z nutą paniki, za Damonem. Ten jednak już schodzi z podestu i w głośnym pomieszczeniu mnie nie słyszy. Bez niego czuję się tu bardziej nieswojo. Mocniej wciskam się w mój tron i przyjmuję na nim jeszcze sztywniejszą pozę.

Mężczyzna, który się obecnie do mnie dosiada, zachowuje większy luz, ale nieprzesadny. Zasiada on w naturalny sposób. Przez chwilę z nowej perspektywy podziwia salę, a potem już tylko mnie.

– Jestem Angelina – mówię, widząc, że niejaki Alex nie odrywa ode mnie wzroku. On ledwo zauważalnie się uśmiecha, zupełnie jakby taki grymas twarzy był u niego obcy. Następnie potwierdza:

– Tak, jesteś Angelina. Nowy aniołek Mike’a i przyjaciółka mojej siostry.

Słyszac to, nie dopytuję, kto taki jest tą siostrą. Odkąd bowiem jestem dziewczyną Damona, nagle każdy twierdzi, że jest moim przyjacielem. Lecz okazuje się, że tym razem chodzi o kogoś autentycznie mi bliskiego:

– Liliana sporo mi o tobie opowiadała.

– Jesteś... bratem Liliany Carter? – Raptem patrzę na rudzielca koło mnie w zupełnie nowy sposób, bo z żywym zaciekawieniem. On zapala cygaro, zaciąga się i skinieniem głowy potwierdza kogo ma za rodzeństwo. Ja natomiast ostrożnie dodaję: – Ona, Liliana, wspominała, że jej brat jest za kratkami...

– Właśnie wyszedłem. – Mężczyzna wypuszcza z ust kłęby dymu, nie bacząc, aby mnie ominęły. Ja jego wyznaniem wyrażam nieśmiało zainteresowanie:

– Skoro siedziałeś w więzieniu, to czy... przeskrobałeś coś poważnego?

– Ja nie do końca. Bardziej on. – Alex wskazuje cygarem na Mike’a, który akurat wchodzi po schodach na wyższy poziom. Spoglądam tam, ale szybko odrywam wzrok od mojego chłopaka i zaintrygowana słowami jego kumpla dopytuję:

– Co dokładnie rozumiesz przez to, co powiedziałeś? Kto co przeskrobał i kto za to poniósł odpowiedzialność?

– Był czas, że pewne interesy Damona, które powinny pozostać w tajemnicy, wyszły na jaw. Gliny zwęszyły trop i kogoś musiały dostać na pożarcie.

– Mike... kazał ci się poświęcić? – Z kwaśnym wyrazem twarzy wpatruję się w poważnego mężczyznę koło mnie. On kręci przecząco głową. – To co się wydarzyło? – nie ustępuję.

– Z własnej woli wziąłem na siebie cały brud.

– Czemu to zrobiłeś?



– Powiedzmy, że spłacałem dług wdzięczności.

– Jaki... konkretnie?

Alex podciąga sobie rękaw skórzanej kurtki. Pokazuje mi wytatuowane przedramię i zdradza:

– Kiedyś żyły na tej grabie pełne były nakłuć po igłach. Mike wyciągnął mnie z prochów. Zapłacił za klinikę odwykową. Jak z niej wyszedłem, pilnował mnie. Dał mi też u siebie robotę. Więc jak była okazja, zrewanżowałem się. Zrobiłem, co trzeba.

– Rozumiem... – Składam dłoń na sercu. – Liliana mi o takich szczegółach nie wspominała.

– Lilia tego nie wie.

– Więc... czemu mi tak swobodnie to mówisz? – wyrażam zdumienie.

Dłużnik Damona dłużej patrzy na mnie w sposób, który jest wyjątkowo tajemniczy, ale też niepokojący. Wreszcie odrywa ode mnie wzrok i wraz z wydechanyymi kłębam dymu rzuca w powietrze:

– Mike ci ufa, to i ja ci ufam. Tutaj tak między nami jest. W pewien sposób jesteśmy sobie bliżsi niż tradycyjna rodzina.

– My, czyli... kto? – Zadając to pytanie, odbieram w sobie pewną słabość. Odpowiedź z kolei sprawia, że zamieram:

– Co tu dużo gadać. Jesteśmy gangsterami, a Mike jest naszym bossem, tyle.

– Spadaj, Alex. Dość rwania mej panny.

Pochłonięta rozmową nawet nie zauważam, kiedy powraca Damon.

– Jest twoja, szefie. – Brat Liliany wstaje z zajmowanego miejsca. – Ma... ładne piórka ten twój nowy aniołek. – Rudawy mężczyzna gasi cygaro na poręczu mego tronu, czyniąc to tak blisko mnie, że prawie przypala mi suknię. Potem odchodzi. Jego miejsce, czyli w zasadzie swoje, zajmuje Mike. Pewien czas siedzimy razem w ciszy. Aż, wyjątkowo jak na niego poważnym tonem, mój chłopak mnie pyta:

– Alex mówił coś dziwnego?

– Co masz na myśli?

– Nie wiem. Wspominał o czymś nietypowym? O czymś co wydało ci się specyficzne?

– Powiedział, że mu pomogłeś i w rewanżu zaliczył za ciebie odsiadkę.

– To wszystko?

– No tak.

– Nie mówił nic o... pożarach? – Mike przyspila mnie ostrym spojrzeniem. Nie podoba mi się to jego spojrzenie, sugerujące, że może sama coś skrywam. Dlatego nieco podrażniona posyknę:

– Podobno wśród waszej gangsterskiej braci nie ma tajemnic. Więc jak coś masz do Alexa, to sam z nim pogadaj.

– Dobrze, aniołku, już dobrze. Wszystko gra. – Damon uśmiecha się dobrotliwie. Choć jakby z lekką nutą smutku, bo jego wzniesiony kącik ust nie współgra symetrycznie z drugim, dla odmiany opadającym. Następnie przeciąga się szeroko i już, zdawałoby się, w pełni odprężony pstryka na kelnerkę. Za chwilę raczy się jeszcze jednym drinkiem. Takowy proponuje również mi, z czego korzystam.

Dwa kieliszki wysokoprocentowego alkoholu wystarczają, abym nastrojem dostosowała się do Mike'a. W głowie czuję szum, w ciele rozluźnienie, a mój umysł odpływa od wszelakich trosk.

Lekkie upojenie alkoholowe przyczynia się do tego, że dalszy czas w nocnym klubie spędzam na tronie dumna i spokojna niczym sama cesarzowa, która z wyższością przygląda się swoim poddanym. Oni, pod moimi skrzydłami, wydają się być szczęśliwi.

Przed północą ich opuszczam. Z lokalu zostają zabrana przez mężczyznę w roli cesarza. Jak do karocy trafiam do Lamborghini. Ten wóz zawozi mnie na obrzeża miasta, gdzie znajduje się stary parking stanowiący kiedyś część kina dla zmotoryzowanych.

Obecnie nie ma tu innych samochodów. O niegdysiejszym przeznaczeniu tego miejsca świadczy jedynie ustawiony tu wielki, srebrny ekran, który jest mocno zdezelowany.

Widzę, że Damon w zadumie wpatruje się w płytę służącą do wyświetlania na niej ruchomych obrazów. Patrzy w taki sposób, jakby za jego plecami włączony był projektor i dzięki temu oglądał film.

Domniemam, że oczyma wyobraźni to właśnie czyni – podziwia kadry ze swej przeszłości. Wysnuwam przypuszczenie, że wspomina swoją poprzednią dziewczynę, która spłonęła. Dopiero co opuściliśmy bowiem lokal nazwany na jej cześć. Ponadto Mike pytał mnie, czy nie rozmawiałam z Alexem na temat pożarów. Sumuje się to na fakt, że odbieram w sobie zazdrość. Mimo krążącego w mych żyłach alkoholu nieco się spinam.

Damon z kolei już całkiem oddaje się melancholijnemu nastrojowi. Włącza w radiu nostalgiczną muzykę, której akompaniuje kobiecy głos przywodzący na myśl anielski śpiew. Ponadto robi skręta i zapala marihuanę. O mnie wydaje się całkiem zapominać.

Nie podoba mi się to nagłe lekceważenie i marginalizowanie mojej osoby. Aby nie czuć się tu całkiem zbędną, wiem, że powinnam jakoś zareagować.

Pragnę coś powiedzieć. Mam jednak problem z doborem odpowiednich słów pociechy. Każda ich wersja, która przychodzi mi do głowy, wydaje mi się infantylna, oklepana, i nie na miejscu. Tym bardziej za nierozważne uważam strzelanie fochów, dąsy i skarżenie się, by zwrócić na siebie uwagę.

Z braku przekonujących mnie alternatyw wybieram trzecią opcję. Jest nią wspieranie mojego mężczyzny nie słowem, a czynem.

Wysuwam rękę w kierunku Mike'a i wodzę nią po jego klatce piersiowej. On nie reaguje, więc przenoszę dłoń na jego lekko zarośnięty policzek. Tam też umieszczam swe usta.

Moje lekkie pieszczoty wydają się nie wzbudzać męskiego zainteresowania. Sytuacja ulega zmianie, kiedy smakuję ust Damona. Wówczas zostaje on jakby wyrwany z hipnotycznego transu. Spogląda na mnie, zupełnie jakby był zaskoczony moją obecnością tutaj, a do tego widział mnie pierwszy raz. Lecz moje pocałunki sprawiają, że przytomnieje.

– Ciesz się mną, że tutaj ze mną jesteś. Akurat ty – mówi i znów zaszczycą mnie uwagą. Odwzajemnia namiętność i przez moment się w niej aż zatracą, także we mnie. Potem częstuje mnie skrętem.

– Dziękuję – odpowiadam. Obdarowana biorę podarek do ust, ale się nie zaciągam. Za to korzystam z okazji i przysuwam się bliżej do mężczyzny, aby mógł mnie objąć. Czyni to, i to zdecydowanie, wręcz zaborczo, co wreszcie daje mi pełną satysfakcję.

Na jej fali zmieniam moje uprzednio kosmate myśli na bardziej pozytywne. Tłumaczę sobie, że mój związek z Damonem jest ciągle świeży, do tego nieformalny. Trudno więc, abym już na tym etapie znajomości oczekiwała od mego partnera, że całkowicie porzuci myśli o swej przeszłości, z którą przecież każdy z nas jest mocno związany. Dochodzę do wniosku, że na każdą bardziej radykalną zmianę potrzeba czasu.

Niemniej pocieszam się, że w teraźniejszości to właśnie ja jestem w samochodzie Mike'a. Ja mieszkam w jego domu i sypiam z nim w łóżku. To mi dane jest zasiadać przy nim na tronie. Wreszcie to mi przysługuje tytuł anioła i specjalne względy, jak samej cesarzowej.

Z tej obfitości pragnę dla siebie czerpać, ile tylko zdołam. Ponadto sądzę, że profitów z tytułu bycia dziewczyną Damona to dla mnie bynajmniej nie koniec. Podświadomie czuję, że mogę doznać wręcz niezmiernego szczęścia, gdy Mike ostatecznie porzuci myśli o dawnej dziewczynie. Wtedy w jego sercu będę już bowiem tylko ja. Wówczas zasiadę w nim jak sama cesarzowa na tronie i tylko mnie będzie już bez pamięci kochał.

## X. Tarot – Kapłan

Karta tarota Kapłan odnosi się do wewnętrznego rozwoju, naszych emocji i myśli. Karta ta pyta o nasze zasady moralne i o to, czy się do nich stosujemy. Poprzez kontakt z naszą podświadomością i sumieniem przekazuje informacje o tym, jak powinniśmy postąpić w razie trapiących nas dylematów.

\*

– Jesteś niepoprawny, nieznośny, po prostu niemożliwy! Nie będę uprawiać hazardu. Nawet nie ma mowy! – Zasiadając w Lamborghini, śmieję się do Mike’a wobec jego nowej propozycji. On nie przestaje mnie kusić:

– Ruletka, kości, karty, automaty. Czego tylko sobie zażyczysz, aniołku.

– Powiedziałam, że nie będę grać! To jest zepsute, niemoralne.

– To ekscytujące i fajne – ripostuje Damon. Uśmiecha się przy tym tak ujmująco, że mimo mego stanowczego oporu wyrażanego w słowach, wewnątrz zaczynam ulegać.

– Zwyczajnie nie, i tyle. – Udamę raptem obrażoną, na siłę ściągając kąciki ust ku dołowi. Te jednak już podwijają mi się do góry, gdy otrzymuję słodkiego całusa.

– Umówmy się tak. Dostaniesz ode mnie kasetkę żetonów. Jak je przegrasz, będziesz miała kasyno z głowy. Jak coś wygrasz, dzielimy się po połowie.

– Taki z ciebie spryciarz? – Wytykam mężczyźnę palcem, a języczek zawijam na górną wargę. – Liczysz, że się obłowisz, korzystając z mojego szczęścia? Skorzystasz z tego, iż jestem urodzona pod szczęśliwą gwiazdą?

– A jesteś pod nią urodzona?

– No pewnie! Inaczej skąd miałabym przy sobie takiego faceta. – Z zadartym podbródkiem wyczekuję Mike’a. On udaje obojętność, by nagle zaatakować moje krocze i łono łaskotkami. – Auć, ajć, ajając. Zgadzam się na wszystko! Zgarnę dla nas całą pulę. Zgarnę, obiecuję! Tylko mnie... Ha, ha, ha!

Damon jak zwykle stawia na swoim. Czemu ja, jak zwykle chętnie, ulegam.

Tradycyjnie pogodzeni jedziemy na północny zachód Crestone, gdzie mieści się nowa inwestycja Mike’a. Od pewnego czasu już mnie namawiał, abym tam zawitała. Pomna moich zasad moralnych się wzbraniałam. Ostatecznie jednak nie dość, że poddam się naciskom, to jeszcze mam odwiedzić diabelski przybytek w postaci aktywnego gracza.

Wpływ mojego chłopaka na mnie jest momentami przytłaczający. Ale skłamałabym, twierdząc, że jakoś specjalnie mi to przeszkadza.

– „Pod Upadłym Aniołem”... – U celu czytam nazwę kasyna. Stwierdzam, że nazwy lokali Mike’a są, delikatnie mówiąc, dość tendencyjne.

Spoglądam też na billboard, gdzie anielska postać ze złotymi piórami leży pośród worków z dolarami i sztabek złota.

Podziwiając ten z kolei widok, uznaję, że przynajmniej dobrze obrazuje on los hazardzistów. Ponieważ niezależnie czy będą mieć dobrą, czy złą passę ostatecznie i tak przewidziany im jest upadek.

– Zapraszam do kolejnego kręgu piekła. – Damon prowadzi mnie do salonu gier. Ja zaś swobodnie zapytuję:

– Masz ich siedem, tych piekielnych kręgów, jak u Dantego?

– Obecnie dopiero pięć. – Mężczyzna wskazuje na swój tors, gdzie dynda się pięcioramienna gwiazda w formie srebrnego wisiorka.

– Pokażesz mi całą piątkę?

– Cztery mam zamiar. Co do piątego, to się jeszcze waham.

Spoglądam na Mike'a, aby zrozumieć zagadkowość jego słów. On nie daje mi dodatkowych wskazówek. Przez to jego przekaz pozostaje dla mnie tajemniczy. Nie zaprzątam tym sobie głowy, bo już wkraczam do zapowiedzianego mi piekielnego kręgu z hazardem w roli głównej.

– Wow! – wrywa mi się z piersi. Widzę, że prezentowane mi kasyno rzeczywiście ma kolisty kształt, a ponadto piekielny wystrój. Ściany zdobią tu obrazy czerwonych płomieni, pomiędzy którymi domalowane są białe anielice w obumierających pozach.

Poza tym w pomieszczeniu zauważam rzędy maszyn do gier hazardowych i stoły z kartami, kośćmi oraz ruletką.

Przy każdym stoliku zasiadają gracze, którzy wydają się tak pochłonięci grą, jakby znajdowali się w religijnej ekstazie. Dostrzegam, że niektórzy naprawdę składają dłonie do pacierza, bo autentycznie się modlą, co ma miejsce szczególnie przy ruletce.

Zaaferowana tym widokiem nawet się nie orientuję, kiedy Mike mnie opuszcza i powraca z kasetką wypełnioną żetonami.

– Trzymaj. – Wręcza mi drewniane pudełko i pyta: – Wybrałaś już grę?

– Może... coś dla nowicjuszy? – Rozglądam się bez przekonania po grach, które mam do dyspozycji. Wobec mojej niepewności decyzję podejmuje za mnie Damon. Bierze mnie pod rękę, po czym idzie do stolika z ruletką.

– Zaopiekuj się moim aniołkiem, Zion. – Mike podprowadza mnie do krupiera ubranego w czerwono-czarny, obcisły uniform.

– To ona, twój nowy anioł? – Mężczyzna obsługujący stół wpatruje się we mnie jak w anielski obrazek.

– To właśnie ja, aha! – Zachwalam samą siebie, machając ramionami niczym skrzydłami.

– Ho, ho! – Zion podziwia mój bezpretensjonalny styl bycia, który coraz lepiej mi wychodzi przy Damonie. On całuje mnie w policzek i szepcze do ucha:

– Nie rozbij banku. Ta buda dopiero się rozkręca. Nie chcę na starcie splajtować.

– Za późno! – piszczę uciesznie, masując żetony w pudełku z takim uczuciem, jak puchatego kotka. Mike zaś już głośno do mnie dodaje:

– Lecę coś załatwić. Baw się dobrze.

Pozostaję jedynie w gronie graczy i krupiera. Ten wskazuje mi czerwone krzesło, a potem stół do ruletki.

Zajmuję więc swoje miejsce. Wyciągam z mojego pudełka kilka złotych żetonów i obstawiam pierwsze lepsze pole na zielonej makiecie do gry, naszpikowanej czarnymi i czerwonymi punktami.

– Zakład zewnętrzny. Czarne wygrywa, czerwone przegrywa – kwituje mój wybór Zion i kręci kołem.

Nawet z zaciekawieniem patrzę, gdzie w kołowrotku zatrzyma się kula. Widzę, że kończy swój bieg na czerwonym polu numer siedem.

Jakaś kobieta koło mnie wybucha entuzjastycznym śmiechem, bo wygrywa. Mi raptem mija dobry nastrój. Przegrywam i wcale mi się to nie podoba.

By szybko się odegrać, na inne pole stawiam podwójną ilość żetonów niż poprzednim razem.

– Parzyste wygrywa, nieparzyste przegrywa – wyrokuje krupier, zerkając na mnie.

Tym razem śledzę wirującą kulę ze wzmożoną uwagą. Zaciskam też piąstki, dopingując, aby srebrna kuleczka zatrzymała się dokładnie tam, gdzie sobie tego życzę.

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu ta srebrzysta suka mnie w ogóle nie słucha! Czerwony numer dziewiętnaście, nieparzysty, na pewno nie jest tym, który pozwoliłby mi wygrać. Taki zaś pada w ruletce wynik.

Uchodzi ze mnie powietrze. Stwierdzam, że tak jak byłam o tym przekonana, tak tylko utwierdzam się, że hazard jest zwyczajnie głupi. Przez to nic tu po mnie i wypada mi, jak najszybciej odejść od stolika. Muszę tylko pozbyć się reszty żetonów.

Wyrzucam je na trójbarwną makietę do gry. Jest ich tyle, że zasypują dwa pola, co komentuje Zion:

– Zakład wewnętrzny typu split. Trzyście i czterście wygrywa.

– Świetnie – burczę pod nosem i odwracam wzrok od ruletki.

Rozglądam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu Mike'a. Postanawiam, że jak go tylko zobaczę, to poproszę, abyśmy już się stąd wynosili i nigdy tu nie wracali. Gdy nagle...

– Numer trzyście wygrywa.

– Że... jak? – Zaskoczona zerkam na stół, przy którym zasiadam. Krupier wypłaca mi tu całą górę żetonów, co skwapliwie podlicza:

– Wartość wygranej siedemnaście do jednego. Gratuluję.

– Ile?! – Nie mogę uwierzyć w me nagłe szczęście i wielkie bogactwo.

W lot zapominam o Damonie. Skuszona wspaniałą wygraną połykam haczyk i zwycięska nic sobie nie robię z tego, że nieoczekiwanie odnajduję u siebie żyłkę do hazardu.

Odtąd jestem w pełni pochłonięta grą. Wygrywam, to przegrywam. Cudem udaje mi się odegrać, to znowu jestem z żetonami prawie na zero.

Obserwując kręcącą się w kołowrotku kulę, co raz doświadczam zmienności losu: rozpaczę to szczęścia. Składam dłonie i gorąco się modłę, to w duchu klnę, gdy fart mi nie sprzyja. Tracę poczucie czasu, a do rzeczywistości poza hazardowym stolikiem próbuje przywrócić mnie dopiero Mike:

– Spadamy już, aniołku.

– Jeszcze tylko raz zagram.

– To samo mówiłaś kwadrans temu i wcześniej.

– Jeszcze tylko raz...

– Chodźmy już.

– Zostaw mnie! – Spycham z mego ramienia dłoń mężczyzny, który chce mnie pozbawić wielkiej wygranej. Ta, na zakończenie mej przygody w lokalu Pod Upadłym Aniołem, szykuje się naprawdę wielka: – Stawiam wszystko na numer trzy. Trzy, jak Święta Trójca!

Krupier wprawia ruletkę w ruch. Kołowrotek się kręci, wirując przed moimi oczyma. Zahipnotyzowana tym widokiem zapominam o całym, bożym świecie. Liczy się tylko moja szansa na szczęście, ekstazę z powodu wygranej. Jeszcze trochę, jeszcze chwileczkę, już zaraz...

Kula zwalnia.

Moje serce przyspiesza.

Kula się zatrzymuje.

Mój oddech zamiera.

– Wygrywa liczba dwa – oznajmia Zion.

– Tak blisko... Było tak bardzo, bardzo blisko. – Nie mogę uwierzyć w moją przegraną. Po prostu nie mogę. To takie okrutne, niesprawiedliwe, druzgocące.

Damon siłą odciąga mnie od stolika. Idę jak pijana, powłócząc nogami. Przegrana czuję się zupełnie pozbawiona skrzydeł. Gdy dodatkowo się potykam i prawie upadam, już całkiem odbieram siebie, jako upadłego anioła. Potem przychodzi czas na gorzkie refleksje:

– Obiecuj mi... – wyduszam z siebie w samochodzie, zanim ten ruszy.

– Co mam obiecać? – pyta rezolutnie Mike.

– Obiecuj, że nigdy więcej nie pozwolisz mi grać.

– Nie przejmuj się przegraną. To mój lokal, moje gry. I tak wyszliśmy na zero.

– Nie chodzi o pieniądze.

– Więc o co?

– Granie w to cholerstwo jest... Jest jak zaprzeczenie duszy diabłu.

– A ty całą swą duszę masz tylko dla mnie. Czy tak? – Mężczyzna przyciąga mnie do siebie.

Widzę, że się uśmiecha. Garnę się do niego, szukając wsparcia i z oddaniem popiskuję:

– Weź moją duszę, Mike. Zabierz ją całą i chroń z dala od wszelkiego zła.

– No jasne. Znajdę dla niej przyzwoity sejf.

– Zrób to. Ale mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

– Strzelaj.

– Istnieją organizacje. Istnieją takie organizacje, które pomagają osobom uzależnionym od hazardu. Proszę cię, abyś takim właśnie instytucjom przekazywał dziesięć procent zysku z twojego lokalu.

– Dziesięć... – Damon drapie się po brodzie. – Trochę dużo – zauważa. Ja zaś, po moim uprzednim upadku, obecnie, niczym sam kapłan, jak natchniona górnolotnie przemawiam:

– Żadna kwota nie jest dość duża, aby pomóc tym, którzy ciągle przeżywają to, co ja dzisiaj.

To jest okropne, ta żądza wygranej i cierpienie, kiedy się przegrywa.

– Czasem klienci wygrywają. Wtedy miewają odloty.

– Dziesięć procent, Mike. Dziesięć procent. – Błagalnie spoglądam memu mężczyźnie w oczy.

On wzdycha ciężko, gładząc mnie po włosach. Następnie całuje mnie w czoło, uśmiecha się kąśliwie i przewrotnie mówi:

– Piętnaście procent.

– Ale... eee – dukam kompletnie zbity z tropu.

– Piętnaście procent z hazardu na rzecz organizacji walczących ze... skutkami hazardu.

Tyle, za twoim wstawiennictwem, wysupłam. – Damon nie pozostawia wątpliwości, że podejmuje decyzję, która przekracza moje najśmielsze oczekiwania. Przez to nie mogę się powstrzymać i spontanicznie reaguję:

– Kocham cię, kocham, Mike! – Rzucam się mężczyźnie w ramiona. On z powagą dopytuje:

– Naprawdę mnie... kochasz?

– No przecież o tym... wiesz. Pewnie, że cię... kocham, Mike. – Zamykam oczy, po czym w tej magicznej chwili długo i namiętnie całuję się z wybrankiem mego serca.

Nie tak planowałam swe miłosne wyznanie, czyli przed lokalem do gier hazardowych i w cieniu Upadłego Anioła. Lecz nie mogę zaprzeczyć temu, że i tak jest wspaniale.

Zaprawdę cudowna jest chwila, w której ukochanej osobie wyznaje się miłość. Mimo że sama ciągle nie doczekuję się potwierdzenia słowem miłosnego uczucia ze strony ukochanego...



Nazajutrz po wizycie w kasynie jest niedziela. Stanowi ona zarazem czas, kiedy moi krewni, państwo Nelson, wybierają się o stałej porze do kościoła. Korzystam więc z okazji, by z domu, w którym uprzednio mieszkałam, zabrać część moich rzeczy.

Na miejsce przyjeżdżam z Damonem. Wita nas ciepła, wrześnie pogoda. Jasne promienie słońca rozświetlają biały budynek. Lekki wiatr leniwie porusza liśćmi zielonych krzewów w ogrodzie. Niedomknięta furtka skrzypi żałośnie. Zgodnie z moim przewidywaniem samochodu wuja Benjamina na szczęście nigdzie nie widać.

– Zapraszam ponownie – rzucam za plecy do Mike’a, uchylając leciwe drzwiczki w płocie. Pokonuję niewielki odcinek drogi wyłożony betonowymi płytkami i już jestem przed wrotami domostwa.

Z nowej, damskiej torebki wyjmuję klucz, który miałam w kieszeni podczas mego wygnania z tego miejsca. Otwieram zamek w drzwiach i wchodzę do dobrze znanego mi wnętrza.

Przechodzę przez korytarz i zaglądam do salonu. Oceniam, że praktycznie nic się tu nie zmieniło.

Za chwilę do głównego pomieszczenia w domu wchodzi też Damon. Kładzie na kanapie puste, tekturowe pudła. Ja czynię ku niemu wstrzymujący gest ręką i mówię:

– Pójdę po swoje rzeczy. Ty się tu rozgość.

– Daj spokój, pomogę ci.

– Wolałabym to zrobić sama...

– Niby czemu?

Wobec tego pytania patrzę na mężczyznę zmieszana, bo nie chcę kłamać, ale już wiem, że to zrobię. Czuję się coś jak święty Piotr, który w obawie o siebie wyrzekł się Pana. Nie mam pojęcia, ile razy stawiałam się na miejscu wspomnianego apostoła, przekonana, że nie wahałabym się wyznać prawdy. W chwili próby jednak zawodzę:

– Mam u siebie straszny bałagan. Wolę oszczędzić ci tego widoku. – Wskazuję schody wiodące na pierwsze piętro.

Mike, zamiast mnie posłuchać, bierze dwa pudła i już zmierza na górę.

– Czekaj, poczekaj! – krzyczę za nim, ale nic to nie daje.

Tym samym już niebawem mam mojego chłopaka w moim pokoju. On zaś z udawanym podziwem stwierdza:

– Nie chwaliłaś się, że prowadziłaś sklep, czy tam hurtownię. Sklep czy hurtownię z dewocjonaliami.

– Śmiało, możesz coś kupić. Polecam właśnie hurtem. – Mimo zawstydzenia siłę się na tak ciętą ripostę, na jaką mnie stać. Nie czekam na odpowiedź i mam nadzieję, że taka w ogóle nie padnie. Koncentruję uwagę na wygarnianiu książek z regałów. To głównie na zabraniu stąd pomocy naukowych mi zależy. Chociaż nie tylko...

– Tarot? – Mike zauważa wyciągane przeze mnie spod łóżka pudełko.

– To pamiątka po zmarłym bracie. – Otrzeputuję z kurzu niewielką kasetkę. Damon wskazuje na nią i stwierdza:

– Twój brat miał dobry gust.

– Czego nie można powiedzieć o mnie, prawda? – Omiotam wzrokiem ściany pokoju obwieszone portretami świętych i krzyżami. Obawiam się szyderstw mojego chłopaka, a w kwestii wiary nie jestem na to przygotowana.

Bogu dzięki Mike, jako mój partner, staje na wysokości zadania. Podchodzi do mnie, przytula ciepło i całuje w czoło. Potem spokojnie mówi:

– Religijna otoczka jeszcze dodaje ci anielskości. Kręci mnie to. Również fakt, że mimo fascynacji światłem nie obawiasz się mroku, czyli mnie.

– Wcale nie jesteś mroczny. – Udobruchana uśmiecham się czule do mężczyzny. On odgarnia mi złote kosmki włosów z twarzy i ostrzegawczo chrypi:

– Nie wiesz o mnie wszystkiego. Mam na sumieniu sporo paskudnych rzeczy.

– Ale... równoważą je twoje dobre uczynki, zgadza się?

– Lubię twoją niewinność, aniołku. Jak najdłużej taka pozostań.

Tonę w męskich ramionach. Później znów pakuję książki do pudeł, a Mike zanosí je na dół. Gdy uznaję, że z najważniejszych dla mnie obecnie rzeczy ogołacam już pokój, opuszczam go. Choć zanim to zrobię, wkładam do kieszeni sukienki biały różaniec, a na szyi wieszam złoty krzyżyk.

Będąc ponownie w salonie, ostrożnie zaczepiam Damona:

– Jak odwieziemy już moje rzeczy do nas, podrzuciłbyś mnie w jedno miejsce?

– Dokąd? – pyta mężczyzna, który opiera się tyłkiem o kant stołu i wpatruje się w obraz Ostatniej Wieczerzy, który wisi na ścianie. Ja uściślam:

– Dziś niedziela. Chcę iść do kościoła na mszę świętą.

– Nie wolisz pojechać nad ocean, na plażę?

– Prawdę mówiąc... nie. – Milknę, a wobec braku odzewu nieśmiało proponuję: – Może... ty też byś ze mną poszedł?

– Ja, do kościoła?! – Mike przenosi zdumione spojrzenie na mnie.

– No tak, ty. Bo czemu nie?

– Wspominałem ci już. Mam alergię na wodę święconą. – Damon patrzy na mnie pobłaźliwie. Osobiście, widząc w tym szansę na nasze zbliżenie do siebie, nie ustępuję:

– Drzwi kościoła są otwarte dla każdego. Także dla ciebie. Być może znalazłbyś tam dla siebie coś wartościowego.

– Szanuję twoją religijność, aniołku, naprawdę. Ale nie próbuj mnie ewangelizować. – W głosie Mike'a pojawia się zgrzyt. Dociera do mnie, że chyba powinnam odpuścić. Lecz tyle

byłam nauczana o nawracaniu grzeszników, że wygłoszenia pewnych prawd zwyczajnie nie mogę sobie odmówić:

– Bóg Ojciec wszystkich darzy miłością, również ciebie. Przekrocz próg jego domu i przekonaj się, czy jego święta łaska nie spłynie także na twoją duszę.

– Moja mroczna dusza pochłania światło, jak czarna dziura w kosmosie. Taka to ze mnie... osobliwość na horyzoncie zdarzeń. – Damon przyjmuje swój ulubiony, sarkastyczny ton. Przybliżyła się do mnie, wzrusza ramionami i pożądlivym głosem dodaje: – Zresztą po co mi Bóg, skoro tuż koło siebie mam Boginię i to jej pragnę.

Nagle mężczyzna łapie mnie w pól. Bezceremonialnie rzuca na kanapę i kładzie się na mnie.

– Nie, nie tutaj. Nie wolno nam. – Tak jak niegdyś w tym miejscu, tak i teraz powstrzymuję Mike'a przed nadmiernym zbliżeniem się do mnie w domu moich krewnych. Odpycham go dłońmi, a kiedy to nie skutkuje, zapominam się i wymierzam mu policzek w twarz. – Och, przepraszam. Nie chciałam, naprawdę. – Raptem jestem szczerze przestraszona tym, co uczyniłam w ferworze walki o moją czystość w salonie. I sama już nie wiem, czego teraz bardziej się lękam. Tego, że znów mogłabym zostać nakryta w niedwuznacznej sytuacji przez wracających z kościoła państwa Nelson, czy tego, że być może właśnie okrutnie zraniłam męską dumę. Tymczasem Damon się opanowuje:

– Twoja odpowiedź rzeczywiście brzmi nie. – Podźwiga się ze mnie. – Do tego masz całkiem przywoity prawy sierpowy, nie powiem. – Masuje się po zaczerwienionym policzku. – No respekt, dziewczyno. W moich oczach jeszcze dodaje ci to skrzydeł. – Przyjaźnie podaje mi dłoń. Ja jeszcze jej nie chwytam, bo wcześniej pragnę się co do czegoś upewnić:

– Czyli... wszystko gra? – pytam.

– Wszystko jest w porządku, najlepszym. – Mike nachyla się nade mną. Sam łapie mnie za dłoń i podciąga do pionu. Następnie pogodnie mówi coś, co w tej sytuacji przekracza moje najśmielsze oczekiwania: – Zbierajmy się stąd. Zawiozę cię na tę mszę i posiedzę tam z tobą w... ostatniej ławce. Bo wiesz, teraz wolę ci już nie odmawiać, by nie przekonać się, jak wygląda do kompletu twój lewy sierpowy.

– Och, dziękuję. Tak bardzo dziękuję! – Jak niespodziewanie obdarowana najcenniejszym prezentem, rzucam się uradowana mężczyźnie na szyję. Zасыpuję go pocałunkami i nie mogę z nimi przestać.

Jestem z siebie niewyobrażalnie dumna, że udaje mi się spełnić wręcz niemal coś jak kapłańską posługę.

Poza tym jednak, że zaciągnę Mike'a przed ołtarz, mimo że nie do ślubu, sama też pragnę skorzystać z pobytu w kościele. Przede wszystkim chcę się wypowiedzieć. Mam bowiem świadomość tego, że związek z moim partnerem, jakkolwiek wspaniały, to niestety ciągle nie

jest uświęcony odpowiednim sakramentem. W głębi serca trochę nad tym boleję. Ale skrycie liczę, że już niedługo czas wprowadzi w tej materii stosowną zmianę.

## XI. Tarot – Umiarkowanie

Karta tarota Umiarkowanie wnosi w nasze życie spokój i harmonię, które wynikają ze zrównoważenia przeciwieństw. Umiar i powściągliwość, a także samodyscyplina, pozwalają nam zintegrować różnorodne elementy naszej egzystencji, zyskującej dzięki temu na jakości.

\*

W ciągu powszednich dni próbuję przysiąść mocniej do książek i pilniej się uczyć. Nie jest to łatwe zadanie u boku takiego chłopaka jak Mike. Jeżeli bowiem po lekcjach nie wyciąga mnie gdzieś na miasto, czy poza nie, to i tak jestem zaabsorbowana myślami głównie o nim. W konsekwencji nauka wymaga obecnie ode mnie dużego samozaparca. Potrafię się zdyscyplinować, więc jakoś sobie radzę.

Za to kiedy nastaje weekend, nie odmawiam sobie większego odprężenia. Przy czym najbardziej pozwala mi się zrelaksować coś takiego, jak zabawa w dom, a mianowicie zachowywanie się jak przykładowa żona. Aczkolwiek taka żonka potrafi być też czasem gderliwa:

– Dopiero co wyczyściłam cały ten pokój, a ty znowu tu śmieczysz. Do tego w bardzo nieodpowiedzialny sposób. – Spoglądam z wyrzutem na Damona, który składa origami, a potem podpala zapalniczką skrzydlate figury zwierząt. Popiół ze spalonego papieru trafia na szklany blat stołu, ale czarne płatki lądują też na parkiecie. – Powiedziałam, abyś tu nie brudził. – Ponawiam moje żądanie. Mike sennie odpowiada:

– W poniedziałki przychodzi sprzątaczką, to posprząta.

– Ale dziś jest sobota i dziś posprzątałam tutaj ja. Ponadto przygotowałam dla nas obiad. – Stawiam na blacie misę z ciemnoczerwoną potrawą.

– Nie lepiej było zamówić pizzę? – Mężczyzna patrzy podejrzliwie na podstawione mu pod nos danie. Ja zaś wyprowadzam go z błędnego myślenia:

– Nie możesz ciągle jeść zamawianych świństw. Docień to, że ja przygotowuję dla nas coś z sercem.

– Z sercem? To dlatego wygląda na takie... krwiste? – Damon macza łyżkę w zawieszanej potrawie, która rzeczywiście ma barwę krwi. Mi nie pozostaje już nic innego, jak zdradzić, nad czym pociłam się przez godzinę w kuchni:

– To chili con carne. Często to jadłam w Teksasie. Za tydzień mogę zrobić tacos, burrito albo nachos. Co sobie zażyczysz.

– Pikantne. – Mike smakuje z łyżki nieco dania i mnie chwali: – Całkiem niezłe, kuchareczko.

– No pewnie, że nieźle. Przecież sama robiłam. – Nadymam się z dumy. I może nie jest to zbyt seksowne, ale nic nie poradzę, że czasem wolę zamienić anielskie piórka na takie zwyczajnej kury domowej.

– Ładny fartuszek. – Tym razem Damon zwraca uwagę na kuchenny element mojego ubioru.

– Dziękuję, sama sobie uszyłam.

– Czyli... sprzątasz, gotujesz, szyjesz. – Mike odejmuje sobie łyżkę od ust i patrzy na mnie wręcz z podziwem. W kolejności ogniskuje spojrzenie na moich kobiecych krągłościach i wyrokuje: – Najbardziej jednak lubię, jak się ze mną kochasz.

W obecnym stanie umysłu, czyli niezbyt romantycznym, a tym bardziej zbliżonym do kury domowej, nic sobie nie robię z otrzymywanych komplementów. Jedynie wrzuszam ramionami, zupełnie jakbym właśnie usłyszała oczywistą dla każdego prawdę. Następnie zasiadam przy obiadowym stole i z jednej miski jem razem z Damonem. Konsumuję coś, co w moim przekonaniu naprawdę jest dobre, bo zgodne z przepisem mojej matki.

Wspominając ją, kilka razy ciężko wzdycham. Ale udaję, że to z powodu gorącej i ostro przyprawionej potrawy. Gdy ta jest już niemal wymieciona z naczynia, swobodnie zagaduję:

– Jak idzie ci w szkole?

– Ok.

– Ja obniżyłam loty z nauką. Muszę wrócić na dawny poziom.

– Słusznie, aniołku, bo lepiej jest wiedzieć za...

– Tak, tak – wchodzę mężczyźnie w zdanie. Uśmiecham się przy tym, grożę chochlą i sama kończę męską wypowiedź: – Lepiej jest wiedzieć za dużo niż za mało. Dlatego właśnie dzielę teraz swój czas na ten spędzany z tobą i z książkami.

– Powinienem być o nie zazdrosny? – Mike puszcza mi oko, po czym już poważnie pyta: – Naprawdę musisz się jeszcze uczyć? Z naszych korepetycji odniosłem wrażenie, że masz już przerobiony materiał całego college'u.

– Poniekąd to prawda. Od dziecka lubiłam chłonąć książkową wiedzę. No i szczególnie po śmierci rodziców uciekłam w naukę. – Spoglądam z nadzieją na Damona. Spodziewam się, że spróbuje mnie pocieszyć po stracie moich bliskich. Ja wtedy skorzystam z okazji i wypytam go wreszcie o jego z kolei ojca i matkę, o których na szkolnym korytarzu wspominał, że ich spalił. Dochodzę bowiem do wniosku, że znamy się już na tyle długo, że nie powinniśmy mieć przed sobą sekretów. Mike niestety nie podejmuje tego tematu:

– Lepiej uciec w naukę niż w alkohol czy narkotyki – rzuca obojętnie.

– Pewnie... masz rację. Nawet na pewno – potakuję ulegle, jakbym była zaganiana do zagrody owcą.

Nie mam więcej pomysłów, jak zagaić w tej chwili o przeszłość osoby, z którą akurat zjadłam obiad. Zabieram więc ze stołu puste już naczynie po chili con carne. Wynoszę je do

kuchni, umieszczam w zmywarce i dalej zamierzam się odprężyć. W tym celu biorę się za... ścieranie kurzy, a potem za pranie.

Gdy nadchodzi wieczór, oświadczam Damonowi, że tej nocy nie mam ochoty jechać z nim do jego klubu. Mówię, że chcę się wcześniej położyć.

Przed planowanym snem klękam przy łóżku i czynię to, co sobie wcześniej zaplanowałam. Długo i żarliwie się modłę za duszę mojej matki, ojca i brata.

W końcowej części mego pacierza towarzyszy mi w sypialni Mike, który wyjątkowo też został wieczorem w domu. Ubrany w swe skórzane odzienie leży na posłaniu i pali marihuanę, do której zapachu już dobrze przywykłam i nawet go, o zgrozo, polubiłam.

Ponadto, mimo że głośno wymawiam słowa modlitwy, Damon wydaje się mnie nie słuchać. Odnoszę wrażenie, że jest raczej pogrążony myślami we własnym świecie. Patrzy w wydychane przez siebie kłęby dymu, które zasnuwają przestrzeń sypialni mglistymi obłokami i chyba nad czymś duma.

Dopiero, kiedy kończę pacierz słowami: „w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen”, mężczyzna się mną interesuje:

– Zdradź mi coś... – mówi w zadumie.

– Tak?

– Naprawdę jest ci łatwiej z wiarą w to, że twoi bliscy, którzy odeszli, patrzą na ciebie gdzieś tam... z góry? – Mike czyni skrętem niedbały gest ku górze. Z treści jego pytania wnioskuję, że może i był dotąd pogrążony we własnych przemyśleniach, ale też nie pozostawał głuchy na moją modlitwę. Cieszy mnie to, że moje słowa do niego dotarły, bo być może znajdzie w nich także dla siebie otuchę.

– Osobiście uważam, że to piękne i budujące, czuć, że zmarli, których kochaliśmy, są w jakiś sposób ciągle z nami – odpowiadam łagodnie na zadane mi pytanie. Wywołuję tym jednak efekt odwrotny od zamierzonego. Damon krzywi się na twarzy i markotnie zauważa:

– Dla mnie taki posmak... wieczności jest nie do zniesienia.

– Dlaczego tak to odbierasz? – Będąc ciągle na klęczkach, głęboko spoglądam mężczyźnie w oczy. On odwzajemnia nad wyraz ponure spojrzenie i dekadentcko stwierdza:

– Jeżeli bez reszty zawodzisz ukochaną osobę, dajesz jej odejść, to świadomość, że ta osoba ciągle może cię widzieć, wywołuje jedynie palący wstyd. – Mike gasi na swoim kolanie skręta i wsielczo dodaje: – Zresztą nasi zmarli bliscy też cały czas wstydziliby się za nas, wspominając naszą klęskę. To co im zrobiliśmy, czy też to czemu nie zapobiegliśmy.

– Nie mów tak.

– Czemu nie?

– To sprawia mi... przykrość.

– Prawda, powinno być ci przykro, bo wiesz coś o tym, o czym mówię.

– Przestań już...

– Twoi zmarli rodzice.

– Proszę cię, przestań.

– Zmarły brat.

– A twoi spaleni rodzice i spopielona dziewczyna?! – Nagle tracę nad sobą panowanie i wykrzykuję coś, czego od razu żałuję. Na pewno bowiem nie tak wyobrażałam sobie rozmowę z Damonem o naszej tragicznej przeszłości i zmarłych w strasznych okolicznościach bliskich osobach.

Okazuje się jednak, że ten wątek nie będzie miał już tego wieczoru rozwinięcia. Mike dłużej spogląda na mnie wzrokiem, który z chłodnego staje się ogniście gorący. Potem bez słowa wychodzi z pokoju. Ostatnie co za jego sprawą słyszę, to za oknem warkot silnika samochodu oraz pisk opon.

Uzmysławiam sobie, że w delikatnej sprawie, która właśnie ze wszech miar wymagała owej delikatności, kompletnie zabrakło mi taktu i umiarkowania. Dałam się ponieść nagłemu porywowi emocji. Nie zdołałam ich kontrolować. Zraniłam przez to i siebie i ukochanego. Mam zatem czego żałować, z czego się spowiadać i za co pokutować.

\*

Znów jest niedziela. Z tego powodu pojawiaam się na mszy świętej w kościele. Tym razem sama. Specjalnie wybieram taką porę nabożeństwa i odpowiednie miejsce przed ołtarzem, abym została zauważona przez moich krewnych, państwo Nelson.

Osobiście też pragnę ich zobaczyć, co mi się udaje. Lecz pomna atmosfery naszego rozstania nie decyduję się podejść i przywitać. Elizabeth i Benjamin podobny dystans zachowują względem mojej osoby.

Mimo wszystko rada jestem, że w jakiś sposób ponownie znaleźliśmy się we wspólnym kręgu i to w uświęconym miejscu. Domniemam, że także Bogu się to spodobało.

Aby zaś być bliżej także Pana w niebiosach, po mszy pragnę się wypowiedzieć. Oczyszczenie się z grzesznych występków spowiedzią jest bowiem tym dla duszy czym kąpiel dla ciała. Nie mogę więc sobie tego odmówić.

Podobnie nie odmawiam nazajutrz po szkole Damonowi. Proponuje on, że pokaże mi kolejny już swój krąg piekła. Dzięki temu na południowo zachodnich obrzeżach miasta dane mi jest odwiedzić samochodową dziuplę, gdzie rozkładane są na części kradzione wozy.

Z powodu braku transparentności tego miejsca, które zakamuflowane jest w starej hali fabrycznej, nie ma tu nazwy nawiązującej do aniołów. Nie znaczy to, że całkiem brakuje tutaj odniesień do niebiańskich istot. Ich fragmenty zauważam na graffiti, które naniesione jest na pobliski mur. Tą drogą widzę wymalowane białym sprayem pojedyncze skrzydła, oddzielone od ciała korpusy. Podziwiam anielskie głowy i rozsypane pióra.



Nawiązanie tych malunków do podlegających defragmentacji samochodów jest oczywiste. Nie mam przez to złudzeń, kto taki odpowiada za graffiti na przyfabrycznym murze.

Właśnie on, mój chłopak, prowadzi mnie po samej fabryce. Pokazuje mi coś, co do złudzenia przypomina warsztat samochodowy, ale nim nie jest. Obserwuję więc wyjmowanie silników z wozów, odczepianie karoserii, czy odkręcanie kół.

Jestem również świadoma tego, że wszystko, co z powodu kradzieży stanowi tu czyjąś stratę, dla Damona, jego ludzi i dla mnie stanowi zysk. Godzę się już z tym, że poniekąd biorę udział w nieczym procederze. Lecz jedyne, co z tym zamierzam zrobić, to wypowiedzieć się z tego. Nawet mi przez myśl nie przechodzi, abym mogła wsypać mojego ukochanego policji i powieść go tym do zguby. On natomiast ogląda tu owoce swej nielegalnej pracy, za którą jest podziwiany:

– Hej, Mike! Zobacz tylko, jakie cudo dla ciebie rozbebeszamy!

– Hunter, mój brachu. Podobno sam to zakosiłeś!

– He, he... no a jak. I zanim odstawiłem tu to Ferrari, zrobiłem nim kilka rundek po mieście. Aż żal było wypruwać z tego potwora flaki.

– Tnij bestię. Mam już kupca na części.

– Dobre wieści, Mike. A... czy to nie jest przypadkiem twój nowy aniołek? – Ubabrany w smarze Hunter z zachwytem spogląda na mnie. Damon staje pomiędzy nim, a mną, po czym przestrzega:

– Z daleka z tymi brudnymi łapami od mojej panny. Uwalisz na czarno jej białe skrzydła.

– No nie uwalę, nie dotknę. Gdzież ja bym śmiał. Ledwie mam śmiałość oglądać. Ale tak sobie patrzę i patrzę. – Mechanik rzeczywiście intensywnie świdruje mnie wzrokiem, po czym beztrąsko wypala: – Czy ona nie wygląda zupełnie jak... jak twoja Ann?! – Wypowiedziawszy te słowa, Hunter nagle poważnieje, jakby strzelił wielką gafę.

Mike z kolei rusza na niego. Łapie go za flanelową koszulę i bezpardonowo przypiera do demontowanego wozu.

– Sorry, szefie. Zapomniało mi się... Zapomniałem, że nie wolno o twojej byłej wspominać. Strzel mi w mordę, ale wybaczone...

– Lepiej dalej patrosz tego czerwonego mustanga, bo... Bo sam cię wypatroszę. – Damon wypowiada te słowa warkliwie, mniej dla rozładowania atmosfery, a bardziej jak groźbę. Tak też odbiera to Hunter, czyli właściwie. Na dobre bowiem traci frywolny nastrój i bierze się do pracy.

Po tym incydencie Mike odprowadza mnie w głąb dziupli, gdzieś na zaplecze. Biję się z myślami, czy nie pociągnąć tematu akurat wywołanej, jakby z za grobu, jego byłej dziewczyny. Myślę o poruszeniu wątku, który podobnie jak ten związany z rodzicami Damona, coraz bardziej mnie intryguje. Aż pali, by go poznać. Pomna tego, jak ostro po wspomnieniu o Ann został

potraktowany mechanik, powtarzam sobie w duchu, aby odpuścić. Lecz okazuje się, że to silniejsze ode mnie. Nic na to nie poradzę, choćbym nie wiem, jak chciała.

Już nie daję się prowadzić bezwolnie jak pokorna, biała owca. W okolicy, gdzie walają się stopy samochodowych części siadam na poplamionym smarami stole. Zaplatam ramiona na klatce piersiowej i pochmurnie rzucam:

– Więc nazywała się Ann, tak? – Damon nic nie odpowiada i ucieka wzrokiem byle dalej ode mnie. Ja tym razem nie mam litości, przez co naciskam: – Porozmawiaj o niej ze mną, o Ann.

– To ciebie nie dotyczy.

– Odnoszę wrażenie, że tak.

– Odpuść ten temat.

– Kiedy widzę i czuję, że ty ciągle nie odpuszczasz. Wciąż o niej myślisz.

– Mylisz się.

– Nie sędzę.

– Czego ty właściwie chcesz, wspominając o niej?

– Czego chcę, czego ja chcę? – Chwytam za poły skórzanej kurtki Mike'a i przyciągam go do siebie. On ma, jakby w poczuciu winy, zwieszoną nisko głowę. Ja z troską się do niego zwracam: – Rozumiem twój ból po utracie Ann, wierz mi. Sama w postaci bliskich straciłam więcej niż można sobie wyobrazić. Dlatego nie pragnę rozdrapywać twoich ran. Ale skoro, jak zasłyszałam, Ann była tak podobna do mnie, to zdradź mi coś, proszę.

– Co takiego?

– Otóż... Jestem obecnie dla ciebie tą jedyną, absolutnie jedyną? Czy może tylko występuję u twego boku jako substytut, namiastka twojej byłej dziewczyny? Bo tak nieraz czuję i mnie to rani. A sędzę, że okalecza to także twoje serce, ponieważ wciąż nosisz w nim żalobę. Tęsknisz za czymś i próbujesz ożywić coś, co i tak już nie wróci. – Nie tak ostro i bezpośrednio zamierzałam poruszyć tę ciężącą mi na duszy sprawę. Skoro jednak już do tego doszło, to czekam na szczerą odpowiedź. Biorąc pod uwagę skalę mojej zażyłości z Damonem, uważam, że mam do tego stosowne prawo.

Niestety. Czas mija, a ja nie doczekuję się żadnej reakcji ze strony mojego chłopaka. Wydaje się taki niedostępny, zamknięty w sobie i głuchy na moje prośby. Mimo to je ponawiam:

– Chcę wiedzieć... Pragnę twojego potwierdzenia, że tak jak bardzo kochałeś Ann, tak samo możesz pokochać mnie. A niewątpliwie możesz to zrobić, jeśli tylko na tyle dasz odejść Ann, że w twoim sercu powstanie dość miejsca dla mnie. Dość, abyś mnie szczerze kochał.

Mimo moich usilnych starań i pełnej otwartości Mike separuje się ode mnie ścianą milczenia. Czuję, że czego bym nie powiedziała, czego nie zrobiła, to teraz nie skruszę tego

mur, jest zbyt potężny. Pocięszam się, że z czasem, od okazywania przeze mnie miłości, może pojawią się w tym murze pęknięcia.

Pocieszona zostaje też przez Damona, który może i nic nie mówi, ale w to miejsce przynajmniej przytula mnie mocno do siebie. Próbuje chyba w ten sposób wyrazić to, że jestem dla niego naprawdę ważna, ale też nie ma zamiaru pozbywać się skrzętnie skrywanego uczucia do Ann.

Moje serce znów szerzej się dla niego otwiera. Dzieje się to, bo autentycznie go kocham. Choć utwierdzam się w domysłach, że w tej miłości mam konkurentkę w postaci zmarłej anielicy. Mimo iż ona nie żyje, to wciąż zawłaszcza znaczną część serca Damona. Na dziś dzień nie mam wyboru. Muszę być umiarkowana, muszę to zaakceptować.

## XII. Tarot – Mag

Karta tarota Mag przekonuje nas, że posiadamy wszystko, czego potrzebujemy, aby spełnić swoje pragnienia. Karta ta odkrywa przed nami nasz potencjał. Informuje o tym, że stoimy przed szansą osiągnięcia sukcesu w danej dziedzinie życia.

\*

Mike jest nad wyraz konsekwentny we wprowadzaniu mnie w swoje interesy, które nazywa kręgami piekła. Odwiedziłam już trzy z nich ulokowane w różnych częściach Crestone. Obecnie, po zapoznaniu się z nocnym klubem, kasynem i samochodową dziuplą, udaję się na północno wschodni skraj miasta, aby zobaczyć wytwórnę amfetaminy.

Jadę tam, choć niepozbawiona wątpliwości w sobie. Myślę o tym, że Damon produkuje narkotyki, a równolegle sponsoruje leczenie uzależnionych osób. W podobny sposób nakręca spiralę hazardu, wpłacając też kwoty na rzecz walki ze skutkami tegoż z kolei nałogu.

Zastanawiam się, czy analogicznie w pewien sposób nie traktuje mojej osoby? W jakimś zakresie używa mnie przecież jako substytutu dla swej pierwotnej miłości, więc czyni mi zło. W pewnym stopniu próbuje to jednak mi zrekompensować swoją bliskością, opieką i zaufaniem.

Dostrzegam tu sprzeczność. Ale tak perfidnie utkaną, że momentami sama już nie wiem, czy Mike jest bardziej katem czy wybawicielem, a ja ofiarą czy raczej szczęściarą. Dochodzę do wniosku, że obecnie nie jestem tego w stanie rozstrzygnąć. Podejrzewam też, że prawda w tej materii tkwi pewnie gdzieś pośrodku.

Tymczasem nasz samochód zatrzymuje się na opustoszałym, półpustynnym terenie. Dominują tu suche krzewy i wiotkie drzewka, pomiędzy którymi beztrudno hula ciepły wiatr.

Po wyjściu z wozu sporo czasu zajmuje mi odnalezienie wzrokiem czegoś, co mogłoby stanowić wytwórnę narkotyków. Wreszcie zauważam coś, co przypomina zwykłą, rdzawą skałę, ale nią nie jest.

– Załóż maseczkę. – U wejścia do podziemnego bunkra Damon wręcza mi osłonę na usta i nos. Odkręca krągłą korbę wjazdu i go uchyla. Wita się z pilnującym przejścia chłopakiem, po czym prowadzi mnie niskim, wąskim i ciemnym tunelem. Jest on tylko częściowo murowany. Miejscami ściany tworzy zbity ziemia, a na sufit składają się lite skały wspierane drewnianymi podporami.

Ta droga kończy się metalowymi drzwiami. Znajduje się na nich malunek pentagramu ułożonego z pięciu strzykawek. W centrum obrazu, który stanowi pięciokąt, widnieje wizerunek klęczącego anioła ze zwieszoną głową.

Nie mam pojęcia, kto jest autorem tego rysunku. Nie mogę jednak odmówić twórcy trafnego oddania postaci uzależnienia. Anioł bowiem klęczy, poddaje się i nie ma gdzie uciec. Zewsząd osaczają go narkotyki.

Czy w podobny sposób, bo według narkotycznego wzorca, sama jestem uzależniona od Damona? Nawet gdybym chciała, nie mogę od niego uciec i się wyzwolić? Odganiam od siebie tę niepokojącą myśl i po otwarciu się ciężkich wrót koncentruję uwagę na ukazanym mi pomieszczeniu.

Widzę laboratorium chemiczne, gdzie przy stołach pracują kobiety i mężczyźni. Mają na sobie kombinezony, a na twarzach noszą obszerne maski ze szklanymi przesłonami na oczy.

Ci ludzie odmierzają i mieszają w naczyniach różne składniki. Są całkowicie pochłonięci tym, co robią, przez co wydają się mnie i Mike'a nie zauważać.

Ja zauważam na końcu korytarza kolejne wrota pilnowane przez strażnika. Zostaję tam wpuszczona z Damonem. Dzięki temu mam okazję oglądać magazyn, gdzie między innymi stoją skrzynie z opakowaniami pełnymi białych pigułek.

Tak kończy się moja wizytacja w wytwórni narkotyków. Otwarcie przed sobą przyznaję, że ten krąg piekła zrobił na mnie najbardziej złowrogie wrażenie.

Wysnuwam też przypuszczenie, że Mike świadomie skalował przede mną prezentację swoich interesów. Nocny klub mi się bowiem nawet spodobał. Kasyno wzbudziło mieszane uczucia. Dziupła samochodowa i związana z tym kradzież to nielegalny interes i z mojej strony już jednoznacznie negatywne skojarzenia. Produkcja amfetaminy natomiast to według mnie czyste zło.

Czym w takim ujęciu mógłby być piąty krąg piekła Damona, o którym wspominał, że waha się, czy mi go pokazać? Dochodzę do wniosku, że być może wolałabym go w ogóle nie oglądać i nie wiedzieć, co się w nim znajduje.

Co do samej wiedzy, takową niezmiennie najchętniej zdobywam w szkole i to z nią wiązę swą przyszłość, a nie z udziałem w interesach Mike'a. Dlatego po chwilowym obniżeniu lotów z nauką znów bacznie przykładam się do zajęć. Ma to miejsce także w dzień po mojej wizycie w wytwórni narkotyków, czyli w bieżącej chwili na lekcji historii:

– Zgodnie z zapowiedzią omówimy dziś dziewiętnastowieczny ruch abolicjonistyczny w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Czy ktoś z szacownego państwa raczyłby nam przybliżyć temat? – W górę wzniesiona zostaje tylko jedna ręka. Należy do ubranej w białą sukienkę blondynki, która zasiada w pierwszym rzędzie przy nauczycielskim biurku. – Cieszy mnie to, że wróciłaś do formy, Angelino. Bądź więc tak uprzejma i zreferuj nam genezę ruchu abolicjonistycznego nasilającego się u schyłku osiemnastego wieku. Zapraszam.

Jako że udzielony zostaje mi głos, otwieram usta, aby popłynął z nich potok mądrych słów, odnoszących się do walki o zaprzestanie handlu ludźmi. Na przeszkodzie staje mi pukanie do

drzwi sali, które następnie zostają otwarte. Staje w nich student wyższego roku i z powagą oświadcza:

– Angelina Evans ma się niezwłocznie stawić w gabinecie dyrektora.

W pomieszczeniu rozbrzmiewa szmer spowodowany szeptem uczniów, a ich oczy kierują się na mnie. Także nauczyciel na mnie spogląda, a dodatkowo czyni gest, zezwalający mi na opuszczenie miejsca.

Zmieszana zerkam jeszcze na siedzącą koło mnie Lilianę. Ona jedynie wzrusza ramionami. Daje mi do zrozumienia, że nie ma pojęcia, czego może ode mnie chcieć dyrektor. Ja również tego nie wiem. Lecz zaraz pewnie się dowiem.

Wychodzę na szkolny korytarz i kroczę tam, gdzie jestem wzywana.

Po drodze dręcą mnie myśli związane z tym, że któryś ze szwindli Mike’a wyszedł na jaw. Ja zaś, jako jego dziewczyna, zostałam powiązana z nielegalnymi interesami.

Nie w smak jest mi idea, że najlepsza uczennica w szkole za chwilę może przestać takową być, bo zostanie zawieszona. Jeszcze bardziej nie mam ochoty na kontakt z policją. Natomiast myśl o potencjalnym aresztowaniu napawa mnie wręcz paniką.

Nasilająca się kaskada niepokojących domysłów skutkuje tym, że u celu staję pełna niepewności w sobie, a wręcz roztrzęsiona.

Lekko pukam do drzwi. Być może zbyt lekko, bo nie doczekuję się zaprosin. By mieć to już za sobą, po prostu naciskam klamkę i wchodzę do dyrektorskiego gabinetu.

Wewnątrz, po prawej i lewej stronie, widzę regały zastawione wazami i pucharami, które stanowią trofea sportowe. Centralnie ustawione jest tu masywne biurko, a za nim stoi skórzany fotel.

Jest on odwrócony do mnie tyłem. Lekko się porusza, więc wnioskuję, że jest zajęty. Zasiadająca na nim osoba patrzy zapewne przez okno na boisko sportowe. Zaraz jednak pewnie spojrzy na mnie. Co wtedy powie? Co ja powinnam powiedzieć wcześniej, aby delikatnie dać do zrozumienia, że jestem już obecna w gabinecie?

– Kłania się... Angelina Evans, studentka pierwszego roku. Podobno mnie pan... wzywał – popiskuję. Wobec braku odzewu daję o sobie znać już głośniejszym głosem: – Panie dyrektorze, czym mogę służyć?

W odpowiedzi słyszę druzgocące mnie, istnie hiobowe wieści, które zresztą sama sobie przepowiedziałam:

– Evans...

– Tak?

– Masz konflikt z prawem. W takim wieku i to jako najlepsza uczennica w szkole. Jak to się mogło zdarzyć...

– Przepraszam... bardzo. Chyba coś źle zrozumiałam. – Oślupiała patrzeć na fotel, za którym skrywa się mój rozmówca. On chropowato stwierdza:

– Dowiedziałem się, że dostałaś się pod wpływ złego towarzystwa. Spotykasz się z niejakim Damonem z czwartej klasy, zgadza się?

Zapada złowroga cisza. W pierwszym momencie pragnę zaprzeczyć i powiedzieć cokolwiek, co tylko da mi szansę wywinięcia się z kłopotów. Lecz miłość w sercu jest silniejsza. Przez to nawet w niedoli nie pozwala mi się wyrzec ukochanego:

– No tak... spotykam się z nim – przyznaję.

– Więc już nie będziesz, bo został... aresztowany.

– To niemożliwe. To nie może być prawda – jęczę, przeklinając w duchu zasugerowany mi, katastrofalny scenariusz.

– Ty masz szansę się jeszcze wywinąć. Musisz jednak być grzeczna, bardzo grzeczna. To jak... Będziesz grzecznitka dla pana dyrektora?

– Co takiego miałabym... zrobić? – Mięknę.

– A jak sądzisz? Co takiego tak mądra, ale też młoda, ładna, zgrabna i... seksowna dziewczyna, mogłaby mi zaferować sobą poza wsypaniem swojego chłoptasia?

– Chyba... Chyba nie mówi pan poważnie? – Moje rozdygotanie przechodzi w przygniatającą słabość, gdy dociera do mnie znaczenie złożonej mi niedwuznacznej propozycji.

– Mój rozmówca z kolei podbija stawkę:

– Jeżeli się dość postarasz, będziesz dla mnie milutka, to może wstawię się nawet za twoim chłopaczkiem.

– Naprawdę by pan to zrobił? – Zakwita we mnie nadzieja, która ma jednak mocny posmak goryczy.

– To co zrobię zależy tylko od ciebie, Evans. Zatem?

Wpadam w kołowrót coraz to bardziej niepokojących i pomieszanych myśli. Przewija się w nich pragnienie poświęcenia, które koliduje z poczuciem godności. Chęć chronienia siebie miesza się z chęcią niesienia pomocy ukochanemu. Jestem taka bezradna. Nie wiem, co w tej sytuacji zrobić. Po prostu nie wiem.

– Czekam na odpowiedź, Evans.

– Przepraszam, ale... nie. – Moje usta wypowiadają te słowa jakby same bez udziału mej woli.

– Jesteś pewna?

– Muszę wrócić na lekcję. Do widzenia panu, panie dyrektorze.

– Nie tak szybko, Evans. – Fotel z zasiadającą tam osobą obraca się ku mnie przodem. – A kuku, aniołku.

– Mike! – W szoku patrzę, jak Damon odejmuje sobie od ust tubę ze złożonej w rulon gazety. W ten sposób zniekształca swój głos, czym kompletnie mnie zwiódł. – Uduszę cię! Uduszę gołymi rękami! – Wyciągam przed siebie rozczapierzone palce. Mój bezczelny chłopak natomiast rozkłada się na swoim siedlisku w pańskiej pozie i po dyrektorsku oświadcza:

– Zanim mnie udusisz, to wcześniej posłuchaj, co mam ci do zakomunikowania.

– Niby co?! – Ciągłe rozdygotana, dramatycznie rozpościeram ramiona.

– Właśnie awansowałaś.

– Że co, jak? – Moje ręce mocniej rozsuwają się na boki w geście kompletnego niezrozumienia sytuacji i padających tu słów. Wtedy Mike udziela mi wreszcie wyjaśnień:

– Muszę na trochę wyjechać z Crestone. Dlatego mianuję cię tu moją zastępczynią, panią wicedyrektor. Prześlę ci na telefon kluczowe kontakty i się dobrze baw.

– Ale... niby jak ja mam prowadzić twoje interesy? Przecież sobie za nic nie poradzę! – Obecnie dłonie kieruję ku mężczyźnie w taki sposób, jakbym odpychała zarówno jego, jak i prezentowaną mi, wydawałoby się, nedorzeczną propozycję. On nawet nie myśli ustąpić:

– Moje interesy prowadzą się same. Chodzi tylko o to, aby ktoś przeze mnie namaszczony pokazywał się moim ludziom. Muszą czuć nad sobą kontrolę, aby nie przychodziły im do głowy jakieś głupoty.

– Chyba zaczynam rozumieć... – Łagodzę ton. Ale zaraz z wyrzutem dodaję: – I po to była ta cała szopka z wezwaniem mnie do gabinetu dyrektora? Prawie dostałam ataku serca! – Wskazuję na swoje ciągle szalejące mi w klatce piersiowej serduszko. Damon zaś wyklada wszystkie karty na stół:

– Przyznaję, że ta szopka miała na celu coś jeszcze. – Lustruje mnie uważnym spojrzeniem. – Kilku moich kumpli śmiało kwestionować twoją lojalność dla mnie. Bali się, że w razie kłopotów jako pierwsza zaczęłabyś sypać.

– Sprawdzałeś mnie...

– Nie z własnej inicjatywy, aniołku, wierz mi. Ale teraz za to, kiedy zdałaś egzamin, wszystkim niedowiarkom zamkną się jadaczki. Każdy, bez dwóch zdań, zaakceptuje cię nawet jako moją zastępczynię. Więc sama widzisz, że zaszły tu wyłącznie dobre rzeczy.

– Widzę... – potakuję i wreszcie powraca do mnie spokój ducha. – Czy może to Alex, brat Liliany, był jednym z tych niedowiarków, o których wspomniałeś? – pytam już w opanowany sposób.

– Może tak. Może nie... – Mike uśmiecha się tajemniczo. Rozumiem, że sam nie będzie wyspywał swoich ludzi, także przede mną i w sumie przyznaję mu tu rację.

Niedługo potem żegnam się z moim chłopakiem, przez którego wybryki w dyrektorskim gabinecie niemal osiwiiałam, zupełnie jak ciotka Elizabeth. Powracam na lekcję historii, a tuż po niej na korytarzu zaczyna mnie ciekawska Liliana:



– Czego chciał od ciebie dyrektorek?

– Takie tam... Nic specjalnego. – Macham niedbale ręką.

– No powiedz, muszę wiedzieć. Nie każ mi się przed tobą płaszczyć.

– Cóż... – Przyjmuję dumny wyraz twarzy. – Zrządzenie losu sprawiło, że pan dyrektor wręczył mi awans na...

– No, no?

– Panią wicedyrektor.

– Co ty... épałaś, kobieto? – Carterówna mruży ślipięta, usilnie wpatrując się we mnie. Ja daję jej wskazówkę:

– Owym dyrektorem wręczającym mi nominację był nie kto inny, jak mój... Mike.

– Czekaj... poczekaj. – Rudaska drapie się niefrasobliwie po głowie, w której coś jej chyba zaczyna świtać. – Chcesz mi powiedzieć, że... eee....

Aby dłużej już nie nadwyręzać umysłu Liliany, który do najbardziej lotnych nie należy, wykładam kawę na łąwę:

– Mike wyjechał z miasta i powierzył mi swoje interesy. Więc teraz to mi należy się kłaniać, zupełnie jak pani wicedyrektor.

– Żartujesz?!

– Wcale nie.

– Zrobił z ciebie... mafijnego bossa?!

– Ciszej, dzikusko. – W pośpiechu zasłaniam dłonią usta niesfornej dziewczyny. Ona powoli się uspokaja. Wydaje się coś jakby rachować. Aż kiedy daję jej możliwość swobodnego wypowiedzania słów, dumnie oświadcza:

– Czyli zostałam wiceszefową gangu Demonów z Crestone. No to bomba. To teraz dopiero będziemy mogły poszaleć.

– Zamierzam być odpowiedzialną wiceszefową – zastrzegam.

– Jasne, no jasne, aniołeczku. – Carterówna patrzy na mnie z góry jak na ostatnią naiwniarę. Uśmiecha się zadziornie i stwierdza, a właściwie to wydaje mi polecenie:

– Na dobry początek załatwisz mi pracę kelnerki w klubie Pod Płonącym Aniołem.

– Czemu zwyczajnie nie poprosisz o to Alexa? – wyrażam zdziwienie zasłyszaną prośbą.

Dziewczyna czyni gest dłonią, jakby odganiała naprzykrzającą się muchę i mi wyłuszcza:

– Cały problem jest właśnie z moim braciszkiem. Nie pozwala mi pracować w klubie. No wiesz. On chce, żebym była grzeczną dziewczynką.

– A ty chcesz być niegrzeczną dziewczynką...

– No pewnie! – Liliana promienieje.

– Zobaczę... co da się zrobić – uśmiecham się w samozadowoleniu, rozkoszując się magią władzy.

– No zgódź się, kurwa. Bardzo mi na tej robocie zależy. – Carterówna szarpie mnie za rękaw białej sukni i dalej żałośnie, jak suka, skamle: – To jak będzie z tą pracą kelnerki, załatwisz? Powiedz, że tak, bo nie wyrobię.

– Wpadnij dziś wieczorem do klubu.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Dam ci tę robotę.

– A... jak mój brat będzie kwękał?

– To powiem mu...

– No...?

– Powiem morda w kubeł. Teraz ja trzęsę całym Crestone!

– Aaa! – Uradowana dziewczyna skacze na mnie i w mocnym uścisku prawie dusi. Robi jednak nie tylko to. W myśl powiedzenia „daj palec, to zechcą całą rękę” szepcze mi do ucha, stawiając coraz to bardziej wygórowane żądania: – Przydałby mi się jeszcze nowy silnik do Chevroleta.

– Cóż...

– Do tego chcę trochę... amfy. Masz już dojścia, gdzie trzeba. Nikt nawet nie zauważył braku paczuszki tabletek.

– Nie podoba mi się to. – Poważnieję.

Liliana przyjmuje głodny wyraz twarzy i z pewną urazą mówi:

– Pamiętasz, jak ci pomagałam poderwać Mike'a? Dziękowałaś mi wtedy i obiecałaś się odwdzińczyć. No to masz właśnie okazję, bo zostałam magikiem. Damon dał ci do ręki czarodziejską różdżkę. Co sobie zażyczysz, to się stanie. Więc niech się, kurwa, stanie także dla mnie.

Układałam sobie w głowie przekaz przyjaciółki i nagle mnie olśniewa, że ona ma chyba rację. Mój chłopak obdarza mnie wręcz magiczną mocą. Czy mogę więc ją zazdrośnie trzymać tylko dla siebie albo, co gorsza, w ogóle jej nie wykorzystać? Wydaje się to wielkim marnotrawstwem, jak wżgardzenie manną z nieba. W rezultacie moich przemyśleń stwierdzam:

– Liliana...

– No?

– Przyznaję, zasłużyłaś sobie na to i owo, a może nawet jeszcze więcej.

– Czyli...?

– Masz ode mnie ten nowy silnik do wozu i amfę, kelnerko w klubie Pod Płonącym Aniołem.

– Chyba cię kocham, Angelino.

– Powinnaś. Każdy powinien mnie kochać. Każdy powinien kochać magicznego aniołka Mike'a Damona.



### XIII. Tarot – Cesarz

Karta tarota Cesarz odnosi się do poczucia kontroli nad zdarzeniami, wpływu i władzy nad innymi ludźmi. Karta ta obwieszcza możliwość narzucenia innym naszej woli, aby nawet wbrew sobie służyli naszym interesom.

\*

Mój chłopak wyjechał z Crestone, ja tu zostałam. Na pożegnanie dostałam jednak jakby skrzydła, z których nie omieszkam skorzystać. Zamierzam je wręcz rozłożyć tak szeroko, jak tylko się da, by zakosztować czegoś, o czym dotąd nawet nie śniłam. Mianowicie z czary pokus uraczę się nektarem władzy. Czy zaś się nim aż upiję, to się dopiero okaże.

- Hunter?
- Przy telefonie!
- Mówi Angelina.
- Jaka... Angelina?
- Evans.
- Nie znam.
- Jestem dziewczyną Mike'a, jego aniołkiem.
- A... To ty!
- We własnej, anielskiej, osobie.
- Czekał, Mike wspominał, że przekazuje ci stery władzy. To... w czym mogę pomóc?!
- Potrzebuję samochodu i szofera.
- Mogę kogoś polecić. Wóz też się oczywiście znajdzie.
- To masz być ty z najlepszym samochodem, jaki macie na warsztacie.
- Hm...
- To nie podlega dyskusji.
- No dobra... Niech będzie.
- Za godzinę zaparkuj przed domem Mike'a i do mnie zadzwoń.
- Ok.

Kończę połączenie telefoniczne. Zastanawiam się, czy wypadłam dość władczo. Domniemam, że chyba tak, skoro szybko i skutecznie postawiłam na swoim. W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak przed wizytacją inwestycji Damona zrobić się na bóstwo.

W pełnym rozbielonych barw moim pokoju, do którego wystrój ostatecznie wybrał Mike, siadam na krześle przed kryształowym lustrem. Ma ono kremowe ramy stylizowane na plecionkę z piór.

Spoglądając w zwierciadło, rozczesuję grzebieniem długie, proste i jasnozłociste włosy. Potem nanoszę na usta blad różową pomadkę. Rzadkie brwi podkreślam ciemną kredką. Do pomalowania długich rzęs używam czarnego tuszu. Podkładu i pudru do twarzy stosuję niewiele i wyłącznie w jasnych kolorach.

Ukończywszy makijaż, podchodzę do ściany zastawionej szafami. Każda ma parę odsuwanych na boki drzwi, które odzwierciedlają skrzydła. W jednej z szaf kryje się moja biała bielizna. W drugiej są moje białe koszulki, w trzeciej białe spódnice, a w czwartej białe sukienki.

Pogoda jest ciepła, jak to w Kalifornii o tej porze roku, czyli jesienią. Decyduję się więc założyć na siebie coś zwiewnego. Wybór pada na cienką, ale szykowną suknię, ponieważ w nowej roli chcę się prezentować dostojnie.

Ubrana ponownie staję przed lustrem. Podziwiając siebie, przyjmuję coraz to dumniejsze pozy. Czynię to tak długo, aż doczekuję się telefonu od Huntera. Wtedy wychodzę przed dom.

– Wow! Co to za maszyna?! – Z wrażenia przystaję za progiem, widząc wyjątkowo płaski, srebrny samochód o niezwykle opływowych kształtach. Jego kierowca rozkosznie do mnie rzuca:

– To McLaren! – A już ciszej dodaje: – Świeżo zawinięty z LA.

– Z Miasta Aniołów... – dopowiadam sobie i pytam: – To tam pojechał Mike? Wybrał się do Los Angeles?

– Zgadza się.

– W porządku. My na początek pojedziemy do... fabryki prochów. Wiesz, gdzie to jest?

– Bywa, że jeżdżę tam po dostawy. – Mężczyzna uchyla mi drzwi wozu i uprzejmie mówi: – Zapraszam.

Podchodzę do miejsca dla pasażera i na nim zasiadam, a właściwie to się na nim kładę. Samochód rusza tak płynnie, jakby przemieszczał się w wodzie i obiera kurs na północny wschód miasta.

Droga nie czeka nas zbyt odległa. Tym bardziej chcę skorzystać z okazji, że jestem w tej chwili z kumplem mojego chłopaka sama i postanawiam go wypytać o to, co mnie interesuje na temat Damona. Chociaż początkowo zagajam całkiem niewinnie:

– Lubisz sportowe wozy? – wyrażam zainteresowanie.

– To moja pasja! – Kierowca dodaje gazu.

– Od dawna się tak pasjonujesz?

– Odkąd wsiadłem do pierwszego ścigacza.

– Czyli od kiedy?

– Gdzieś od dziesięciu lat.

– A ty ile... masz lat?

– Dwadzieścia pięć – szczyrzy się do mnie Hunter, by zaraz wykonać gwałtowny manewr na ulicy i siarczyście przekląć: – Kurwa mać! Te cholerne węże na drodze. No nie mają gdzie pełzać! – Za chwilę już spokojnie wtrąca: – Nie cierpię rozjeżdżać węży.

– Darzysz te gady sympatią? – podchwytuję. Mechanik uśmiecha się litościwie i wyprowadza mnie z błędu:

– Nie cierpię rozjeżdżać węży, bo beznadziejnie wyskubuje się ich resztki z bieżnika w kołach.

– Aha... A od dawna masz okazję wyskubywać resztki gadów z takich wozów jak ten... McLaren?

– Wiem, o co ci chodzi. – Hunter grozi mi palcem. Następnie na moje zawołane pytanie odpowiada: – Poznałem twojego chłopaka dziesięć lat temu, jak miałem ze sobą trochę kłopotów. Akurat uciekłem z domu. Mike dał mi wtedy robotę w warsztacie i od tamtej pory należę do jego demonicznej bandy.

– Więc nie znasz Damona od dziecka.

– No nie.

– Kto zna go od... zawsze?

– Pojęcia nie mam. Wiem tyle, że Mike miał rodzinny dom gdzieś na obrzeżach Crestone. Potem coś się w jego życiu wydarzyło, coś złego, i już nie siedział cały czas w tej okolicy. Aż poznał tu... pewną dziewczynę, której imienia od jej śmierci nie wolno wymawiać. – Hunter zerka na mnie wymownie i ciągnie dalej: – Jak poznał wspomnianą dziewczynę, to poszedł tutaj do college'u. To ta dziewczyna go namówiła, żeby się uczył. Powtarzała mu ciągle, że lepiej jest wiedzieć za...

– ...dużo niż za mało – kończę w zadumie zdanie rozmówcy. On przytakuje:

– No tak. – I kontynuuje: – Mike jednak nie tylko się tu uczył. Miał sporo kasy i szybko ją... niezbyt legalnie zainwestował. Tak powstały gangsterskie Demony z Crestone i powiem ci, że ciągle mają się dobrze.

– Dzięki za wyjaśnienia.

– Nie ma sprawy, szefowo!

Nie ciągnę dalej mechanika za język, bo samochód zatrzymuje się już w pobliżu znanej mi, rdzawej skały.

Za chwilę Hunter otwiera wjazd do bunkra. W kolejności w maseczce na twarzy przemierzam znany mi korytarz i laboratorium, aż trafiam na zaplecze.

W magazynie zamieniam kilka zdań z mężczyzną, który sprawuje pieczę nad tym miejscem. Dowiaduję się, że wszystkie etapy produkcji narkotyków odbywają się bez zarzutów. Dystrybucja też nie szwankuje.

Słyszę tutaj dokładnie to, czego się spodziewałam. Kiedy zaś wydaje mi się, że nikt mnie nie obserwuje, kradnę z plastikowego pojemnika foliowy woreczek zawierający kilkaset białych tabletek. Moją zdobycz lokuję w damskiej torebce i tak kończy się moja wizytacja w tym miejscu.

Niebawem znów jestem z Hunterem w sportowym wozie. Obecnie jedziemy na drugą stronę miasta do kasyna Pod Upadłym Aniołem.

Stawiam się tam wieczorem i w lokalu poszukuję wzrokiem znanej mi osoby. Zauważam ją tam, gdzie się spodziewałam, czyli przy stoliku z ruletką, i zagaduję:

– Cześć Zion.

– Aniołek Mike’a, ukłony. – Krupier kłania mi się nad wyraz nisko. – Skusisz się znowu na partyjkę? – zapytuje.

– Nie przyjechałam grać. – W nieco głodny sposób spoglądam na ruletkę. Szybko jednak biorę na wodze diabelskie podszepty i mówię to, co mam tu do powiedzenia: – Chciałam się upewnić, że wszystko w kasynie gra.

– Wszystko gra. Każda gra. – Zion bawi się w słowne gierki.

Nagle przestrzeń lokalu rozdziera przerażający wrzask:

– Kredyt! Chcę jeszcze tylko jeden, kurwa, kredyt!

Wystraszona krzykiem zauważam, że przy stoliku z kartami jakiś mężczyzna wymachuje pistoletem. Odruchowo padam plackiem na podłogę i już nie w strachu, a w przerażeniu wczołguję się pod blat, na którym stoi ruletka. Tymczasem gniewne krzyki nie ustają:

– Jestem stałym klientem. Nie dam się, kurwa, traktować jak śmieć! Jeszcze tylko jeden kredyt! Jeszcze tylko...

Męski wrzask kończy się tak raptownie, jak się rozpoczął. Ja zaś widzę pod stołem wyciągniętą ku mnie dłoń. Domniemam, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Daję się więc wyciągnąć spod blatu.

Kiedy znów stoję na nogach, choć lekko drżących, dostrzegam dwóch goryli, którzy obezwładnili krewkiego gracza i taszczą go za drzwi kasyna. Przenoszę spojrzenie na znajomego krupiera. Ten rozkłada ramiona i rezerolucie stwierdza:

– Tak jak mówiłem. Wszystko gra. Każda gra – uśmiecha się.

W tym momencie do stolika podchodzi Hunter i na widok Ziona wyjątkowo szeroko się szczerzy:

– Brachu! – Mocno klepie go po plecach. Sam doczekuje się tego samego. Do kompletu mężczyźni stukają się nawzajem pięściami, po czym wywiązuje się między nimi swobodna rozmowa:

– Jak tam twoja słodka Sue? – rzuca beztriosko krupier.

– Moja Sue to suka, jak zawsze! – parska mechanik i sam zapytuje: – Co u ciebie?

– Całkiem ciekawie, nie powiem. – Zion zadziera głowę. – Liczę, że jak Mike dogada się z Indiańcami, to dostanę szefostwo w nowym kasynie.

– Tym koło San Francisco?

– Koło San Diego.

– Aha... Słuchaj, ale...

– Wystarczy tej gadki! – ucinam ostro, jak nożem, męską dyskusję. Nie podoba mi się bowiem to, że jestem nagle traktowana jak duch.

Doczekuję się należy mi uwagi. Wtedy podlegającym mi teraz ludziom daję stosowne wytyczne:

– Zion, zajmij się stolikiem. Gracze już obstawili zakłady. Kręć kołem. Hunter, do wozu. Jedziemy do Płonącego Anioła.

– Kiedy...

– Migiem.

– No dobra, to w drogę...

Nie wiem, czy nie trzymam pracowników Mike'a za krótko. Uznaję jednak, że dopóki skrupulatnie wykonują polecenia, to znaczy, że respektują moją władzę. To właśnie polecił mi przecież czynić Damon. Pod jego nieobecność mam nie dopuścić do tego, aby demoniczne towarzystwo uległo rozpasaniu. W konsekwencji, gdy przybywam do nocnego klubu, i zasiadam na skrzydlatym tronie, jestem równie nieustępliwa:

– Kto odpowiada za angaż kelnerek? – Takie pytanie kieruję właśnie do kelnerki, która akurat podaje mi tacę z drinkami. W odpowiedzi kobieta wolną ręką wskazuje mi Alexa stojącego przy jednym z barów. – Przyślij go do mnie, natychmiast – wydaję polecenie.

Wkrótce na siedzeniu koło mnie zasiada brat Liliany. Inaczej niż Hunter czy Zion nie patrzy na mnie z mieszkanką respektu i podziwu. Tak jak przy naszym pierwszym spotkaniu cechuje go miążdżąca powaga. Jego wzrok wydaje się obojętny, a momentami nawet jakby zawistny. Ten ponury mężczyzna znów pali cygaro, z którego dym ponownie kieruje na mnie.

Oceniam, że Alex jest bardzo pewny siebie. Pomna jestem jednak tego, że to ja mam decydujące atuty w szykującej się rozmowie. W związku z tym bez ogródek wypalam:

– Od dziś Liliana będzie tu pracowała jako kelnerka. – Wypowiedziawszy te słowa, patrzę na mężczyznę koło mnie w taki sposób, jakbym gotowała się z nim do walki.

On mnie zaskakuje, bo wydaje się w ogóle nie przejawiać ochoty do konfrontacji, słownej czy też jakiegokolwiek innej. Odwraca ode mnie wzrok i spokojnie wpatruje się w kłęby wydychanego dymu.

W swej tajemniczej pozie wygląda trochę jak w samochodowym kinie pałacy marihuanę Mike. Przypomina postać, którą bardziej niż terażniejszość absorbuje nieznana innym przeszłość.



Lecz Alexowi na pewno nie dam buziaka, aby umilić mu przeżywanie jego retrospekcji. W to miejsce dobitnie potwierdzam swoje wcześniejsze stwierdzenie:

– Liliana zostaje kelnerką w tym lokalu. Tak zdecydowałam.

– Słyszałem. – Brat mojej przyjaciółki omiata mnie leniwym spojrzeniem.

– Zajmij się nowym angażem – posykurę, aby jeszcze zaakcentować, kto tu rządzi i z nutą drwiny w głosie dodaje: – Chyba nie będziesz miał problemu z tym, że pod jednym dachem popracujesz sobie z siostrzyczką...?

– Nie będę miał. Chyba że dopuścisz ją do prochów. Wtedy ty będziesz miała problem ze mną.

– Co ty powiedziałaś? – rzucam wyzywająco. Wówczas Alex wbija we mnie ostre spojrzenie swoich lodowatych oczu i złowrogo chrypi:

– Jeśli pozwolisz Lilli ćpać, Mike ci nie pomoże. Wyskubię ci z anielskich skrzydeł wszystkie piórka. Bardzo cię skrzywdzę i już nie będziesz przypominać aniołka. Żeby nie było, że nie ostrzegałem. – Mężczyzna gasi cygaro na mankiecie mojej sukni, który luźno spoczywa na ramie fotela. Potem odchodzi.

Pozostaję na swoim miejscu w wyjątkowo sztywnej pozie. Skwaszona patrzę na moją przypaloną i ubabraną na czarno sukienkę. Biję się z myślami, czy nie powinnam kogoś z ludzi Damona napuścić na Alexa, który mnie wręcz przeraził.

Przed takim działaniem skutecznie powstrzymuje mnie obawa odwetu ze strony brata Liliany. Ona sama akurat siada na miejscu Mike'a, po czym z przejęciem szczebiocze:

– No i co? Alex się zgodził? Mogę tu pracować?!

– Tak... – wyduszam z siebie.

– Ha! – Czyli powiedziałaś mu morda w kubek, teraz ja tu rządzę!

– Nie zupełnie tak to ujęłam, Liliana...

– No ale... Pracować tu mogę?

– Możesz w każdej chwili zaczynać. – Wzdycham sobie i uśmiecham się w wymuszony sposób.

Carterówna nie reaguje na mój stonowany nastrój, tylko z ogniem w oczach rozgląda się z miejsca Mike'a po jego lokalu. Widzę po niej, że coraz bardziej wzbiera u niej poziom ekscytacji. Myślę sobie, że perspektywa pracy tutaj ją tak nakręca, że może już nie będzie chciała się dodatkowo napędzać prochami. W tym wzglądzie się niestety mylę:

– Załatwiłaś dla mnie piguły? – pyta łakomie.

Zapada cisza, podczas której bez przekonania spoglądam na moją damską torebkę, która niemal pęka w szwach od znajdujących się w niej narkotyków. Przy tej czynności wspominam przestrożę Alexa i w rezultacie zachowawczo mijam się z prawdą:

– W magazynie z prochami było pełno ludzi. Nie miałam jak podwędzić towaru.

– Rety... ale szkoda. – Liliana uderza dłońmi w kolana i z niezadowoleniem kręci głową. Ale od dłuższego czasu nawet na mnie nie patrzy i teraz też nie zaszczyca mojej osoby spojrzeniem. Wstaje i z entuzjazmem pokrzykuje: – To idę do pracy. Może pokażę trochę ciała, to nawet dostanę wielgachne napiwki! – Podwija do góry spódnicę, ukazując zarys płaskiego pośladka. Kwaśno się do niej uśmiecham i jeszcze zapytuję:

– Wiesz może, co jest tam, na górze? – Wskazuję ręką piętro budynku. Carterówna zerka na mnie z ukosa i swobodnie mówi:

– Tam jest burdelik.

– Aha... No tak. – Kiwam potakująco głową.

Jeszcze pewien czas pozostaję na tronie. Nawet z zaciekawieniem obserwuję pływającą między klientami przyjaciółkę, która, przebrana już w kusy strój, odbiera zamówienia, to biega z trunkami. Chociaż równą uwagę poświęcam posępnej sylwetce Alexa. Ten niezmiennie stoi przy barze i pali kolejne już cygaro.

Autentycznie nabieram respektu wobec tego mężczyzny. Ale stwierdzam też, że skoro nie uraczyłam Liliany narkotykami, to z jej bratem nie weszłam na wojenną ścieżkę. W takim układzie mogę chyba odetchnąć z ulgą i o zagrożeniu ze strony Cartera wypada zapomnieć.

By zająć umysł czymś nowym, postanawiam osobiście odwiedzić piętro lokalu. Opuszczam więc mój tron i po schodach wchodzę na górę.

Na miejscu widzę przestrzeń przypominającą trochę obszar więzienia. Ciągnie się tu bowiem długi parkiet, po którego jednej stronie jest barierka, a po drugiej stronie usytuowany jest rząd jakby cel. Pomieszczenia nie są jednak zakratowane. Przejścia do nich strzegą czerwone drzwi z wymalowanymi na nich białymi aniołami.

Zauważam, że jedno z takich wrót są uchylone. Podchodzę tam i zaglądam do środka, będąc ciekawą wystroju wewnątrz.

Takowy widzę głównie w postaci wielkiego, czerwonego łoża. Lecz przypadkiem nakrywam też parę osób, która uprawia seks.

W pierwszym momencie zamierzam czym prędzej stąd uciec. Ale ciekawość znów bierze górę.

Na tyle ile mam ochotę, nasycam wzrok widokiem prężących się nagich ciał w miłosnych uściskach.

Ten zmysłowy obraz przywodzi mi na myśl mnie i mojego chłopaka w naszej sypialni. Odczuwam pewną tęsknotę, a nawet nieprzyjemną pustkę w sobie. Ponownie więc czynię zwrot w moim działaniu. Powracam na tron, po czym dumam komu, i jakie, mogłabym jeszcze wydać rozkazy.

Na podobnej zabawie, w jakby wszechwładnego cesarza, mija mi jeszcze kilka dni. I nie powiem, coraz bardziej ta zabawa mi się podoba i coraz lepiej na kierowniczym stanowisku się odnajduję.

Aż przed lekcją matematyki w szkole pewnego popołudnia zostaję nagle zdetronizowana. Oto otrzymuję kończącą moje panowanie wiadomość tekstową:

*„Wracam, aniołku”!*

Zapewne z powodu wieści na temat powrotu ukochanego wyłącznie, co powinnam czynić, to z radości łopotać skrzydłami. W duchu naprawdę się cieszę i odbieram w sobie podekscytowanie. Ale też dźwięczy we mnie nuta żalu, że znów zostanę zdegradowana jedynie do roli dziewczyny Mike’a.

Nie mam jednak czasu przeżywać żałoby po stracie. Oto od mojego chłopaka otrzymuję kolejną, do tego dość dziwnie brzmiącą, informację:

*„Na matmie nie wychodź z klasy”.*

Zastanawiam się, czemu podczas lekcji nie miałabym opuścić sali przykładowo choćby na siku? Nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Odpowiedź pojawia się dopiero wraz ze wściekłym dźwiękiem świdrującym mi uszy i równie zgrzytliwym obwieszczeniem matematyczki:

– Mamy alarm przeciwpożarowy. Wiecie, co robić.

Z klasy wychodzą wszyscy poza mną. Już się bowiem domyślam, kto zaraz ją odwiedzi i się bynajmniej nie mylę:

– Hej, aniołku! – Do pomieszczenia wślizguje się Mike. Podchodzi do mnie, szczyrzy się i, jakby nigdy nic, pyta: – Tęskniłaś? – Potulnie kiwam głową na tak. – Nabroiłaś? – Kręcę głową na nie. – A co dla mnie masz?

Przesadnie wydymam usta. Doczekuję się pocałunku i to nie byle jakiego. Damon obdarza mnie taką namiętnością, że w lot zapominam o całym mym niedawnym panowaniu i jestem już tylko jego.

On zasiada koło mnie w ławce. Obejmuje mnie ramieniem i wydaje się w pełni uszczęśliwiony. Ja, znów przy nim, uświadamiam sobie, że też taka jestem.

Więc chyba to prawda, że nieważne co się ma, czy czego się nie ma. Nieistotne kim się jest, czy też nie jest. To właśnie realizowana u boku ukochanej osoby miłość zapewnia największe spełnienie i najpełniejsze szczęście.

– Chcesz może podzielić się ostatnimi wrażeniami? – rzuca swobodnie Mike.

– Jakimi wrażeniami? – mruczę odprężona i tulę się do mężczyzny.

– No wiesz. Miałaś pod sobą bandę wykolejeńców.

– E tam.... Dla mnie to były tylko grzeczne dzieciaczki. – Uśmiechając się, macham niedbale ręką.

- Czyli nikt nie sprawił ci kłopotów? – upewnia się Damon.
- Nikt i nic nie było kłopotliwe. No może poza tym, że...
- Tak, aniołku?
- Rozczarowujący był brak ciebie u mego boku.
- Też się nie mogłem doczekać, aż do ciebie wrócę.
- Naprawdę?
- Pewnie, że tak.
- To obiecaj mi coś.
- Co takiego?
- Obiecuj, że teraz już zawsze będziesz przy mnie.
- Zawsze i przez cały czas?
- No... właśnie.
- Tego najbardziej pragniesz?
- Wiesz, że tak.
- Więc obiecuję ci to. Cokolwiek się wydarzy nie opuszczę cię już. Co by się miało nie stać, zawsze będę przy tobie, aniołku.

## XIV. Tarot – Koło Fortuny

Karta tarota Koło Fortuny stanowi zapowiedź spektakularnych zmian. Mogą być to zwroty zarówno na lepsze, jak i na gorsze. O szczęściu lub nieszczęściu nie decyduje jednak to, w jaki sposób na przełomowe wydarzenie zareagujemy. Los decyduje tu za nas, nawet jeżeli wobec jego wyborów nie pozostajemy bierni.

\*

W domu Mike'a, który obecnie jest także moim domem, wszystko toczy się stałym rytmem. W dni powszednie jeździmy stąd do szkoły. Wieczory spędzamy tu razem lub gdzieś wspólnie wyjeżdżamy. Regularnie sypiamy tutaj ze sobą i się kochamy.

Nigdy nie przeszkadzała mi rutyna, wręcz przeciwnie. Zawsze znajdowałam w niej oparcie, ponieważ daje ona przewidywalność, a co za tym idzie brak wytrącających z równowagi niespodzianek.

Kiedy jednak w istniejących już trybach coś zgrzyta, wtedy budzi to mój podwójny niepokój. Tak jest i teraz, gdy po nocy bez Damona, poddenerwowana jego ciągłą nieobecnością, wykonuję jeden za drugim telefon:

– Jak to nie wiesz, gdzie on jest, Hunter? To kto ma wiedzieć?!

– Może... Zion?

– Rozmawiałam już z nim. On również nie ma pojęcia, gdzie podział się Mike. Odpowiedzi nie może mi udzielić też Alex, Logan, James ani Jack!

– Niedobrze... Zadzwoń może do Rayana. Jak coś, to się odezwę.

– Tylko szybko, Hunter! Proszę cię, tylko szybko, bo już odchodzę od zmysłów...

Naprawdę od nich odchodzę. Z powodu narastającego roztrzęsienia decyduję się nawet nie iść do szkoły. Nie wyobrażam sobie bowiem, abym mogła wysiedzieć spokojnie na lekcjach. Nosi mnie tak, że co raz przemierzam cały dom, zupełnie jakbym spodziewała się, że gdzieś w nim nagle odnajdę zaginionego Damona.

Łapię się przy tym za głowę, tarmoszę za włosy i uparcie analizuję, z kim jeszcze mogłabym się skontaktować, aby odnaleźć ukochanego. Dzieje się jednak tak, że w tym celu ktoś sam szuka kontaktu ze mną.

Popołudniu w pośpiechu odbieram dzwoniący telefon. Nawet nie patrzę, kto próbuje nawiązać ze mną połączenie, tylko życzeniowo pokrzykuję:

– Mike?! Mike? To ty?!

– Oto objawia się twój Lucas, Święta...

– Lucas...

– Witaj, złotko.

- Czego ode mnie chcesz?
- Tego samego, co od początku.
- Nie mam czasu na te wygłupy.
- Może go znajdziesz, jeśli chcesz jeszcze...
- Niby czego chcę?!
- Zobaczyć swojego chłoptasia.
- Ty...? Ty masz coś wspólnego z zaginięciem Mike'a?!
- Zgadnij czemu, Święta...
- Co mu zrobiłeś? Mów, co mu zrobiłeś!
- Jeszcze nic. A to, co mu zrobię, albo nie, zależy od ciebie.
- Jesteś gnojem, wiesz?
- Ty za to jesteś pierwszoklasistką, która miała mi dać buziaka.
- Zapomnij.
- Chcesz zobaczyć swojego chłoptasia z jajami, czy wolisz bez?
- Przestań!
- A może podesłać ci same jaja?
- Ty...
- Z mojej strony krótka piłka, pierwszoklasistko. Pocałujesz się ze mną, co sfilmują moi kumple, albo przyczynisz się do kastracji twojego jurnego chłopaczka. Twój wybór.
- Lucas...
- Tak, Święta?
- Nienawidzę cię...
- Cóż. Wcale nie żądam od ciebie tego, abyś mnie kochała.
- Gdzie miałabym się z tobą... całować?
- Tam, gdzie się umówiliśmy.
- Czyli...?
- Jutro w szkole. W samo południe w męskim kiblu.
- Poczekaj, porozmawiajmy...
- Do jutra.
- Czekać, Lucas. Poczekaj, kurwa!

Wódz się rozłącza. Ja zaś, kompletnie wyprowadzona z równowagi, wypowiadam, a właściwie wykrzykuję pierwsze w życiu przekleństwo. Lecz bluźganie to moje w tej chwili najmniejsze zmartwienie.

– Porwał Mike'a. Lucas ma mojego Mike'a. – Chodzę w kółko po salonie i bezwiednie powtarzam te same słowa. Jednocześnie w umyśle krystalizują mi się dwie wersje tego, co mogę teraz uczynić.

Jedna opcja to dać porywaczowi to, czego żąda. Na samą myśl o tym skręca mnie w brzuchu i bierze na wymioty. Domyślam się też, że mój uczynek, po jego sfilmowaniu, szybko trafi do Internetu, gdzie doczeka się niewybrednych komentarzy.

Jaki mam jednak wybór? Alternatywę widzę tylko jedną. Mogę skrzyknąć ludzi Mike'a i zarządzić poszukiwania Wodza. Wtedy niestety ryzykuję to, że poleje się krew i nie jestem w stanie przewidzieć czyja oraz ilu osób.

Czy jestem gotowa posunąć się do tego, aby ratując ukochanego, mieć kogoś na sumieniu? W tym względzie publiczny pocałunek z szantażystą wydaje się raczej rozsądniejszym wyborem.

Ale jakie mam gwarancje tego, że szantażysta dotrzyma słowa? Przecież pomimo spełnienia jego warunków i tak może skrzywdzić Mike'a. Może też przystąpić do skalowania żądań i zażyczyć sobie ode mnie czegoś więcej niż pocałunek...

W pewnym momencie moje rozmyślenia, a właściwie to bicie głową w ścianę, przerywa kolejny telefon:

– Angelina, masz coś nowego o Damonie?

– Cześć... Hunter.

– Pytałem...!

– Słyszałam.

– No i?

– Daj mi chwilę.

– No ale masz coś nowego czy nie?!

– Powiedziałam, kurwa, żebyś dał mi chwilę!

– Spokojnie...

– Jak niby mam być spokojna?!

– Ok, bądź sobie, jaka chcesz, tylko powiedz, czy coś masz. Chłopacy coraz bardziej się niepokoją.

– ...

– Angelina?

– Nic nie mam.

– Jesteś pewna? Bo gadasz trochę, jakbyś...

– Do widzenia, Hunter.

Wyłączam i dodatkowo dezaktywuję telefon, aby nikt więcej nie mógł się do mnie dodzwonić. Resztę dnia chodzę po domu jak struta. Nocą nie mogę spać i tylko kotłuję się w pościeli jak w gorączce.

Gdy tylko na dłużej przymknę powieki, nawiedzają mnie obrazy ze śnionego niegdyś erotycznego koszmaru, w którym całowałam się z Lucasem. Tamten sen urasta obecnie do rangi proroczego. Ja zaś czuję, że nic z tym nie mogę zrobić.

Odbieram siebie jak kulę do ruletki, która bezwolnie kręci się w kołowrocie nieprzewidywalnych zdarzeń. Nieważne, na którym polu ostatecznie spocznę, ktoś coś wygra, a kto inny będzie przegrany. Nie jestem przy tym w stanie oszacować potencjalnych strat i korzyści żadnej ze stron. Nie wiem nawet, jak ostatecznie pokieruje mną los i czy w chwili próby zdołam spełnić żądania porywacza. Nic już nie wiem poza tym, że ponad wszystko pragnę odzyskać całego i zdrowego Mike'a.

\*

Nazajutrz, jak pozbawione własnej woli ciele, niczym na rzeź idę do szkoły. Wybieram się do niej nie z rana, a na niewiele przed godziną zero, czyli przed południem.

– Cześć... Liliana. – Na szkolnym korytarzu witam się z moją przyjaciółką. Ona, zamiast zwyczajowo pogodnie odpowiedzieć, robi minę jak rozdeptana ropucha. Następnie zdradza mi przyczynę swojej takiej, a nie innej, reakcji na mnie:

– Wszyscy już wiedzą... Angelina.

– Niby o czym? – udaję głupią. Wtedy do moich uszu dochodzą słowa okolicznych studentów, które kiedyś już tu słyszałam:

– O dwunastej...

– W samo południe...

– Ma się z nim całować o dwunastej...

– Zrobi to w męskim kiblu...

– Musi...

– Idę na lekcję, Liliana. – Udaję nie tylko głupią, ale i głuchą na osaczające mnie zewsząd szydercze zwroty.

Na lekcji niestety wcale nie jest lepiej. Jest równie koszmarnie, ponieważ odnoszę przemożne wrażenie, zupełnie jakbym przeżywała déjà vu:

– Angelina! Co jest tak ciekawego pod ławką, że ciągle tam spoglądasz? – Matematyczka nie żałuje sobie ciętego języka. – Do tablicy, Evans. Może bliższy kontakt z algebrą pozwoli ci się lepiej skoncentrować. – Zgodnie z poleceniem wstaję, by wkrótce usłyszeć: – I znowu błąd, Evans. Co ty robiłaś ostatniej nocy, zamiast się uczyć, co?

– Przepraszam, ale muszę do... toalety. – Nie czekając na pozwolenie, opuszczam salę.

W damskiej toalecie przemywam twarz zimną wodą, po czym spoglądam w swe lustrzane odbicie.

Wspominam, że na początku roku szkolnego byłam tu w niemal identycznej sytuacji. Obecnie zasadniczą różnicę stanowi to, iż żąda się ode mnie upokorzenia siebie nie w celu ochrony własnej osoby, a ocalenia kogoś, kogo kocham. Czy jednak ten ktoś nadal będzie mnie chciał po tym, jak w pewien sposób go zdradzę? Czy wówczas ciągle będę dla Mike'a niewinnym aniołkiem?



Wybija sądna godzina dwunasta, więc już nie czas na dylematy. Muszę podjąć ostateczną decyzję, co zrobić. Prawdę powiedziawszy nie czuję, abym ją osobiście podejmowała i miała na nią większy wpływ. Los sprawił, że jestem zakochana i to miłość wyznacza moje dalsze kroki, które kierują mnie w określone miejsce.

Tak jak się spodziewałam, na korytarzu robi się zbiegowisko. Studenci patrzą na mnie z przejęciem. Być może, jak w grze hazardowej, robią też zakłady o to, czy spełnię żądanie Lucasa. Ja otwieram drzwi męskiej toalety i wchodzę do środka.

Tuż za progiem twarz zalewa mi ściana wody, która chlusta na mnie prosto z wiadra. Doznaję szoku i koszmarnego uczucia tonięcia. Głośno i szybko oddycham, wręcz rżęzę. Odzywają się we mnie najgorsze wspomnienia związane z wypadkiem samochodowym. Uderza mnie to, że z tego pomieszczenia, po tym co tu zrobię, także mogę wyjść z traumą.

– Spokojnie, Święta. To była tylko woda z kibla, a nie święcona. Nie musisz się żegnać i mówić paciorka. Musisz za to słodko się ze mną pocałować. Tak, abym był zadowolony. – Łysy obecnie Lucas, do tego z widocznymi plamami po oparzeniach na czaszce, siłą przyciąga mnie do siebie i obejmuje. Zawodnicy jego drużyny futbolowej otaczają nas ciasnym kręgiem. Każdy z nich trzyma smartfon. Każdy z nich nas filmuje.

Ja natomiast czuję się dokładnie, jak w śnionej kiedyś sennej marze. Pośród męskiego towarzystwa jestem bezbronna niczym jagnię osaczone przez watahę wilków. Największą zaś słabość odbieram wobec przywódcy watahy zwanego Wodzem.

Na jego skinięcie robię to, czego ode mnie oczekuje. Tego, po co tu przybywam, nie przedłużam, nie odwlekam w czasie, by mieć to już za sobą.

Powoli, jak ze zdziwienia, rozchyłam usta. Niespiesznie zwilżam je różowym językiem, wodząc nim odpowiednio wzdłuż dolnej i górnej wargi. W kolejności wychylam do przodu i ku górze głowę.

Zaczynam zamykać oczy i tak jak moje powieki coraz mocniej opadają, tak usta rozwierają się coraz szerzej. Aż kiedy nic nie jest dane mi już widzieć, zstępuję w swoistą ciemność, w której tonę. Wtedy, w tych mrocznych odmętach, całą sobą jedynie czuję. Odbieram jednak już nie tylko własną osobę, ale wilgotnymi wargami muskam, dotykam, smakuję... Gdy raptem niespodziewanie słyszę:

– Cięcie!

– Że co...? Jak?

– Powiedziałem cięcie. Tego nie ma sensu nawet filmować. – Lucas, który przerwał pocałunek, z niesmakiem wyciera sobie dłonią usta i z wyższością w głosie mnie strofuje: – To był z twojej strony żaloszny pocałuneczek. Chyba jednak nie zależy ci na swoim chłoptasiu. W sumie to ci się nie dziwię, bo to zwyczajny śmieć.

– Więc... nie wypuścisz Mike'a? – Ogarnia mnie taka bezradność.

– Miałbym go puścić za tak żalosne lizanko? Nie ma szans.

– To może spróbujemy... jeszcze raz? – Dławię się swoimi słowami, które z wielkim trudem przechodzą mi przez ściśnięte emocjami gardło.

– Chcesz się więcej całować?

– Tak...

– Nie dosłyszałem.

– Powiedziałaś... tak!

– Tak co?

– Chcę się z tobą więcej całować...

– Chłopcacy, słyszeliście to, słyszeliście? Nagraliście?! – Lucas triumfuje. – No dobra, Święta. To chodź do mnie i pokaż na co cię naprawdę stać.

Obecnie już wiem, że jeżeli naprawdę pragnę przyczynić się do uwolnienia Damona, to muszę porzucić wszelkie myśli o wstrzemięźliwości. Innymi słowy muszę się całować z Lucasem tak, jakby to był Mike, którego właśnie odzyskuję.

W drugim podejściu to dokładnie staram się czynić. Dłuższą chwilę jakby miłośnie spoglądam Wodzowi w oczy. Niby oczarowuję go sobą i sama udaję oczarowaną. Następnie wyciągam dłonie i kładę je na męskich policzkach. Soczyście wpijam się w usta i wręcz zatracam w namiętym pocałunku. Jest on długi, mocny, głęboki. Na chwilę zostaje przerwany, abym mogła zaczerpnąć tchu. Potem dalej przejawiam inicjatywę, podążając kobiecymi wargami za ich męską parą.

Kiedy wreszcie przerywam amory, czuję do siebie odrazę tym co uczyniłam, ale też odbieram w sobie dumę. Przełamuję bowiem swoje opory i daję z siebie wszystko, co mogę, aby znów być z prawdziwym ukochanym. Niestety obdarowany czułością mężczyzna ma na to inne zapatrywanie:

– Dość tej żenady. – Lucas bezceremonialnie odpycha mnie od siebie. – Lizanko z tobą jest tak słabe, że zaczynam współczuć twojemu chłopczkowi. I przynajmniej już wiem, czemu, mimo że jest z tobą, to regularnie odwiedza piętro w lokalu Pod Płonącym Aniołem. Na jego miejscu też bym bzykał na boku. – Wódz bierze koło mnie łuk, aby mnie wyminąć. – Chodźcie chłopaki, spadamy – rzuca znudzonym głosem do kumpli.

We mnie tymczasem następuje niespodziewana transformacja. To że Lucas szydzi z mojej namiętności, mogłabym jeszcze zignorować, niewątpliwie. Lecz wytknięcie mi w twarz tego, iż jest to przyczyną regularnych zdrad Mike'a, które autentycznie mogą mieć miejsce, sprawia, że nagle płonę. Już w ogóle nie czuję się aniołem. Odpadają me anielskie skrzydła. Wstępuje we mnie sam diabeł, przez co, niczym sama diablica, drapieźnie powarkuję:

– Chcesz prawdziwego lizanka? – Chwytam mijającego mnie Wodza za ramię.

– Trzecie podejście?

– Tak!

– Litości, Święta. Idź, może pocałuj sobie krzyż, a na deser zjedz święty opłatek.

– Kiedy apetytu narobiłam sobie akurat na ciebie. – Z całych sił napieram na potężnego sportowca. Dociskam go do ściany, po czym agresywnie całuję go po szyi, brodzie, policzkach. Jednocześnie chwytam jego rękę i kieruję pod spódniczkę na mój pośladek. Drugą z męskich dłoni kładę na swojej piersi. Daję się obściskiwać, a sama przechodzę do drapieżnego pocałunku w usta, które zagryzam ząbkami.

Wtem zostaję poderwana do góry i usadzona na okiennym parapecie. Teraz to rozochocony Wódz przejmuje inicjatywę. Całuje mnie po łabędziej szyi, zsuwa ramiączka sukni i dosięga ustami obnażonych piersi. Pozwalam mu na to i z zamglonymi oczyma przyciągam do siebie za pośladki. Ściskam je rozczapierzonymi palcami i do męskiego ciała coraz mocniej się tulę.

– Och... tak, jeszcze – pojękuję.

– O tak... Teraz to rozumiem – dyszy Lucas.

Jego pełen pożądliwości głos mnie wreszcie otrzeźwia. Wyostrzam zmysły, szczególnie spojrzenie i widzę przed sobą półkole filmujących mnie sportowców. Ten widok już całkiem mnie studzi. Natychmiast podciągam dekolt sukni, skrywając swą nagość. Zeskakuję z parapetu i staję przy ścianie.

– Już nie udawaj, że znów taka jesteś nagle wstydliva. – Wódz po raz pierwszy patrzy na mnie z satysfakcją. Ja, przywrócona do rzeczywistości, na bezdechu z siebie wyduszam:

– Zrobiłam, co chciałeś.

– No niby tak... Ech.

– Wypuścisz... Mike'a?

Lucas zaplata potężne ramiona na swojej równie przerośniętej muskulaturą klatce piersiowej. Długo i powoli wypuszcza powietrze z płuc, po czym jękliwie stwierdza:

– Zobaczymy... Może i wypuszczę. – Moje kobiece krągłości obcina pożądliwym wzrokiem i łakomie dodaje: – Mogłabyś jednak zwiększyć szanse na uwolnienie swojego chłoptasia.

Wiesz... jak. – Wulgarnie drapie się po kroczu.

Tego jest już dla mnie zbyt wiele. Tym razem to ja biorę łuk koło Wodza i szybko zmierzam w kierunku wyjścia z męskiej toalety, miejsca mojego anielskiego upadku. Ponieważ nie zdziwię się, gdy teraz przyłgnie do mnie miano bezwstydnego diablity. Stanie się to zaś, kiedy tylko wrzucone zostaną do sieci moje erotyczne ekscesy.

Na szkolnym korytarzu wita mnie wyraźne poruszenie zgromadzonych tu studentów. Stąd wnioskuję, że być może już oglądali na swoich smartfonach transmisję na żywo ze mną w roli głównej. Zapewne właśnie tak, w czym utwierdzają mnie ich lekceważące wzmianki:

– Zrobiła to.

– Naprawdę zrobiła.

- I po aniołku...
- Puszczalska.
- Diablica.
- Dziwka.
- Jaka napalona na Lucasa.
- To teraz jego dziewczyna?
- Pasują do siebie razem.
- A co z Damonem?

Nie wiem, co z Damonem, ale w duchu modlę się, aby był cały i aby moje upokorzenie nie poszło na marne.

Z nisko pochyloną głową, z poczuciem winy i wstydu, docieram do damskiej toalety. Wchodzę do środka i stoję przed lustrem. Odkręcam wodę w kranie i nawet się nie orientuję, a zaczynam się natrętnie szorować. Każde miejsce, gdzie dotknął mnie Lucas, wydaje mi się obrzydliwie brudne, splamione. Te ohydne plamy z mojego ciała zdają się w ogóle nie schodzić. Co gorsza, jako zbrukana, odbieram także swą czystą dotąd duszę.

## XV. Tarot – Diabeł

Karta tarota Diabeł to spotkanie z naszym cieniem, konfrontacja z naszymi lękami i obsesjami. Karta ta może symbolizować toksyczny związek, który opiera się na uzależnieniu. Często mówi o tym, że strach blokuje nas przed podjęciem działań albo wytwarza w nas irracjonalne przekonania. Tak będzie dotąd, dopóki nie stawimy czoła naszym demonom.

\*

Od mojego upokorzenia w męskiej toalecie mija dzień. Jest to dla mnie czas pełen poczucia własnego wstydu i lęku o ukochaną osobę. O ponownym pójściu do szkoły nawet nie myślę. Ciągle nie włączam też telefonu. Zagrzebana w pościeli siedzę na łóżku i ze zgryzoty obgryzam paznokcie.

Czekam, aż przyjdzie do mnie uwolniony Mike. Oczekuję go z nadzieją, ale jeszcze większą obawą. Po tym co zrobiłam, mam problem z tym, aby spoglądać w lustro. Więc jak spojrzę w oczy ukochanego?

– Angelina, Angelina! Wpuścisz mnie wreszcie?! Nie wpuścisz? To świetnie! Będę tu, na twojej wycieracze, sobie nocować!

W końcu wygrzebuję się z mego legowiska. Nie mam już sił samotnie zadrećcać się myślami. Skoro więc pod drzwi napatoczył się ktoś, kto pozadrećca mnie do kompletu własnymi uwagami, to myślę sobie, czemu nie.

– Wyglądasz okropnie – zauważa bez wazeliny Liliana, gdy wpuszczam ją do domu. Następnie, zgodnie z moim przewidywaniem, Carterówna przybija mnie do krzyża kolejnymi gwoździami: – Mimo wszystko nie wyglądasz tak koszmarnie, jak wczoraj po wyjściu z męskiego kibla. Rety, filmik z tobą trafił do Internetu. Wszyscy to już widzieli i wszyscy to komentują. Nikt nie gada o niczym innym.

– Wiesz może, co z... Damonem? – Do wyjątkowo kiepsko pocieszającej mnie przyjaciółki zwracam się tak zamierającym głosem, jakby były to moje ostatnie słowa. W odpowiedzi słyszę:

– Mike jest już na wolności.

– Chyba sobie... żartujesz? – Szeroko otwieram przekrwione od płaczu oczy. Carterówna zaś, jakby nigdy nic, dodaje:

– Twój chłopak pojechał podobno do klubu.

– Nie... Nie przyjechał tu, do mnie? – Krwawiące serce przeszywa mi dławiący ból, a strapioną twarz wykrzywia paskudny grymas.

Na wieść o tym, że po moim poświęceniu Mike nie raczy mnie nawet odwiedzić, czuję się tragicznie. Odbieram siebie jak Jezusa na krzyżu, z którego ofiary drwią bluźniercy. Choć gdybym rzeczywiście była święta, pewnie w duchu pokory zwyczajnie pomodliłabym się teraz

za grzesznika Damona. Do żywego zraniona ulegam jednak diabelskim podszeptom, przez co sama odnajduję w sobie diabolicę. W rezultacie jadownicę posyknę:

- Zawieź mnie do klubu.
- Jesteś pewna, że tego... chcesz?
- Zawieź!
- No dobrze, już dobrze. Możemy jechać.

Pospiesznie wsiadam do Chevroleta. Ten zaraz rusza i jadę przez miasto na spotkanie z człowiekiem, którego w dobrej wierze zdradziłam i przez którego sama czuję się do głębi zdradzona.

Nie wiem, co powiem mu na miejscu, gdy go spotkam. Nie myślę o tym. Ale raczej nie będę zbyt miła. W miejsce niedawnej rozpaczki trawi mnie bowiem jakby piekielny ogień. Wypełnia mnie, wzmaga się we mnie i doprowadza niemal do wrzenia. Z tego powodu przed Płonącym Aniołem drzwi Chevroleta zatrzymuję za sobą wręcz z furią. Sprężystym krokiem wchodzę do lokalu i atakuję słownie stojącego przy barze Alexa:

- Gdzie on jest?! Gdzie ten... No gdzie on jest?!
- Brat Liliany wskazuje cygarem na piętro i pustym głosem oznajmia:
- Trzecie drzwi od lewej.

Jak anioł ciemności, bo chociaż ubrana na biało to z mroczną duszą, ruszam ku schodom. Za plecami zaś słyszę:

- Nie jest sam. Jest z dziwką.
- Kurwa... – Duszę w sobie, jak mogę, mordercze instynkty. Lecz moje dłonie i tak zaciskają się w pięści.

Skrajnie się poniżyłam dla mężczyzny, którego kocham. I słyszę, że jak mi się odwdzięcza? No, kurwa, jak? Gdyby po jego uwolnieniu przyszedł do mnie, zwymyślał mi, naubliżał, pewnie pokornie bym to zniosła. Ponieważ przede wszystkim cieszyłabym się z tego powodu, że wyjątkowy dla mnie człowiek został ocalony. Ale nie, on nie raczy nawet o mnie pomyśleć. Nawet teraz traktuje mnie jak rzecz. W dogodnym dla siebie momencie odrzuca w kąt i o mnie zapomina. Na moje miejsce znajduje sobie kurewkę, zapewne blond, jak jego Ann, i to na niej się wyżywa. Oj, nie będzie miał ze mną tak łatwo. Zobaczysz, że w słusznym gniewie również potrafię być demoniczna!

Na pierwszym piętrze podbiegam do sugerowanych mi przez Alexa drzwi. Uderzam w nie dłońmi i gwałtownie otwieram. Wpadam do pomieszczenia z przyciemnionym, czerwonym światłem. Widok na znajdującym się tu łóżku jest taki, jaki mi zapowiedziano. Niestety dokładnie też taki, jaki zdążyłam sobie już wyobrazić.

Rozebrany Mike siedzi na posłaniu oparty o barierkę wielkiego łóżka i beztrąsko pali sobie trawkę. Koło niego leży zmęczona seksem naga blondynka.

Kobieta zezuje na mnie, zlizując z ust nadmiar śliny. Zajmuje tu ona moje miejsce, przez co pierwszy atak furii kieruję właśnie na nią:

– Wypad stąd, ty wywłoko. Ale już! – Wskazuję otwarte drzwi. – Powiedziałam wynoś się, dziwko!

– Miki, widzimy się później. – Damon czyni leniwy gest dłonią, aby kochanka go opuściła. Ześlizguje się ona z łóżka i zbiera z podłogi swoje dziwkarskie ciuchy. Zanim opuści pomieszczenie, ja przenoszę nienawistne spojrzenie na mojego chłopaka.

Ma na twarzy fioletowe sińce i rozcięte usta, a na głowie przypalone włosy. Nie stanowi tajemnicy, że to rewanz ze strony Lucasa.

W innych okolicznościach swoim pokiereszowanym wyglądem wzbudzałby we mnie fale współczucia wielkie jak tsunami. Obecnie jednak najchętniej utopiłabym go w szklance whisky, która stoi tu na stoliku. Kiedy więc prostytutka wychodzi, wściekłość wyładowuję na sprawcy mojego wzburzenia:

– Co ty sobie wyobrażasz?! Czekałam, tęskniłam, wyłam z rozpacz. Zamartwiałam się niemal do obłądu. Ze strachu o ciebie prawie oszalałam. A ty, ty... Dlaczego nie przyjechałeś prosto do mnie? No czemu? Czemu mi coś takiego zrobiłeś?!

Mike nie udziela mi słownej odpowiedzi. Jedynie włącza smartfon i wyciąga go ku mnie. Pokazuje mi filmik z męskiej toalety, na którym prawie kocham się z Lucasem i wyglądam, jakby mi to sprawiało przyjemność. Zyskuję on tym tyle, że jeszcze wzmacnia wybuch mej furii. Przez to rzucam się na mężczyznę z pięściami i krzyczę:

– Przecież zrobiłam to dla ciebie! Z własnej woli nigdy bym się tak nie zeszmaciła! Zrobiłam to dla ciebie, dla ciebie, dla ciebie!

– Nie prosiłem cię o to! – Atakowany mężczyzna chwyta mnie za ramiona, po czym rzuca mną na przeciwległy kraniec łóżka.

Zgięta w pół patrzę na Damona z mieszaniną nienawiści i rozpacz. Już nie krzyczę, tylko ze łzawą nutą w głosie cedzę przez zęby:

– Zrobiłam to, bo Lucas mnie... zmusił. Zmusił mnie...

– A wiesz, że na filmie nie wygląda to tak, jakby cię, kurwa, zmuszał.

– Nieważne, jak wygląda, nieważne! – pokrzykuję ponownie, obecnie przez łzy. – Pomyśl, gdzie byś teraz był i co by się z tobą działo, gdyby nie ja?! – W geście bezradności, jak skrzydła, rozkładam ramiona. Mike patrzy na moją otwartą sylwetkę i powarkuje:

– Bez znaczenia, co by było ze mną. Aniołki nie robią takich, kurwa, rzeczy. – Oskarżycielsko wytykany jest ku mnie film z mego upokorzenia.

Spoglądam na ekran, gdzie jakby w ekstazie rozchyłam usta, gdy Wóz całuje mą nagą pierś. W rezultacie wzbiera we mnie kolejna fala gniewu i to, co najbardziej na sercu mi ciąży, wściekle wyrzaskuję:

– Przestań wreszcie pieprzyć, kurwa, o aniołkach! Tu chodzi o nas, rozumiesz? O nas! Twoja Ann, twój aniołek... Ona nie żyje. Nie żyje, umarła. Ja jestem Angelina i cię kocham. Naprawdę nie widzisz tego, że z miłości poszłam za tobą do piekła?! – Drżącą ręką pokazuję na wyświetlany film.

Mike z kolei, po wypowiedzeniu imienia jego byłej dziewczyny, patrzy na mnie już w inny sposób. Spogląda z odrazą, zupełnie jakby właśnie uzmysłowił sobie, że zawiodłam pokładane we mnie nadzieje i nie stanę się drugą Ann. Na samym patrzeniu jednak nie poprzestaje. Chwyta mnie boleśnie i nienawistnie chrypi:

– Pokażę ci, jaki los czeka aniołki, które tracą skrzydła i spadają prosto do piekła. Pokażę... – Mężczyzna bierze zamach dłonią, po czym na odlew uderza mnie w twarz.

Brutalnie spoliczkowana padam na łóżko jak martwa. Naprawdę czuję się, jakbym właśnie umierała, a ze mną moja, wydawałoby się dotąd, nieśmiertelna miłość.

Jak potępiona na wieki rzucona zostaję wprost do otchłani piekła i wiem, że już w nim pozostanę. Z tego koszmaru nie ma już bowiem wyjścia. Z prawdziwego piekła nie ma odwrotu.

Damon wychodzi z pokoju, trzaskając drzwiami. Ja, obolała, leżę na łóżku i płaczę. Kolejnymi łzami jakby gaszę resztkę mego płomiennego dotąd uczucia.

Woda i ogień – te żywioły w moim życiu ciągle okrutnie mnie doświadczają. Gdy akurat nie spalam się, mam wrażenie, że tonę. Tak jest i teraz w przeżywanym przeze mnie miłosnym zawodzie, moim miłosnym Armagedonie.

– To koniec, to już koniec... – pochlipując, powtarzam sobie. – To... koniec.

\*

Wieczorem idę samotnie przez Crestone. Przemierzam miasto, które z powodu tego, czego w nim doświadczam, zdążyłam już pokochać, jak i znienawidzić. Obecnie jednak odbieram w sobie przede wszystkim pustkę. Czuję się jak wypalona skorupa, czy dno wyschniętego jeziora. Taka też, kompletnie zrezygnowana, docieram do miejsca, w którym, mimo zaistniałych tu niegdyś zdarzeń, szukam dla siebie azylu.

Niemrawo otwieram skrzypliwe drzwiczki w białym płocie. Przechodzę przez spękany, betonowy chodnik, po czym kołaczę do drzwi domu państwa Nelson.

Oto powraca córka marnotrawna – myślę o sobie z lekceważeniem i drwiną. Nie mam też pojęcia, jak na moją osobę zareagują moi krewni. Lecz nie widzę dla siebie alternatywy i postanawiam się przekonać, jakie wrażenie zrobię, przybywając w pełni skruszona.

– Angelino... – Na mój widok Elizabeth uśmiecha się czule i składa dłonie, jak do modlitwy.

Ja uśmiecham się kwaśno. Po moich policzkach spływają perliste łzy.

– Moje kochanie, moje dziecko. No chodź do mnie. – Ciocia tuli mnie i mocno przyciska do siebie.



Nagle nie mogę powstrzymać spazmów i całkiem się rozklejam. Beczę głośno jak owca i zalewam staruszkę całym potokiem łez. Ona nie przestaje mnie pocieszać:

– Dobrze, już dobrze, moje dziecko. Nic nie musisz mówić. Wejdz do domu. Zjesz z nami wieczerzę, a potem wrócisz do swego pokoju. On ciągle na ciebie czeka...

W głębi korytarza zauważam poważnego Benjamina. Nawet on zdobywa się na lekki uśmiech i czyni skinięcie głową na znak, że jestem tu znów mile widziana, a moje winy zostają mi odpuszczone.

Zupełnie nie spodziewałam się aż tak ciepłego przyjęcia, na które na pewno nie zasłużyłam. Wielce budujące zachowanie moich krewnych sprawia, że jestem nie tylko wzruszona, ale i uskrzydłona. Już zaraz pomagam w nakrywaniu do stołu. Następnie przy nim zasiadam i, jak nigdy, sycę się słowami dziękczynnej modlitwy, która płynie z ust wuja:

– Pobłogosław Panie Boże nas, ten posiłek, tych, którzy go przygotowali i naucz nas dzielić się chlebem i radością ze wszystkimi. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

– Amen.

– Amen.

Podczas spożywanej w ciszy kolacji powoli powraca do mnie zarówno apetyt, jak i wola życia. Uświadamiam sobie, że choć bez Mike'a, to nie jestem na świecie sama. Oto mam koło siebie osoby, które naprawdę się o mnie troszczą. Przede wszystkim zaś mam Boga, który mnie zawsze bezinteresownie kocha i wybaczy mi nawet bluźnierczy związek z samym diabłem.

Z takim wsparciem nie mogę się załamać. Modlitwa sprawiła, że swego czasu przeszłam odważnie przez traumę po śmierci rodziców i brata. Teraz także w modlitwie zamierzam znaleźć dla siebie największą ochronę i z jej pomocą pokonam wewnętrzne demony. Tak mi dopomóż Panie Boże.

## XVI. Tarot – Rydwan

Karta tarota Rydwan to przyspieszenie biegu spraw, początek nowego etapu, zmiana kierunku życiowej drogi. Karta ta mówi o podejmowaniu inicjatyw i samodzielnym działaniu. Pokazuje, by odważnie walczyć o siebie i swój cel.

\*

W domu państwa Nelson powoli dochodzę do siebie. Od szkoły biorę sobie wolne i szczerze rozważam przeniesienie się do innej placówki edukacyjnej w innym mieście. Po tym co się wydarzyło, nie za bardzo bowiem wyobrażam sobie mijanie na szkolnym korytarzu Mike'a czy Lucasa. Na pewno brakowałyby mi Liliany. Ale nie takie straty w życiu już przebolełam. Zresztą obecnie i tak nie odbieram telefonów od Carterówny, bo mój telefon jest niezmiennie wyłączony.

Z ostateczną decyzją, co do zmiany miejsca nauki, jednak się jeszcze wstrzymuję. Lekarzowi przedstawiam dokumentację medyczną od mojego psychiatry w Teksasie, powołuję się na załamanie nerwowe i otrzymuję bezterminowe zwolnienie ze szkoły. Lecz ona sama dość szybko się o mnie upomina, chociaż nie bezpośrednio:

– Angelino! – Z parteru dochodzi mnie zawołanie Elizabeth. Uchylam drzwi swojego pokoju i odkrzykuję:

- Co tam, ciociu? Pomóc ci w czymś?!
- Jakiś chłopak puka do drzwi. To pewnie do ciebie!
- Zaraz... Zaraz zejść!

Mój anielski spokój zostaje zakłócony. Porywam się do okna i w te pędy patrzę, kto taki stoi na ganku. Z trudem przetykam ślinę, widząc, że to nie kto inny jak... Lucas.

Zachodzę w głowę, czego może ode mnie jeszcze chcieć mój dręczyciel? Pomna jednak tego, że mam teraz tarczę w postaci silnej wiary, nie zamierzam ulec strachowi. Mimo zdenerwowania postanawiam stawić czoła swym lękom. Zbiegam więc po schodkach na parter i udaję się na konfrontację z Wodzem.

– Cześć, Święta. – Potężny mężczyzna ubrany w sportowe ciuchy uśmiecha się do mnie drwiąco. Wskazuje mu dyskretną przestrzeń koło płotu. Idziemy tam, a wtedy posykuje:

– Czemu mnie nachodzisz? Czego niby jeszcze ode mnie chcesz?

– Tego, co zawsze... – Lucas wodzi wzrokiem pomiędzy moim biustem, a krocem. Ja ostro reaguję:

– Przestań. Dostałeś już to, na co się umówiliśmy. Na nic więcej nie masz szans. Nie masz co się więcej pojawiać pod moim domem.

– Ty nie pojawiaasz się w szkole...

– No i?

– Mike też się tam już nie pojawia.

– Mike... – powtarzam bezwiednie to imię, które wywołuje u mnie bardzo mieszane uczucia. Wódz z kolei swobodnie mówi dalej:

– Nie bierz tak bardzo do siebie tego, co wydarzyło się w kiblu. Takie już mam zasady, że muszę... przytulić każdą pierwszoklasistkę, na którą mam ochotę. Gdybyś na początku odnalazła się w sytuacji, to wszystko odbyłoby się dużo łagodniej. A że się stawiałaś, to wyszło, jak wyszło. Trochę cię przytemperowałem, jako przestrogę dla innych, niepokornych dziewczynek.

– I co? Może mam cię jeszcze przeprosić? – rzucam wyzywająco.

– Nie musisz przeproszać. Ale możesz już wrócić do szkoły.

– Nie uważasz, że trochę zniszczyłeś mi w niej życie?

– Ty nie sądzisz, że mogę ci je tam naprawić? – Mężczyzna uśmiecha się władczo i swoje intencje wreszcie precyzuje: – Daj mi to, czego jeszcze od ciebie potrzebuję, a nikt w szkole na ciebie nawet krzywo nie spojrzy. Bo widzisz, Damonowi tak nastukałem, że podkulił ogon i uciekł z miasta. Teraz znowu ja rządę na szkolnych korytarzach i mogę cię tam chronić.

– Więc co dokładnie mam ci dać?

– Daj mi swoje podpisane majtki, Święta.

– He...? Czy ty już kompletnie oszalałeś?! – wybucham zbulwersowana propozycją. Lucas zaś, jakby nigdy nic, wyjaśnia:

– Twoje podpisane majtki to będzie moje trofeum. Dowód, że cię zaliczyłem. Chociaż cię... nie zaliczę. W ogóle cię już nie tknę. Za to kumplom będę mógł się pochwalić, że niby cię bzyknałem. Czyli i wilk będzie syty i owca cała. To będzie nasza mała, słodka tajemnica, która przyniesie nam same korzyści. – Mężczyzna podaje mi czerwony pisak i wymownie patrzy na mój tyłek. – Daj mi swoje podpisane majtki, Święta, i spokojnie wracaj się uczyć. To moja oferta dla ciebie – podsumowuje.

Nie rozumiem, czemu jeszcze nie spoliczkowałam bezczelnego typa przede mną. Ale zaraz to do mnie dociera. Jego oferta, choć wulgarna i nieprzyzwoita, jest dla mnie podwójnie atrakcyjna. Domyślam się, że pod parasolem ochronnym Wodza, jak niegdyś Damona, rzeczywiście będę mogła wrócić do szkoły z podniesioną głową. Co więcej, w pewien sposób odpłacę mojemu byłemu chłopakowi pięknym za nadobne. On bowiem mnie zdradził. Więc gdziekolwiek obecnie przebywa, niech ma przynajmniej szansę usłyszeć, że nie wypłakuję już za nim łez, a dobrze bawię się z kim innym.

Co postanawiam, niniejszym czynię. Rozglądam się po wyludnionej okolicy. Kiedy upewniam się, że nikt postronny mnie nie obserwuje, kucam i ściągam z siebie majtki. Następnie biorę od wodza mazak i białą bieliznę podpisuję czerwonym napisem.

– Oto właśnie chodziło. – Usatysfakcjonowany sportowiec bierze ode mnie skrawek materiału oznaczony moim imieniem i nazwiskiem, po czym zaciąga się jego zapachem. – Wybornie – kwituję niczym jakiś bieliźniany fetyszysta. Ja natomiast się upewniam:

– Czyli teraz jest między nami nowe rozdanie. Mamy czystą kartę, tak?

– Zgadza się. Właśnie wypaliliśmy fajkę pokoju. Teraz wszyscy będziemy żyli w harmonii i zgodzie. Jako wódz gwarantuję ci to, mojej potulnej squaw.

– To świetnie, zatem żegnam. I więcej się tu nie pokazuj. – Ostentacyjnie kręcąc zadkiem i z zadartym podbródkiem, dumnie powracam do domu, gdzie zmuszona jestem uzupełnić uszczuploną na sobie garderobę.

\*

Dzień po zawarciu ugody z Lucasem pojawia się w szkole. Zgodnie z zapowiedzią Wódza żaden ze studentów ze mnie nie szydzi. Nikt nawet nie wspomina o wydarzeniu w męskiej toalecie. Sprawia to, że oddycham z niewymowną ulgą i z nadzieją patrzę na moją dalszą edukację w college'u, do którego uczęszczam.

W duchu chrześcijańskiej miłości, ale też czując się nieco zobowiązana, wybaczam dawne krzywdy mojemu oprawcy, Lucasowi. Kiedy zaś mijamy się na korytarzu i napotykamy wzrokiem, nie mam nawet oporów, aby się oszczędnie uśmiechnąć. Nie uchodzi to uwadze Liliany:

– Chcesz powiedzieć, że ty i... Lucas?

– Niby co? – udaję zdziwienie.

– Odbijesz go dla siebie, rzuci Sandrę?

– Nie, aż tak to nie – kwituję obojętnie.

– Czyli tylko podpisałaś mu swoje majtki. Zgadłam?

– Cóż... – Wzruszam ramionami.

– Nie przejmuj się. – Carterówna klepie mnie po tyłku. – Dobrze zrobiłaś, że po zniknięciu Mike'a dałaś się bzyknąć Wódzowi. Zresztą wszyscy się domyślili, jak nasz Wódz zakazał się z ciebie śmiać.

– Było, minęło. Chodźmy na matkę – ucinam dyskusję, bo nie zamierzam przyjaciółce wyjawiać prawdy, którą znamy tylko ja i Lucas. Obecnie najważniejsze jest dla mnie to, że w spokoju ducha znów mogę się uczyć.

\*

Wstaje nowy dzień, a potem kolejny i jeszcze jeden. W końcu upływa ich naprawdę wiele. By w bogatszy sposób wypełnić postępujące po sobie dni, a nie tylko się uczyć, modlić, czy rozpamiętywać przeszłość, podejmuję nową inicjatywę.

Dość oczywisty dla mnie wybór pada na pomoc charytatywną w miejscowym domu starców. Pojawiam się w nim wieczorami trzy razy w tygodniu, a czasem nawet częściej, jeśli mam ochotę, co wydarza się dość regularnie.

Bierze się to stąd, że odnajduję ukojenie i spokój w tym, że nie gonię już za własnym, ulotnym szczęściem w męskich ramionach, a niosę pociechę staruszkom, którzy są naprawdę potrzebujący, bo nieraz bardziej samotni niż ja. To wiekowi dziadkowie i rodzice, dla których ich własne dzieci nie mają już czasu i cierpliwości. W pewien sposób próbuję więc ich zastępować i rzeczywiście często jestem traktowana przez poczciwych staruszków, jak ich wnuczka czy córka:

- Któż to do nas znów zmierza?
- Kto do nas zawitał?
- Pani Angelina?
- Angelinko, chodź do nas, kochanie.
- Oto i nasz jasny promyczek!
- Nasz aniołek!

– Dzień dobry panie Smith. Serdecznie witam panie Johnson. Kłaniam się pani Williams. Szacowna pani Brown. – W sali rekreacyjnej, niczym na tanecznym parkiecie, zręcznie pląsam pomiędzy zajętymi przez seniorów wózkami inwalidzkimi i krzesłami. Z każdym ze znanych mi już staruszków, w zależności od stopnia zażyłości, witam się uprzejmie, czule, bądź wręcz wylewnie, co przykładowo ma miejsce przy ostatniej osobie: – Jacobie. Wspaniale cię znów widzieć. Wyglądasz doskonale, aż kwitniesz! – W przyklęku tulę do siebie wiekowego starca, który samotnie zasiada na bujanym fotelu i zwrócony jest przodem do szerokiego okna. Chwytam w dłonie żylaste ręce, mocno ściskam i przytrzymuję, aby choć na chwilę przestały drżeć. Na moment luzuję uścisk, by poprawić ciepły koc na męskich nogach. Przy okazji nie omieszkam ucałować pokrytego siwizną policzka.

- Jak tam... w szkole? – pyta zamierającym głosem Jacob.
- Bardzo dobrze, dziękuję.
- A w... kościele?
- Jeszcze lepiej!
- O czym... było kazanie?
- Ksiądz przypominał parafianom, aby kochać swoich bliźnich. Kochać całym swoim sercem, jak Pan Bóg przykazał.
- Pan Bóg... – Staruszek niemrawo kiwa głową. – A wiesz, że Pan Bóg...
- Tak?
- Wysłuchał mnie, mych modlitw – stwierdza zagadkowo Jacob.
- Jakich to modlitw? – wyrażam szczerą ciekawość.

– Nasz Pan sprawił, że odwiedził mnie...

– Któż taki?

– Mój... syn, Liam. Dasz wiarę?

– To niesamowite! – Autentycznie jest to dla mnie zaskoczeniem, ponieważ pocziwego Jacoba jego wyrodny syn nie odwiedzał już ponoć od przeszło dziesięciu lat. Zachodzę więc w głowę, skąd ta nagła przemiana i zaraz już wiem:

– Mam nadzieję, że mi to wybaczysz, kochaniutka.

– Co takiego? – pytam zbita z tropu.

– Twoje zdjęcie...

– Co z nim?

– Wysłałem... je. Pokazałem mojemu synowi, kto taki teraz się mną opiekuje. I stał się cud. Syn się... pojawił.

– No ładny mi... cud nasz Pan sprawił, nie powiem. – Uśmiechając się szeroko, kiwam karcąco wskazującym palcem. W odpowiedzi staruszek puszcza do mnie, otoczone wianuszkami zmarszczek, oko.

– A oto i on, mój Liam we własnej osobie – wzdycha.

Wstaję z klęczek. Robię piruet na pięcie i nadziewam się na przystojniaka gdzieś po trzydziestce. Jest szczupłym brunetem, wysokim i ubranym w jasny, markowy garnitur, a w rękę trzyma olbrzymi bukiet wielobarwnych kwiatów.

– To... dla pani. W podziękowaniu za wspaniałą opiekę nad moim ojcem. – Wręcza mi kwiecisty upominek. Kładę go na kolanach seniora i koryguję:

– To dla pana Jacoba od jego syna, jako przeprosiny za tak długi brak stosownych odwiedzin.

– Tak... no tak, oczywiście. – Wyraźnie zmieszany brunecik łypie rozbieranym wzrokiem na mnie, swego rodziciela, to kwiaty. Z kolei Jacob, ni z gruszki ni z pietruszki, wypala:

– Liam jest rozwodnikiem. Ale ma rozwód kościelny. No i nie ma dzieci. Przez to ja... nie mam wnuków, a chciałbym... mieć, wiadomo.

Teraz to ja jestem zmieszana, bo całkiem przejrzałam już fortel sprytnego staruszka, który na dodatek nie traci czasu.

On mnie normalnie ze swoim synalkiem swata!

W sumie to nie wiem, czy powinno mnie to dziwić. Niemniej, mający pewne problemy z pamięcią Jacob już idzie za ciosem, przystrajając swą męską pociechę w pawie piórka:

– Liam jest potentatem naftowym.

– Maklerem giełdowym – poprawia brunet.

– Liam jest milionerem.

– No... prawie, jeszcze nie do końca.

– Liam ma wspaniałą posiadłość na Florydzie.

– Jak dotąd jedynie apartament w Nowym Yorku na Manhattanie. – Przybysz niefrasobliwie drapie się po głowie.

– Liam ma ekskluzywny jacht.

– Czasem, dla relaksu, wynajmuję kuter rybacki. Lubię sobie połowić. – Coraz bardziej zdeprymowany brunet obecnie patrzy na mnie z miną zbitego psa. Z jego słów bowiem wynika, że nie jest biedakiem. Ale gdzie mu tam do podrasowanej wersji krezusa Liama z opowieści Jacoba!

Osobiście wraz z trwaniem wymiany zdań dwóch panów jestem najpierw zdezorientowana, a potem już tylko coraz bardziej rozbawiona. Ostatecznie obu dyskutantów oceniam jednak pozytywnie.

Oto syn nie kreuje się na nie wiadomo kogo i nie pozuje na kogoś, kim nie jest. Podoba mi się jego szczerłość, skromność i opanowanie.

Z kolei ojciec chce oczywiście jak najlepiej dla syna. Dlatego nawet jeżeli momentami świadomie trochę koloryzuje, od razu mu to wybaczam.

W rezultacie, kiedy Jacob oświadcza wprost, abyśmy my, młodzi, nie zajmowali się nim, starym, a poszli razem na spacer, nie odmawiam. Wiem, że właśnie w ten sposób sprawię największą przyjemność staruszkowi. Jego męska pociecha także będzie rada. A i ja nawet chętnie utnę sobie niezobowiązującą pogawędkę z kimś, kto nie należy do mojego świata i dotychczasowego kręgu znajomych.

\*

Po rozstaniu z Damonem sama jakoś nie garnę się do nawiązywania nowych, bliższych znajomości z mężczyznami. Za to co pewien czas, jak z Liamem, podejmowane są próby wyswatania mojej osoby.

Wśród moich znajomych, którzy biorą na siebie takie wyzwanie, znajduje się natenczas także mój wuj Benjamin. Zdał już sobie sprawę, że do klasztoru mnie raczej nie wyśle, bo aby pójść w tym kierunku całkiem przestałam przejawiać ochotę. W takim układzie pan Nelson sumiennie stara się znaleźć mi dobrą partię.

W tym celu, choć pod pozorem krótkich wakacji od miastowego życia, na weekend wysyła mnie do swojego bliskiego znajomego, Pana Millera, który ma ranczo niedaleko od Crestone. A jak zasłyszałam od żony Benjamin, ma także młodego i niezamężnego syna imieniem Leo. Dziedzica ojcowskiego majątku.

– Upiekłam czekoladowe bułeczki z migdałowym nadzieniem. – Na dworcu autobusowym poczciwa Elizabeth wręcza mi koszyk z łakociami. – Będziesz miała co jeść, jakbyś zgłodniała podczas drogi.

– Ależ... ciociu. To raptem kilkadziesiąt mil. – Biorę od kobiety sporo ważący upominek, którego spożywcze zasoby wystarczyłyby mi chyba na objazd całych Stanów Zjednoczonych.

– Domyślam się, że nie zdołasz zjeść wszystkiego, co przygotowałam. Wiem, że dbasz o linię, kochaniutka. Ale nie przejmuj się. Pan Miller jest wielkim amatorem moich czekoladowych bułeczek. Już on się nimi zaopiekuje, zaufaj mi...

– W takim razie bardzo dziękuję, także w imieniu pana Millera. Mieć taką ciocię, czy znajomą, to prawdziwy skarb. – Na pożegnanie serdecznie całuję Elizabeth w oba policzki.

– Tylko nie zapomnij pozdrowić od nas Millerów. Każdego, którego spotkasz – wtrąca wuj i na do widzenia jedynie powściągliwie kiwa mi głową.

– Nie zapomnę! – odkrzykuję radośnie, bo nawet nieco podekscytowana podróżą, i wsiadam do autobusu, gdzie znajduję sobie wygodne miejsce przy oknie. Mój środek lokomocji rusza, a ja macham ręką do wyglądających za mną państwem Nelson.

Niebawem jestem już za miastem i w kierunku na wschód podziwiam kalifornijskie pustkowia. Otwarta przestrzeń upstrzona jest rdzawymi pagórkami. Z wysuszonej ziemi wyrastają najprzeróżniejsze kaktusy. Są niezmiennie zielone za to nieraz zaskakują intrygującym kształtem. Jak ubodzy krewni towarzyszą im smukłe drzewka ze skąpym listowiem. Na bezchmurnym niebie zaś kołują drapieżne ptaki, które wypatrują gdzieś w dole swojej zdobyczy.

Zastanawiam się przez chwilę, czy sama mogłabym okazać się zdobyczą młodego Millera, który ma mnie oczekiwać na przystanku. Z góry nie przekreślam takiego scenariusza. Choć w odniesieniu do polowania postrzegam się raczej jako zwinnego, nieuchwytnego króliczka. Takiego, który bez większego trudu umknie przed szponami nawet najbardziej cwane drapieżnika.

– Angelina? Angelina Evans?

– To ja, we własnej osobie. – Po wyjściu z autobusu z imienia i nazwiska woła mnie młody mężczyzna. Co jest dla mnie nawet zabawne, z wyglądu rzeczywiście przypomina on nieco drapieżnego ptaka. Ma bowiem charakterystyczny, orli nos. Poza tym ubrany jest na kowbojską modę, bo w jasne, skórzane ciuchy z frędzlami i kapelusz z szerokim rondem na głowie. Do tego namiętnie żuje w ustach długie źdźbło trawy.

Czy jest przystojny? Sama nie wiem i staram się tego nie oceniać. Za to na pewno jest dobrze wychowany, ponieważ zaraz uprzejmie proponuje:

– Poniosę to. – Bierze ode mnie koszyk z łakociami. – Tak poza tym, to nazywam się Leo. – Podaje mi rękę.

– Jak już wiesz... jestem Angelina. – Uśmiecham się.

– Tak, wiem, jak się nazywasz. Ale nie wiedziałem, że jesteś aż tak... tak.

Prawie sama dokańczam męskie zdanie, które niewątpliwie miało być zwieńczone słowem „piękna”. Lecz taktownie nie mówię nic. Za to tamuję na ustach poszerzający mi się uśmiech.



Bierze się on stąd, że Leo jest chyba trochę nieśmiały. Żdziebko zagalopował się i nie udało mu się na wstępie obdarzyć mnie komplementem. Szybko jednak nadrabia w moich oczach i to z nawiązką:

– Ten... tego. Jesteś już gotowa wyruszyć na ranczo? – Wskazuje ręką skubiącego podsuszoną trawę karego rumaka.

– Chcesz powiedzieć, że... nie przyjechałeś po mnie samochodem?

– No nie. Konno jestem. – Mężczyzna poprawia kapelusz na głowie.

– I... konno mnie zawieziesz?

– No pewnie, wskakuj. – Leo idzie po rumaka. Podprowadza go do mnie i już jestem jego. Rumaka, nie Leo. – Ostrożnie – przestrzega mnie przed ogierem młody Miller. – Obcych potrafi czasem uszczypnąć zębami albo dać kopniaka. Dlatego nazywa się Diabeł.

Nic sobie z otrzymanych przestróg nie robię. Trzymam Diabła za uzdę, gładzę go dłonią po pysku i się do niego szczerzę. Aż nie mogę się powstrzymać i rzucam do właściciela karego Diabełka:

– Zanim pojedziemy na ranczo, bądź tak dobry i daj mi samej zrobić tu małą, diabelską rundkę.

– Jesteś pewna? Umiesz jeździć konno?

– No jasne. Wychowałam się na farmie w Teksasie!

– Sam nie wiem. – Nieco zafrasowany mężczyzna drapie się po karku. – Jak fikniesz z Diabła, to ojciec sam mnie wyśle do wszystkich diabłów.

– Nie spadnę. Będę się mocno trzymać, obiecuję.

– Hm...

– Zgódź się, Leo, proszę. Wiem, że możesz spełnić dla mnie tą prośbę. Będę taka zobowiązana. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. – Zalotnie trzepoczę rzęsami, by postawić na swoim.

– A pójdziesz ze mną na tańce?

– Kiedy ja nie umiem tańczyć. – Bezradnie rozkładam ramiona.

– Może spróbujesz?

– Może wymyślisz coś innego?

– Spacer nad rzeką o zachodzie słońca?

– Spacer. No pewnie, uwielbiam spacerować! – Moje ramiona zostają radośnie wyrzucone do góry.

– Dobra, to dam ci samej dosiąść Diabła. Ale mojemu ojcu o tym ani mru-mru. Żadnej szatańskiej jazdy i zaraz do mnie wracaj.

– Jupi! – Zostaję podsadzona na konia i z niemrawego stępa od razu przechodzę w żywiołowy galop.

– Ostrożnie! Nie tak szybko! – panikuje Leo. Ja niczym się już nie przejmuję, tylko daję się porwać szaleńczej jeździe, cwałując.

Z wielką szybkością na końskim grzbiecie beztriosko przemierzam teren przypominający mi teksańską prerię.

Znów czuję się jak za dawnych lat w domu, gdzie się wychowałam. Ponownie jestem dorastającą Angeliną, która z bratem ścigała się konno, kto pierwszy dotrze do zagrody dla krów.

Odbieram niewysłowioną wolność, orzeźwienie, niezmaconą radość. Szeroko uśmiecham się do jaśniejszego słońca, czując się jak jego kochanka i pozostawiając wszystkie troski za sobą.

Jakiś czas potem, gdy już kłusem jadę na ranczo z Leo, także jest mi przyjemnie, ale inaczej, w bardziej stonowany sposób.

Oto znowu ktoś przy mnie jest. Ale nie jest to ktoś, kogo mogłabym czuć się kochanką. Nie sądzę też, aby podczas tego weekendu jakiś kowboj zdołał zawrócić mi w głowie i znaleźć klucz do mego serca. Ten klucz, mimo że poszczerbiony, ma bowiem ciągle tylko jedna osoba...

Z końskiego grzbietu spoglądam hen na południe w kierunku Los Angeles, gdzie ponoć przebywa teraz Damon. Lecz przecież wiem, że próżno mogę wyglądać stamtąd powrotu mej dawnej miłości. Przy każdej okazji próbuję wmawiać sobie, że jej iskra na dobre już zgasła. Z kolei na rozpalenie nowego uczucia się nie zanoszą.

## XVII. Tarot – Gwiazda

Karta tarota Gwiazda wiąże się z nadzieją, mówi o zakończeniu cierpienia i uzdrowieniu. Nawet jeśli w ostatnim okresie doświadczyliśmy wiele zła, zbliża się chwila, w której znowu będziemy mogli uwierzyć w to, że niebo nam sprzyja.

\*

– Uparł się na seks. No uparł się jak osioł, do tego niewyżyty osioł. Ciągłe tylko gadał: no daj mi, no daj, daj. Już szalu z nim dostawałam!

– Dałaś? – pytam podczas rozmowy telefonicznej, którą prowadzę z mojego pokoju. Liliana zaś obojętnie odpowiada:

– No a co miałam zrobić? Jakbym nie dała, to by się ze mną już nie umówił.

– I jak było?

– Jak? A jak mogło być z osłem? Do niczego! – rechoce Carterówna. Ja też się śmieję, a zaraz słyszę: – Jak u ciebie, miałaś ostatnio jakieś pikantne przygody?

– Nie... Nie mam już do tego głowy ani... serca.

– Rety... Toż ci ciągle tłumaczę, że do tego wystarczy to, co obie mamy między nogami. Tu nie trzeba ani serca ani głowy!

Liliana znów mnie rozśmiesza.

Ostatnio na szkolnych korytarzach nasze drogi się trochę rozeszły, ale dla żadnej z nas nie jest to problemem. Gdy mamy ochotę sobie pomarudzić czy poplotkować, jak w bieżącej chwili, nadrabiamy telefonami:

– To prawda, że Sophia umawia się teraz z Jacksonem, naszym tancerzem? – zagajam.

– No tak! Dasz wiarę?! – pokrzykuje wzburzona rudaska. – Nie mam pojęcia, co on w niej widzi. Bo wiesz, namawiałam go, aby spróbował umówić się z tobą!

– Może nie próbuje się ze mną umówić, bo widzi w Sophii kogoś, kto nie jest upadłym aniołkiem, była dziewczyną Mike’a...

– Daj spokój, znowu zaczynasz? Ludzie już zapomnieli o Damonie. Ile czasu go nie ma w Crestone?

– Sześć miesięcy i sześć dni – wypalam.

– Liczysz te cholerne dni, czy jak?! – dziwi się Liliana.

– Tak... jakoś – pomrukuję.

– Jak liczysz, to przestań. Powiedz lepiej, jak tam Lucas?

– Ostatnio często się do mnie uśmiecha. Uśmiecha się za często i za szeroko...

– Ciekawe, czyli może jednak wyeksmitujesz Sandrę z wigwamu Wodza?

– Raczej nie...

– Czemu? – pyta wyraźnie rozczarowana dziewczyna.

– Nie jestem zainteresowana.

– Ojej... no szkoda.

– Żadna strata.

– Właśnie że tak! No pomyśl tylko. Miałybyśmy darmowe wejściówki na mecze drużyny futbolowej. Może nawet wyjazdy autokarem na meczyki do innych miast. No i dostałybyśmy koszulki, sportowe stroje. Ciuchów w dziewczęcych szafach nigdy za wiele!

– Jakbym się umawiała z Lucasem, to chyba sama bym zgarniała te wszystkie profity. Skąd niby również ty?

– Jako twoja najlepsza przyjaciółka, rzecz jasna! – krzyczy radośnie Liliana, jakby właśnie wlatywała w przestrzeń, a jakby opadając, markotnie dodaje: – Pech, że jednak ciągle nie jesteś z Damonem. Bycie podwieszonymi pod gangsterkę to mimo wszystko najlepszy układ i największe możliwości...

– Łączę się z tobą w bólu, że już nie kelnerujesz Pod Płonącym Aniołem.

– Wielkie dzięki za twój ból. Na pewno się przyda. A z twojego związku z Wodzem wycisnęłabym pewnie najwyżej tyle, że mogłabym na meczach sprzedawać hot dogi...

Słyszę, że w głos Liliany wkrada się coraz więcej pretensji i to skierowanej do mnie. Poniekąd ją rozumiem, bo ta dziewczyna także straciła na moim rozstaniu z przywódcą gangu. Niestety nie widzę na horyzoncie większych szans, aby jej te straty, nawet w mniejszym zakresie, powetować. Z Lucasem bowiem na pewno się nie zwiążę. Zresztą do bliższych relacji z innymi chłopakami też się nie palę.

– Kończę rozmowę – burczy już wręcz obrażonym głosem Carterówna. – Słyszę klakson za oknem. To pewnie mój osioł, to jest Caden. Na mnie już czas. Pojadę sobie na randkę...

– Ja zostanę w domu, pouczę się.

– Rewelacja, normalnie zazdrozczę.

– Pomodłę się też za... twoją udaną randkę.

– Będziesz tak łaskawa?

– Masz to jak amen w pacierzu.

– Dobra, to udanej niedzieli, Angelina.

– Pa...

Po rozmowie telefonicznej przeciągam się na łóżku. Nie schodzę z niego, a jedynie zasiadam wygodniej z plecami opartymi o ścianę.

Bez przekonania patrzę na rozłożone na pościeli książki. Jedna jest do biologii, druga do chemii, a trzecia to... Romeo i Julia.

Sama nie rozumiem, czemu to sobie robię i wciąż rozdrapuję stare, miłosne rany. Gdy czuję się najbardziej samotna, wspominam korepetycje z Damonem, to wczytuję się po raz wtóry w dramat Szekspira, poświęcony tragicznej miłości dwojga kochanków.

Zaiste moje życie uczuciowe to dramat – myślę sobie zrezygnowana i zamykam oczy. Mimo że tego nie chcę, znów myślę o jedynej miłości mego życia.

Zastanawiam się, co by było, gdybym znowu zobaczyła Mike'a? Jak bym się zachowała i co powiedziała, gdyby, dajmy na to, Damon stanął teraz w progu mego pokoju?

Z wolna podnoszę powieki i rozmarzona spoglądam melancholijnie właśnie w kierunku drzwi. Widzę je otwarte, a koło nich postawnego bruneta w czarnych skórach z naniesionymi na nie pentagramami.

Oniemiała z wrażenia rozwieram szeroko usta, jeszcze szerzej otwieram oczy. Jestem przekonana, że to sen. Tak, niewątpliwie śnię. Ale ze wstydem uświadamiam sobie, że jest to dla mnie najpiękniejszy z możliwych snów. Taki, który wyciska mi z oczu łzy i czyni szczęśliwą. Ponadto taki, który coraz wyraźniej jawi się, jako nie do pojęcia rzeczywistość.

– Jak tu... wszedłeś? – wyduszam z siebie głosem wiotkim jak źdźbło trawy. Za plecami Mike'a zauważam machającego ręką, i szczerzącego się, specja od włamań, Huntera.

– Spadaj już, złomiarzu – gasi go Damon. Następnie podchodzi do łóżka. Zasiada koło mnie i rzuca przed nas bukiet białych róż.

Dłuższy czas siedzimy w ciszy, spoglądając na różane pąki.

Myślę, że jesteśmy na łóżku niczym para rozbitków na tratwie. Niegdyś żeglowaliśmy wspólnie wspaniałym okrętem, ale ten poszedł na dno i rozłączył nas cały ocean przeciwności. Lecz oto prąd morski znowu nas przywiódł ku sobie. Czyżby po to, abyśmy dali sobie jeszcze jedną szansę i ponownie spróbowali być razem?

Wreszcie postanawiam przerwać kłopotliwą dla mnie ciszę na posłaniu, czy tam na tratwie. Spoglądam z ukosa na Mike'a i łamiącym głosem zapytuję:

– Wróciłeś do... Crestone?

Mężczyzna odwzajemnia spojrzenie i reżolutnie mówi:

– Wróciłem do ciebie, aniołku.

– Cholernie mi tego... brakowało.

– Czego?

– Tego... jak mówisz do mnie... aniołku. Zresztą nie tylko tego. – Do głębi wzruszona pragnę wymazać z pamięci krzywdy, jakich doznałam od ukochanego. Nie chcę o nich pamiętać, jakby się nigdy nie wydarzyły. Z całą siłą uświadamiam sobie, że jedyne, o czym szczerze marzę, to na powrót być aniołkiem mego kochanego demona.

Smakuję męskich ust. Roznamiętniam się w tym pocałunku i z każdą chwilą jego trwania na powrót wznieca się moje płomienne uczucie do Mike'a. Choć właśnie zdaję sobie sprawę, że ono

nigdy nie zgasło. To ten rodzaj ognia, którego nic nie może ugasić. To miłość, która, wbrew wszelkim przeciwnościom losu, musi trwać. Jak mogłam w to kiedykolwiek wątpić?

– Chciałem cię przeprosić – kaja się, co jest do niego zupełnie niepodobne, Damon. Gładzę go czule po twarzy, muskam ją wargami i szepczę:

– Wszystko... wybaczam. Nie potrafię inaczej. I sama przepraszam...

– Czyżbyś podczas mojej nieobecności coś przeszkrobała? – Mike patrzy na mnie z tym swoim kąśliwym uśmieszkiem. Ja ostrzegawczo mówię:

– Nie wierz w plotki, gdybyś jakieś usłyszała. O mnie i Lucasic czy kimkolwiek innym. Poza tobą nie byłam w stanie się do nikogo zbliżyć. A nawet więcej, bo bliskości z nikim innym wcale nie szukałam. – Robię pauzę i sama nieco podejrzliwie podpytuję: – A ty byłeś beze mnie grzeczny?

– Niby ja? – Damon udaje zdziwienie.

– Tak, ty. – Wytykam go palcem.

– Kiedy mi grzeczność... nie przystoi.

– A to czemu?

– Bo jestem Demonem.

W moich łagodnych dotąd oczach pojawia się ogień. Mike widać właśnie tylko na to czekał, bo dopiero wtedy swoją odpowiedź koryguje:

– Żartowałem, przecież żartowałem.

– To żart, na pewno?!

– Zdecydowanie. Nigdy cię nie okłamałem. I nigdy cię nie okłamię, aniołku.

– Chcę nim być, Mike. Wierz mi, że niczego więcej nie pragnę, jak znowu nim dla ciebie i dla siebie... być. I już nim pozostać, aniołkiem.

Kolejny raz bez pamięci zanurzam się w pocałunku z mężczyzną, ciągle nie do końca mogąc uwierzyć, że go odzyskuję. Łapię się na tym, że nie tylko go obcałowuję, ale też kurczowo trzymam przy sobie, zupełnie jak w strachu, że ponownie mogłabym go utracić. Już wiem, że nie mogę, po prostu nie mogę więcej wypuścić Damona spod mych anielskich skrzydeł. Cokolwiek się wydarzy, my musimy być razem. Jestem przekonana, że to samo zrozumiał Mike i dlatego do mnie wrócił. Czyż nie jest to absolutnie wspaniałe?

– Chodź, aniołku. Pokażę ci twoje nowe skrzydła. – W pewnym momencie mężczyzna wstaje.

Daję się pociągnąć za rękę i czując się jak Alicja w Krainie Czarów, zostaję doprowadzona do okna. Za nim, na ulicy, znów widzę magię:

– Nie... nie mogę tego przyjąć. – Podziwiam śnieżnobiały samochód, który wygląda na model z lat pięćdziesiątych. Charakteryzuje się on tym, że po obu stronach niskiego bagażnika ma dobudowane jakby anielskie skrzydła.

Domyślałam się, że to cacko jest warte fortunę. Ale powód, dla którego odmawiam przyjęcia prezentu, to nie jego wartość, co wyjaśniam:

– Spowodowałam wypadek samochodowy, w którym zginęła moja rodzina. Przyrzekłam przed Bogiem, że nigdy więcej nie będę prowadzić. Obietnicy dotrzymam.

– Jesteś pewna? – Nieco zafrasowany darczyńca drapie się po brodzie. Ja stanowczo potwierdzam:

– Tak, Mike, jestem pewna. Poza tym... ty wystarczysz mi za wszystkie samochody świata. Co poradzę. – Przytulam się do męskiego ramienia i sama zostaję czule objęta. Naprawdę znaczy to dla mnie więcej niż materialne dobra. Chociaż inni najwyraźniej cenią je sobie wyżej:

– Czy ja dobrze słyszałam? – Do pokoju zagląda ukradkiem Hunter. – Ten Cadillac przed podjazdem jest do wzięcia? Bo muszę się czymś wykupić mojej Sue za małżeńskie zdrady.

Damon w ogóle nie reaguje na słowa mechanika. Ja także. Oto odzyskuję czysty połysk anielskiej gwiazdy. U boku ukochanego, niczym oślepią miłością, nie widzę nikogo poza nim. Przy nim zaś, jedyne czego pragnę, to wyłącznie pełnym jasności blaskiem lśnić!

\*

Na szkolnym korytarzu moja gwiazda, z orbitującym wokół niej Damonem, na powrót wzbudza powszechny szacunek i podziw. Wobec naszej konstelacji wszyscy zachowują respekt. Wódz patrzy na mnie wilkiem, ale nie zaczepia. Na stołówce każdy ustępuje mi miejsca przy wydawaniu posiłków. Przy stoliku każdy pragnie się do mnie dosiąść. Na mojej popularności znów zyskuje Liliana, podążająca za mną jak kometa z rudym warkoczem, z którą nagle wszyscy chłopacy chcą się umówić.

Cały kosmos wydaje się znowu mi sprzyjać. Mikrokosmos także nie pozostaje w tym względzie obojętny.

Wokół trwa wiosna: śpiewają ptaki, zielenią się trawniki, zakwitają drzewa, krzewy. Moja dusza także raduje się, kwitnie i śpiewa miłosną pieśń.

Z moim ukochanym beztrudnie wizytujemy fabrykę prochów. Zaglądamy do samochodowej dziupli. Odwiedzamy nasze kasyno. Zaś w klubie Pod Płonącym Aniołem spotyka mnie dodatkowo coś niezwykłego!

Oto na moją cześć, anielską, wyprawiona tu zostaje zamknięta impreza. Wstęp jest tylko dla aniołów i demonów. Mężczyźni, ludzie Mike'a, ubrani są w czarne garnitury i czerwone koszule. Towarzyszące im dziewczęta obowiązkowo prezentują się w błękitnych sukienkach. Jedyne ja jestem ubrana na biało w suknię pełną zdobnych falban. W takim stroju, jako naczelna anielica, mam tańczyć. Ale przecież...

– Ja nie umiem tańczyć! – Pośród płasających par krzyczę rozradowana do Liliany. Ona, przy elektronicznej muzyce, wygina się w wyuzdane pozy i ucieszenie odkrzykuje:

– Poczuj nutę i pokręć seksownie zadkiem. To łatwe! Każdy to umie!

– Kiedy... nie wiem jak. No nie umiem!

– Spróbuj ze mną! – Carterówna kładzie ręce na moich biodrach. Wprawia mi je w ruch, a ja próbuję znaleźć dla nas wspólny rytm. Aż, samej nie mogąc uwierzyć w swoją grację, piszczę:

– Ja... tańczę!

– Tak, Angelino, tańczysz! – Moja przyjaciółka puszcza mnie i klaszcze w takt mojego kołysania pupą.

Coraz bardziej wkręcam się w zupełnie nieznaną mi dotąd zabawę, dokazuję. Aż nagle porywa mnie mężczyzna w czarnym garniturze i w czerwonej koszuli.

– Mike! Spóźniłeś się! Gdzie się podziewałeś?! – przekrzykuję dudniącą muzykę, tańcząc teraz z ukochanym. On, dziwnie w tej sytuacji poważny, tylko rzuca:

– Bawmy się!

– O nie! – Kołyszący się palec przytykam Damonowi do klatki piersiowej. – Jesteśmy między sobą szczerzy, pamiętaj. Mów, co się stało!

– Pożar – wypala Mike i zezuje na stojącego przy barze Alexa. Ten, od początku imprezy, spogląda na mnie spode łba, jak ostatnio Lucas. Ja jednak koncentruję uwagę nie na nim, a słowach mego mężczyzny, przez co dopytuję:

– Co za pożar? Zapaliła się któraś z twoich inwestycji?!

Tańcząc ze mną, Mike niby obojętnie odpowiada:

– Zjarał się sklep na przedmieściach. Żaden mój interes.

– Ale widzę, że cię to niepokoi!

– Zostawmy to już!

Zdaję sobie sprawę, że Damon próbuje mnie zbyć i nie mówi mi wszystkiego. Lecz nie zamierzam go dalej naciskać. Przypominam sobie, czemu jest tak uwrażliwiony na pożary. Przypominam sobie o tragicznej śmierci jego poprzedniej dziewczyny.

Aczkolwiek, kiedy odpoczywam od tańca, zamawiając przy barze wodę, słyszę, że temat spalonego sklepu zajmuje uwagę nie tylko mojego chłopaka. Jego ludzie nie dyskutują tu o niczym innym:

– Jak sądzicie? Znowu się zacznie, jak kilka lat temu?

– Jeden pożar tego nie przesądza.

– A jak będą dwa?

– Oby nie, bo wtedy będą zaraz trzy.

– Pierdolę, żebym tak dopadł tamtego podpalacza.

– Myślicie, że teraz to ten sam?

– Popatrzcie tylko na Mike'a. On to wie...

– On chce go dopaść...



Będąc świadkiem dość dekadencjonalnej wymiany zdań, decyduję się czym prędzej powrócić na parkiet. Nie życzę sobie bowiem, aby cokolwiek kładło się cieniem na mą anielską imprezę. Tańczę więc na niej i bawię się wyśmienicie niemal aż do rana. Choć płasam więcej z Lilianą niż z Damonem, który raptem ciągle musi coś załatwić, z kimś w ważnej sprawie pogadać.

Nic to, na zakończenie nocnego szaleństwa Mike znów jest tylko mój. Porywa mnie z klubu i zawozi samochodem do swojego domu.

Korzystam z tego, że państwo Nelson zaakceptowali już fakt, że raczej nie wychowają mnie na świętą. Zresztą ostatnimi czasy bywało, że wuj Benjamin sam posyłał mnie na randki. Tym właśnie uzasadniłam mój dzisiejszy wypad na nocną zabawę. Tym też zamierzam usprawiedliwić jutro to, że nie wróciłam do siebie na noc.

Postępuję więc nieco w myśl zasady: Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Nadal jestem pobożna, ale ulegam diabelskim pokusom, gdy wiążą się one z kuszeniem mnie przez Mike'a.

Dzięki temu nad ranem mogę kochać się z mężczyzną, którego darzę miłością. Mogę czuć się gwiazdą, której grawitacja przyciąga do siebie, i wchłania, miłość, w rewanżu emanując nią na wszystkie strony. Ktoś, kto tego w błogości doświadcza, jak może nie być spełniony?

## XVIII. Tarot – Sprawiedliwość

Karta tarota Sprawiedliwość uczy odróżniać dobro od zła i stosować się do praw obejmujących ogół międzyludzkich relacji. Karta ta przypomina nam o odpowiedzialności oraz przyczynach i skutkach naszych działań. Czasem wymaga od nas radykalnych decyzji, byśmy stanęli po właściwej stronie.

\*

Odnowienie i zacieśnienie związku z Damonem powoduje, że ponownie rozważam przeprowadzkę do niego. Powstrzymuje mnie przed tym troska o moich krewnych, których zmartwiłabym i rozczarowała takim postępkami. W takim układzie biorę jeszcze na wstrzymanie ze zmianą miejsca zamieszkania.

Obecnie odwiedzam dom mojego chłopaka, aby zabrać stąd trochę moich książek i ubrań, które przeleżały tu ponad pół roku. W pakowaniu rzeczy pomaga mi Liliana. Ta dziewczyna mocno wierciła mi dziurę w brzuchu, aby mogła zobaczyć, jak mieszka Mike. Więc jej prośbom czynię zadość.

W takich okolicznościach Carterówna właśnie buszuje po mieszkaniu, zaglądając tu i tam. Natomiast ciężar pakowania moich rzeczy spada głównie na mnie.

Akurat lokuję w tekturowym pudle białą, koronkową bieliznę, gdy raptem słyszę u wejściowych drzwi spore poruszenie. To stłumione, kobiece krzyki, donośne szuranie i jakby obijanie ścian.

Wobec takiego hałasu nie mogę pozostać obojętna. Wychodzę z pokoju i ruszam w ślad za niepokojącymi dźwiękami.

Za chwilę towarzyszy mi Liliana. Razem docieramy do salonu i jesteśmy świadkami igrzysk dantejskiej sceny.

Zastajemy tu grupę ludzi Damona i jego samego. Szarpią się oni z jakąś dziewczyną. Właśnie zdejmują jej worek z głowy, wykręcają ręce i wpychają knebel do ust.

W gnębionej biedaczce rozpoznaje Sandrę. Namierza mnie ona przerażonym wzrokiem i patrzy tak, jakby błagała o pomoc.

Nagle Zion zrywa z niej różową koszulkę. Jej strzępy rzuca na podłogę. Mike z kolei wyjmując nóż i jednym jego pociągnięciem pozbawia chilriderkę stanika.

Dłużej nie mogę pozostać bierna:

– Na Boga, co wy wszyscy wyprawiacie? Powariowaliście?!

W tym momencie kilka par męskich oczu zostaje skierowanych na mnie. Wśród ich właścicieli jest także Damon, który do mnie posykuje:

– Nie wtrącaj się. To nie twoja sprawa.

– Moją sprawą jest każda, która dotyczy krzywdzenia innych. Dlatego nie pozwolę wam skrzywdzić Sandry! – Rozpościeram ramiona nie jak skrzydła anioła, a drapieżnego ptaka.

W reakcji na moje zachowanie Mike wskazuje ostrzem na obezwładnioną dziewczynę i swoją agresję wobec niej próbuje uzasadnić:

– Ta różowa suka kilka miesięcy temu zwabiła mnie w miejsce, gdzie czekał już Lucas ze swoimi kumplami. Okłamała mnie, że jest ze mną w ciąży. Namówiła, abyśmy się spotkali i... rozwiązali problem.

– Czyli dałeś się podpuścić, świetnie. I co teraz? Będziesz się mścić?!

– Wymierzę sprawiedliwość. – Damon nachyla się ku dziewczynie i przykładą jej nóż do gardła.

– Przestań! – krzyczę, przerażona widokiem rozgrywającego się na moich oczach szaleństwa.

– Przeszanę, jak suce z pomponami wytnę pomiędzy cyckami pentagram. To ją nauczy, i będzie przestrogą dla innych, aby nie zadzierać z... Demonami.

– Nie zrobisz tego! – Postanawiam walczyć już nie tylko słowem, ale i czynem.

Ruszam na mojego chłopaka i chwytam go za uzbrojoną rękę. Coraz mocniej się z nim szarpię. Aż odpycha mnie z taką siłą, że bezwładnie lecę na szklany stolik. Rozbijam go swoim ciałem w drobny mak i ląduję na podłodze pośród ostrych odłamków.

Po ogłuszającym hałasie tłuczonego szkła nastaje w salonie grobowa cisza. Z twarzą przy parkiecie nie ruszam się, dopóki ktoś nie pomoże mi wstać.

Tym kimś okazuje się nie Mike, a Liliana. Podtrzymuje mnie ona w pozycji pionowej i ostrożnie wyjmuję z mojego ubrania, i ciała, szklane opiłki.

Ja patrzę na siebie, nadal będąc w szoku. Widzę, że moja biała dotąd sukienka obecnie cała jest upstrzona czerwonymi plamami. Wszędzie na sobie zauważam krew.

– Hunter. Zawieź ją do szpitala, szybko – rzuca Damon. Posyłam mu nienawistne spojrzenie i na odchodne przestrzegam:

– Jeżeli choć skaleczysz Sandrę, nigdy już mnie nie zobaczysz. Wyjadę do Teksasu i o tobie zapomnę. Wymarzę z pamięci wszystko, co nas kiedykolwiek łączyło.

Po chrzęszczącym mi pod stopami szkłem idę w kierunku wyjścia z domu. Za sobą zaś słyszę:

– Jeżeli mnie zostawisz, bardzo tego pożałujesz!

Wobec tej groźby szyderczo za siebie odkrzykuję:

– Co niby mi zrobisz? No co?! Obetniesz skrzydła? Wytniesz mi na cyckach pentagram?

Wtedy będziesz zadowolony?!

Trzaskam za sobą drzwiami i już zaraz jadę z Hunterem samochodem.

Nie mogę się pozbyć wzburzenia, nie mogę się opanować. Nie wiem, który już raz za sprawą mojego faceta trafiam z nieba do piekła.

To, że mnie psychicznie rani, mogę wybaczyć. To, że nieumyślnie zadaje mi fizyczne rany, też pewnie mogłabym przeboleć, puścić w niepamięć. Lecz jeśli w akcie głupiej zemsty kogoś pokroi, to z nami naprawdę koniec. Mike bowiem przekroczy granicę, za którą nie będzie już mi się jawił ukochanym, a tylko piekielnym demonem.

– Trzymasz się? – zagaduje mnie podczas jazdy Hunter. Zerkam ku niemu i z obawą w głosie pytam:

– Mam skaleczenia na twarzy?

– Na twarzy nie. Ale... chyba będzie ci trzeba założyć trochę szwów na rękach.

Spoglądam na swoje ramiona. Są osłonięte pociętymi rękawami sukni, mocno zabarwionymi na czerwony kolor. Szybko jednak przestaję myśleć o swoich obrażeniach i znów zadreżam się rozczarowaniem, jakie sprawił mi sobą Mike:

– Jak on może być takim...

– Fiutem? – szczyrzy się Hunter, zupełnie jakby czytał w moich myślach. Ja twardo potwierdzam:

– Tak... fiutem.

W odpowiedzi słyszę:

– Wyluzuj, Angelino. Jesteśmy... gangsterami, a to trochę zobowiązuje.

– To daje wam prawo... kroić kogoś nożem? – Słowa te wypowiadam, nasączając je goryczą.

Kierowca tylko wzrusza ramionami, po czym dzieli się ze mną pewną gangsterską prawdą:

– To jest tak, że przyzwolenie na czynienie małego zła prowadzi do większego zła. Te większe do... jeszcze większego. W końcu zło, nieważne jakich rozmiarów, to już zwyczajne działanie. Ty możesz tego nie rozumieć. Ty jesteś... aniołkiem.

– Więc... usprawiedliwiasz Mike'a i siebie – kwituję ze smutkiem, gdy samochód zatrzymuje się przed szpitalem. Wtedy mechanik uśmiecha się do mnie i mówi coś, co w tej podłej chwili mnie podbudowuje:

– Tak sobie myślę... że jak ktoś jest demonem, to już jest demonem. Nic nie poradzisz. Ale myślę też, że to wielkie błogosławieństwo pojawienie się anioła wśród demonów. Bo nie sądzę, aby po twojej akcji Mike pociął Sandrę. Podejrzewam, że jesteś dla naszego szefa ważniejsza niż czyjeś pokrojone cycki.

– Szczerze... tak uważasz?

– Takie jest moje zdanie. – Kierowca ociera mi chustką krew z dekoltu i krzywiąc się na twarzy, cierpko dodaje: – Szkoda tylko, że taka krwawa musi być ta twoja anielska ofiara, Angelino.

– Nic nie szkodzi, zagoi się. I... dzięki za podwózkę, Hunter.

Opuszczam wóz i do miejskiego szpitala wchodzę już z lżejszą duszą.

Gdy lekarz szyje mi rany na rękach, mam możliwość przetrwania słów mechanika. Dzięki temu doznaję pewnego objawienia.

Zgadzam się z tezą, że Mike, zgodnie ze swoją profesją, ma skłonność do czynienia zła. Jest to nieuniknione. Przez to nie zrobię z niego anioła. Lecz jeśli w moim zasięgu jest to, aby nie spadł do czeluści piekła, to i tak chyba powinnam być zadowolona. Niech więc tylko nie skrzywdzi Sandry, a z mojej strony wszelkie winy będą mu na powrót wybaczone. Choć oczywiście wcześniej będzie mnie musiał solennie przeprosić.

– Kilkanaście plastrów opatrunkowych i kilkanaście założonych szwów. Gotowe. Ale na przyszłość proszę na siebie bardziej uważać. – Lekarz czyni ku mnie gest sugerujący, że mogę już wstać z fotela. Przyjmuję pionową postawę i pytam:

– Będę miała blizny?

– Zaręczam, że anielską urodę pani zachowa. – Młody lekarz uśmiecha się do mnie wyjątkowo szeroko. Patrzę na niego nieco podejrzliwie i dopytuję:

– Czemu nazwał pan moją urodę... anielską?

– Cóż... – Mężczyzna spogląda na przeszkloną szafkę z medykamentami. Wyjmuje z niej buteleczkę i wyjaśnia: – Moje uzależnienie się od morfiny to nie był najlepszy pomysł. Ale stało się i morfina szybko przestała mi wystarczać. Na szczęście... Mike dostarcza mi mocniejszy towar. Dlatego cieszę się, że mogłem mu zszyć... aniołka.

– Dziękuję za pomoc. Do widzenia, doktorze.

Opuszczam szpital, zastanawiając się, ilu ludzi w Crestone korzysta na lewych interesach Damona? Ilu przez to jest od niego w jakiś sposób uzależnionych? Wreszcie ilu mnie zna, jako jego dziewczynę?

Wspominam zamkniętą, anielską imprezę w lokalu Pod Płonącym Aniołem. Szacuję, że bawiło się na niej około trzydziestu mężczyzn. Zatem gang Demonów liczy minimum tyle osób. Chodź podejrzewam, że jest ich o wiele więcej.

– Wyglądasz jak nowa!

– Czekaleś. – Przed szpitalnym budynkiem zauważam Huntera.

– Mike zadzwonił. Kazał mi cię odwiedzić całą i zdrową do domu.

– Do... którego domu? – uśmiecham się kwaśno.

– Mam cię odstawić tam, gdzie sobie zażyczysz.

– Więc zawieziesz mnie do moich krewnych. I...

– Tak, Angelino?

– Więcej się do nich nie włamuj. – Grozę palcem.

– Masz moje słowo, aniołku!

Niedługi czas po odwiedzeniu placówki szpitalnej trafiam pod strzechę państwa Nelson. Udaje mi się niepostrzeżenie wejść na piętro, dzięki czemu nie muszę się tłumaczyć z białoczerwonej barwy mojej sukienki, która uprzednio była całkiem biała.

W moim pokoju rozbieram się do bielizny i w lustrzanym odbiciu oglądam moje obrażenia. Ran odnoszę sporo, ale obecnie wszystkie są szczelnie zakryte opatrunkami. Zdaję się więc na słowa lekarza i jego obietnicę, że nie zostałam trwale oszpecona.

W kolejności moje myśli, jak bumerang, kierują się do Mike'a i Sandry. Na wspomnienie chryi w domu Damona długo i powoli wypuszczam powietrze z płuc. W duchu upewniam się, że ze swojej strony uczyniłam wszystko, co w mojej mocy, abym zapobiegła wydarzeniu się tragedii. Reszta jest w rękach Boga i... mojego demonicznego chłopaka.

By zająć umysł czymś innym niż martwieniem się o los chilriderki, i mego miłosnego związku, biorę się za naukę. Z przerwą na kolację aż do nocy rozwiązuję zadania z chemii.

Kiedy układam się do snu, zamierzam wyłączyć telefon, aby mnie przypadkiem nie zbudził. Akurat wtedy telefon dzwoni. Widzę, że połączenie wychodzące jest od Carterówny. Odbieram i od razu wypalam:

- Co z Sandrą?
- Wyjedź z miasta.
- Pytałam co z...
- Zamknij się i mnie słuchaj.
- No przecież słucham, ale...
- Żadnych ale. Wyjedź z miasta jeszcze dziś.
- Kiedy jest noc. Liliana... brałaś coś? Dobrze się czujesz?
- Ufasz mi?
- O tyle o ile. Chyba że... bredzisz, jak teraz.
- Nic więcej nie mogę powiedzieć. Ale błagam cię... uciekaj.
- Liliana...? Liliana? Liliana?!

Połączenie zostaje zakończone. Ja zaś na plecach odbieram nieprzyjemny dreszcz. Jest on niczym prześlizgujący mi się wzdłuż kręgosłupa zdradliwy wąż. Zwiastun czegoś bardzo złego.

Pragnęłabym uznać, że mojej przyjaciółki trzymają się wyjątkowo głupie żarty. Ale niepokój z powodu jej słów i tak już się we mnie zagnieździł.

Co wydarzyło się w domu Mike'a po moim wyjściu stamtąd? Czego świadkiem mogła być Carterówna? Przed jakim zagrożeniem chce mnie przestrzec?

Mogę tylko snuć czeże domysły. Lecz mając Boga w sercu, który błogosławi sprawiedliwym, zła się nie ulęknę i na pewno nie ucieknę.



## XIX. Tarot – Śmierć

Karta tarota Śmierć mówi o zakończeniu ważnego cyklu w naszym życiu i związanej z tym transformacji naszego wnętrza. Zakończenie danej sprawy, czy relacji, otwiera przed nami szansę, by przeżyć coś nowego. Karta ta odnosi się do naszego rozwoju i nakłania, by przestać kurczowo trzymać się przeszłości.

\*

Mam przerywany, niespokojny sen. Gdy tylko na dłużej pograżę się w sennych marach, widzę pochłaniające mnie płomienie. To znów wydaje mi się, że tonę w bezkresie oceanu.

Niezależnie od tego, czy akurat palę się, czy niknę w odmętach wody, ktoś podaje mi, jak na ratunek, dłoń.

Dopiero nad ranem zauważam, że we śnie wyciągana jest ku mnie moja własna ręka. Czy zatem mam sama sobie pomóc, aby nie dopuścić do swej śmierci? Lecz czemu niby miałabym umierać?

Zmęczona przewracaniem się w łóżku wstaję i zarzucam na siebie białą sukienkę. Następnie dłońmi przytykam uszy wobec gardłowych krzyków za oknem oraz warkotu maszyn.

Otwieram drzwi prowadzące na korytarz, a wtedy zamieram. Oto na schodach wiodących na parter zauważam snujący się tu szary dym, jego nieprzebrane kłęby.

– Pożar... to pożar – szepczę przerażona, by zaraz już tylko dramatycznie krzyknąć: – To pożar! Ciociu Elizabeth, wujku Benjaminie! Pali się, pali! – Jak oszalała porywam się na dół. Zbiegam do salonu i trafiam jakby w gęstą mgłę, przez którą prawie nic nie widzę. Nic poza poruszającymi się tu sylwetkami ludzi i także będącymi w ruchu jezorami ognia.

Osaczona przez płomienie zasłaniam usta przed gryzącym dymem wdzierającym mi się do płuc. Szybko brakuje mi powietrza, duszę się i już prawie mdleję. Robi mi się też nieznośnie gorąco. Całe ciało zaczyna mnie parzyć!

Odnoszę koszarne wrażenie, że pośród ognia i dymu widzę moich rodziców i brata. Idą do mnie poparzeni. Błagalnie wyciągają ku mnie dłonie, a ja nie mogę im pomóc.

Znowu to przeżywam. Nie jestem im w stanie pomóc!

Wtem zostaję ścięta z nóg przez potężny strumień wody. Zaraz potem zarzucony zostaje na mnie koc. Dwie osoby chwytają mnie pod ramiona i wloką korytarzem, aż wyciągają z płonącego domu.

Zostaję ocalona...

\*

– Wystarczy już tej wody, bo zaraz będzie tu jezioro...

– Pożar ugaszony!



– Niech Henry i Owen wejdą do środka. Niech się tam rozejrzą.

– Kris! Możesz już ze swoimi ludźmi odjechać!

Powoli przechodzi mi roztrzęsienie. Ciągle jednak opieram się o drzewo tak mocno, jakbym była do niego przybita.

Patrzę na nadpalony dom państwa Nelson. Następnie przenoszę wzrok na odjeżdżającą karetkę. W roli pacjenta jedzie w niej zatruty dymem Benjamin, a towarzyszy mu Elizabeth. Poza tym na ulicy widzę kilka wozów strażackich, policję i spore zbiegowisko gapiów.

– Ktoś w porę zadzwonił po strażaków. Mieliście wielkie szczęście. – Jeden z sąsiadów krzepiąco kładzie mi dłoń na ramieniu. – Jak nie masz gdzie się podziać, zapraszam do nas. – Mężczyzna wskazuje mi dom naprzeciw.

– Dziękuję. Może skorzystam – szepczę.

– Nasze drzwi są dla ciebie otwarte. Dla Nelsonów oczywiście też.

Sąsiad odchodzi. Wtedy zauważam, że z tłumu wyłania się znany mi facet. Nie przepadam za nim, bo nie raz dał mi już do zrozumienia, że sam nie bardzo lubi mnie. Rzuca on na ulicę niedopalone cygaro. Podchodzi do mnie i oskarżycielsko chrypi:

– Zadowolona jesteś z siebie, idiotko?

– O czym ty do mnie...?

– Zamknij się. Trzeba było posłuchać Liliany i stąd uciekać.

– Niby przed kim? – popiskuję z nutą rozpaczy w głosie.

Alex odwraca ode mnie wzrok i z niesmakiem rozgląda się po okolicy. Aż ponownie wbija we mnie ostre spojrzenie, po czym gniewnie wyjaśnia mi chyba więcej, niż pragnęłabym wiedzieć:

– Wczoraj, po twoim wyjściu od Mike'a, on wpadł w szal. Pobił tę blondynkę do nieprzytomności. Całą ją pociął. Niewiele z niej zostało. Zachowywał się tak wściekle jak wtedy, tuż zanim spłonęła Ann. Ją też wcześniej ostrzegał, żeby go nie zostawiała. Teraz to samo spotyka ciebie. – Brat Liliany zezuje na miejsce, gdzie dopiero co szalał pożar. Ja, w obliczu tego, co słyszę, tylko bezradnie dukam:

– Nie... nie. To nie mógł... być. To nie Mike. Nie... on.

– Zamknij się. – Alex chwyta mnie i zasłania mi usta dłonią. – Spróbuję cię wyprowadzić z miasta. Ale musisz mi zaufać.

– Nie... nie. – Wyrywam się z męskiego uścisku. Wstrząśnięta tracę nad sobą panowanie i w niebogłose wrzeszczę: – Zostawcie mnie. Zostawcie mnie wszyscy!

– Co się stało? – Powraca mój sąsiad z naprzeciwka.

– Wypierdalaj – posykuje do niego brat Liliany.

Ja raptem nie mogę już znieść tej eskalacji przemocy, ognia, demonów i zła. Mam tego wszystkiego dość!

Opuszczam miejsce przy drzewie i do głębi wzburzona, ale też rozdygotana, idę szybkim krokiem do policyjnego radiowozu.

Na miejscu widzę, że siedzący na przednim fotelu policjant zawzięcie w coś gra na smartfonie. Zauważam, że to elektroniczna wersja ruletki. Sama nie zostaję zauważona. By zwrócić na siebie uwagę, krzyczę:

– Proszę aresztować Mike’a Damona! Proszę aresztować też mnie. Chcę zeznawać na temat zorganizowanej działalności przestępczej w tym mieście!

Gliniarz z trudem odrywa się od gry. Patrząc na mnie, robi taką minę, jakbym go właśnie pozbawiła zasłużonego awansu. Ja nie ustępuję:

– Chcę zeznawać. Proszę mnie zawieźć do swoich przełożonych!

Sama otwieram drzwi radiowozu i pakuję się na tylne siedzenie. Nieoczekiwanie dla mnie dosiada się tu Alex.

– Ja też mogę zeznawać – chrypi.

– Bardzo dobrze! – Podniesionym głosem próbuję przykryć narastającą we mnie słabość. Żywię jednak nadzieję, że się nie załamie. Wytrwam i wreszcie wyrwę się z piekła, do którego w swej naiwności sama zstąpiłam.

Samochód rusza, a ja spoglądam za wygaszonym pożarem. Spoglądam jak za moimi spopielonymi marzeniami o pięknej miłości anioła z demonem.

Podczas jazdy płaczę, to się nerwowo uśmiecham. Odbieram w sobie niezmierną rozpacz, to znowu czuję satysfakcję, że wyjdę poza ognisty krąg zła.

Niezależnie od tego, jakie akurat przeżywam emocje, nie przestaję sobie powtarzać, że to co mam zrobić, po prostu zrobię. Oddam nas w ręce policji, skoro wszystkie moje pokładane w Damonie nadzieje okazały się płonne.

On jest mordercą. Właśnie zabił nasze uczucie, wcześniej zabił Ann, a teraz próbował zamordować mnie. Zachciało mi się chłopaka gangstera. To mam tego zepsuty owoc, którym może być nawet moja śmierć. Jak koszmarnie by to nie brzmiało, wszystko wskazuje na to, że tak dokładnie jest.

– Dlaczego jedziemy okrężną drogą? – W pewnym momencie mój dodatkowy niepokój budzi to, że nie zmierzamy prosto na posterunek policji. – Pytałam czemu... Chryste!

Nagle Alex zarzuca pasek na gardło policjanta i go bezwzględnie dusi. Radiowóz najpierw przyspiesza, potem wyhamowuje, a ostatecznie w coś uderza.

Drzwi koło mnie się otwierają, jak niegdyś w Teksasie po wypadku nad jeziorem, i wypadam na chodnik. Dłuższy czas leżę na plecach. Błękitne niebo wiruje mi przed oczyma, a mój oddech zamiera.

Wtem zostaję chwycona za dłoń, szarpnięta za nią i postawiona do pionu. Widzę, że dzieje się to za sprawą Alexa.

Spoglądam na radiowóz. Dostrzegam, że zakończył jazdę na słupie. Kierowca siedzi nieprzytomny na fotelu z paskudnie rozkwaszonym nosem.

Zerkam na brata Liliany. Wyciera on z knykci krew i gardłowo do mnie dudni:

– Mike ma gliniarzy z Crestone w kieszeni. Ten akurat glina jest stałym bywalcem kasyna Pod Upadłym Aniołem. Jest mocno zadłużony u Damona, a przez to wobec niego wyjątkowo lojalny.

– Grał w ruletkę... – szepczę, niejako potwierdzając słowa Alexa. On patrzy na mnie z niechęcią i stwierdza:

– Ostatni raz byłem świadkiem, jak się wygłupiłaś. Jeszcze jedna taka twoja inicjatywa, jak jazda policyjnym wozem, i radź sobie sama.

– Mów, co mam robić...

– Przede wszystkim masz się mnie, kurwa, słuchać!

– Dobrze... Już będę, słuchać. Obiecuję.

– No to spadamy stąd, szybko.

Razem z Alexem w pośpiechu opuszczam miejsce wypadku. Kluczemy uliczkami, a podczas naszej drogi brat Liliany tłumaczy mi, że niestety nie tak łatwo będzie uciec z Crestone:

– Mike ma wgląd do monitoringu w mieście. Na pewno też obstawi wszystkie wyjazdowe drogi. Dlatego miasto spróbujemy opuścić pieszo. Ale jeszcze nie teraz.

– Czemu nie teraz?

– Zaraz zacnie się na ciebie obława. Sugeruję więc gdzieś się zamelinować i spróbować szczęścia w ucieczce dopiero w nocy.

– Chyba wiem, gdzie możemy się do tego czasu bezpiecznie schować.

– Strzelaj.

– Tam powinno być bezpiecznie. – Wskazuję widoczną w pobliżu białą i prostokątną bryłę zwieńczoną krzyżem.

– Kościół. Całkiem dobra myśl – przyznaje Alex, mój obecny anioł stróż.

Wkrótce znajdujemy schronienie w domu Pana. Pragnę wierzyć, że Bóg podwójnie mnie tu obroni, bo przed polującym na mnie demonem z zewnątrz, jak i moimi wewnętrznymi demonami.

By pozbyć się tych drugich, a przynajmniej je zneutralizować, postanawiam skorzystać z okazji i się wypowiedzieć. W obecnej, przerażającej sytuacji, nie mogę mieć bowiem pewności, że cała moja tragiczna przygoda z Damonem nie zakończy się moją śmiercią. Gdyby tak miało być, to chcę oczyścić duszę i bez grzechu stawić się na pańskim sądzie w niebie. Jak postanawiam, tak przy konfesjonale czynię:

– Pragnę wyznać grzechy, ojcze.

– Czy żałujesz ich szczerze?

- Za każdy mój grzech biję się w piersi.
- Czy jest w tobie pełna pokora?
- Jestem w sercu całkowicie skruszona.
- Wyznaj zatem swoje występki przeciw Panu, za które odpokutujesz.
- Byłam kimś jak... piekielną nierządnicą. Nie mając dość Boga w sercu, błądziłam.

Uzasadniałam swą skłonność do cielesnego grzechu, jak tylko mogłam.

- Świat cielesnych żądz jest pełen pokus.
- Tak, ojcze. Ja zaś byłam grzesznicą, która tym diabelskim pokusom uległa. Co więcej, uległam mężczyźnie, który okazał się diabłem wcielonym.
- Czy to on skierował cię na złą drogę?
- Nie wiem... Nie wiem, czy mam prawo winić kogoś innego za moje grzechy. Ale tak, sądzę że wszystko co złe zaczęło się od spotkania tego mężczyzny, demona we własnej osobie.

- Żywiłaś do niego miłość?
- Kochałam go... Nie przeczę.
- Czy teraz w to miejsce czujesz nienawiść i złorzeczysz mu?
- Tak, ojcze.
- Czy wiesz, że nienawiść także jest grzechem?
- Wiem, ale...
- Czy wiadome ci jest, że nasz Pan każe wybaczać nawet naszym prześladowcom?
- Wiem to, jednak...
- Skoro to wszystko wiesz, to przestań nienawidzić swego krzywdziciela i wybacz mu jego winy. Albowiem tylko tak uzyskasz pełne rozgrzeszenie. Tylko w ten sposób całkiem oczyścisz się z grzechu, by dostąpić niebiańskiej radości u boku Pana.

Duszpasterz z całą boską przenikliwością prześwieśla mą duszę. Bezlitośnie obnaża moją hipokryzję i wskazuje drogę, jak się jej pozbyć, by odzyskać prawdziwe światło.

Dociera do mnie, że skoro moja miłość umarła, to na jej gruncie nie ma prawa wykiełkować nienawiść. Śmierć miłosnego uczucia musi być czysta, a osiągnąć to można tylko poprzez akt łaski, wybaczenie i pogodzenie się z tym, że to co było, po prostu odeszło.

Jeżeli więc pragnę być godna boskiej miłości, muszę odsunąć od siebie rozum, który podsuwa uzasadnienia dla trwania mej urazy. W to miejsce muszę otworzyć swe serce. Otworzyć serce na każdego, nawet na największego grzesznika. W imię świętych, boskich prawideł to właśnie czynię:

- Wybaczam... – szepczę na powrót szczerze skruszona. Mój grzech nienawiści umiera. Ma dusza odzyskuje spokój.



## XX. Tarot – Księżyc

Karta tarota Księżyc opowiada o tajemnicach i sekretach wychodzących na światło dnia. Obnaża nasze złudzenia i niepewność. Skłania do tego, by zdać się na intuicję. Uczy, jak pracować z podświadomością, by ukazywała nam rzeczywistość, a nie iluzję.

\*

Alex, który jest dla mnie chodzącą tajemnicą, a jego motywy pomagania mi są dla mnie niezrozumiałe, zasiada w bocznej nawie kościoła. Zajmuje on miejsce na posadzce przy wielobarwnym witrażu, przedstawiającym obraz nawróconego grzesznika, świętego Pawła.

Czy brat Liliany, który wyszedł z więzienia, także doznał może duchowej przemiany i to z tego powodu ratuje mi życie? Nie wiem tego i obecnie nie zamierzam dopytywać. Wobec tego ostrego w obyciu mężczyzny czuję bowiem jeszcze większy respekt niż przed Lucasem, czy... Damonem.

– Widzę, że przyniosłaś coś do żarcia. Świetnie, bo zgłodniałem.

– To chleb i woda od... księdza. – Siadam koło rudawego faceta i kładę przed nim postną strawę.

– Może być. – Alex bierze do ręki pieczywo. Spory bochenek kroi nożem na kawałki i je pożera.

Z rezerwą przyglądam się spożywającemu posiłek mojemu wybawicielowi. W jego rysach twarzy odnajduję pewne podobieństwo do niegrzeszącej urodą Liliany. Sprawia to, że nie mogę powiedzieć, aby ten mężczyzna był przystojny. Ponadto bije od niego wyjątkowo złowroga aura, co ciągle każe mi względem niego zachowywać dystans.

Gdy zauważa on, że mu się przyglądam, od razu uciekam wzrokiem. Kiedy zaś mój wzrok ponownie spoczywa na jego sylwetce, wpatruję się w rysunek pentagramu na męskiej kurtce.

Patrzę na zamknięte w pięciokącie centrum i odchodzące od niego jakby pięć kolców. Ich liczba kojarzy mi się z kręgami piekła Mike'a, które przedstawiał, jako swoje interesy. Nie wprowadził mnie jednak do piątego kręgu. Myślę sobie, że na jego temat być może wie coś Alex. Dlatego w pewnym momencie go ostrożnie zagaduję:

– Wiesz może coś o tajnych inwestycjach Damona w Crestone?

– O co ci konkretnie chodzi? – Brat Liliany łypie na mnie oczyma w taki sposób, jakby przyglądał się wrzodowi na tyłku.

Zupełnie nie przywykłam do tego rodzaju patrzenia przez mężczyzn na moją osobę. Przez to czuję się raptem zgaszona.

Już mam odpuścić temat, ale nagle coś mnie mocniej zastanawia. Spoglądam bowiem na pentagram na kurtce, jak na plan miasta. Reflektuje się, że każdy z czterech, znanych mi

interesów Mike'a jest ulokowany na obrzeżach Crestone w symetrycznych odstępach. Wyłom stanowi jedynie południe, które odpowiada piątemu kolcowi pentagramu w odniesieniu do mapy.

W związku z tym moje uprzednie pytanie koryguję:

- Jaką inwestycję Damon ma na południu miasta?
- Po co ci to wiedzieć?
- Tak... zwyczajnie.
- Z tego co wiem, to nie ma tam żadnych interesów.
- Jesteś pewien?
- Ile razy mam, kurwa, powtórzyć, żeby do ciebie dotarło?
- Ale coś tam musi mieć... na południu... – Patrzę w zadumie we wspomnianą stronę.

Wtedy moja ciekawość zostaje zaspokojona:

- Na południu Crestone Mike miał rodzinny dom.
- Co się stało z tym domem? – Znów wpatruję się w Alexa.

On ciągle przeżuwa chleb. Ale skłonny jest również powiedzieć coś więcej, odkrywając tym samym skrywany przede mną sekret Mike'a:

– Damon od dziecka fascynował się ogniem. Jako kilkuletni dzieciak podobno szczególnie lubił bawić się zapalkami. Pewnego dnia w rezydencji rodziców podpalił ich sypialnię, a przy okazji staruszków, którzy spali. On uciekł, jego starzy spłonęli. Chałupa też się zjarała. Tyle wiem od znajomego gliniarza.

– Rozumiem... – szepczę poruszona.

Właśnie dociera do mnie, że w dzień, kiedy poznałam Mike'a, on nie żartował. Przyznał, że tak jak ja, tak i on za sprawą ognia przyczynił się do śmierci swoich bliskich.

Czyli od samego początku naszej znajomości połączył nas ogień. Cały czas tlił się, przygasał, to wzmagał w naszym związku. Aż wreszcie doszło do prawdziwej pożogi.

Czuję w sercu palący ból na myśl, że z naszego uczucia zostały już tylko popioły. Myślę o tym, że bardzo trudno mi się z tym pogodzić. Zresztą moje ciągle gorące serce wcale się z tym chyba nie godzi.

Wydaje mi się, że wciąż gdzieś w głębi siebie się łudzę, iż znajdę coś, co pomoże mi lepiej zrozumieć nagły wybuch agresji Damona i jego furię usprawiedliwić. To, że ostrzegłam go przed moim odejściem, nie było przecież jednoznaczne z tym, że go opuszczę. Nie uzasadniało więc zaistniałego szaleństwa.

Coś mi w tym wszystkim nie do końca pasuje. Motywowana takimi przemyśleniami, zdając się na intuicję, stwierdzam:

– Chcę zobaczyć to miejsce. Miejsce po spalonej rezydencji. – Tym razem zwracam się do Alexa z siłą w głosie.

– Nie masz innych problemów, naprawdę? – Mężczyzna zezuje na mnie z nieskrywaną pogardą. Ja nie ustępuję:

– I tak powinniśmy uciekać na południe – zauważam. – W tamtym kierunku jest Los Angeles, najbliższe nam duże miasto.

– Niby... racja. – Bratu Liliany z trudem przechodzi przez gardło zaaprobowanie czegokolwiek, co wychodzi ode mnie. Widzę to po nim, bo raptem kawałek suchego pieczywa staje mu w gardle. Zamiast popić wodą, wypluwa zaśliniony zbitek chleba. Następnie wyrokuje: – Jak jesteś taką fanką pogorzeli, to niech będzie. W drodze na południe możemy zahaczyć o miejscówkę ze spaloną chatą.

– Dziękuję...

– Ale ruszymy dopiero o zmierzchu.

– Oczywiście, jak sobie życzysz. Tylko jeszcze...

– Czego, kurwa?

– Nie... nic. To znaczy... – jąkam się, dukam. Aż swoje wątpliwości wyjawiam: – Dlaczego mi właściwie... pomagasz? Przecież jesteś jednym z Demonów, zaufanym człowiekiem Mike'a. Dowiodłeś już wobec niego swej lojalności, idąc za niego do więzienia. Więc co cię motywuje, aby się dla mnie poświęcać i... narażać? – W zauważalny sposób opuszczam wzrok na swoją sylwetkę. Czynię tak, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy aniżeli to, że Alex, mimo jego poniżającego moją osobę zachowania, może chcieć mnie dla siebie. On jednak szybko pozbawia mnie złudzeń:

– Nie zamierzam ci pomagać, by potem sobie ciebie przelecieć. Jeśli do tego zmierzasz. A czemu ratuję ci zad, to już moja sprawa. Daj mi lepiej spokojnie jeść i przestań wreszcie pieprzyć. Nawijasz jeszcze gorzej niż Lilia. Nie mogę już twojego babskiego jazgotu słuchać.

– Przepraszam...

– Idź się może, kurwa, znowu pomodlić. Tylko może nie rycz i nie jęcz jak ostatnim razem. Echo niesie się po całym kościele. Brzmi to, jakbyś pieprzyła się z samym diabłem.

Nic już nie mówię. Zgodnie z otrzymaną sugestią w ustronnej części bocznej nawy znajduję sobie klęcznik.

Pograżam się w modlitwie, którą dedykuję kolejnym osobom. Świadoma tego, że może być to mój ostatni pacierz, przed Bogiem wstawiam się zarówno za moimi przyjaciółmi, jak i wrogami.

Święte słowa dedykuję Alexowi, który mi pomaga. Również księdzu, który w tym kościele pomógł mi uleczyć mą skalaną nienawiścią duszę. W podobny sposób intencjonalnie wspominam mojego ciemnięzyciela Lucasa. Wreszcie na koniec najbardziej żarliwie modlę się za Mike'a, mojego ukochanego grzesznika, demona. Kogoś, kogo wbrew wszystkiemu chyba nadal... Kocham.



– Rusz dupę. – Wraz ze zniknięciem ostatnich promieni słońca, rozświetlających zdobne witraże, Alex przerywa mój pacierz. Siłą stawia mnie na nogi i popycha w kierunku wyjścia z sakralnego przybytku. Robi to tak bezceremonialnie, jakby prowadził mnie na egzekucję. Wciąż mam nadzieję na jej uniknięcie ze strony Mike’a. Dlatego posłusznie daję się ze sobą surowo obchodzić.

Na ciemnych ulicach miasta sprawy mają się podobnie. Kluczemy na południe bocznymi uliczkami, a brat Liliany co raz mnie szarpie, abym się nie ociągała.

Staram się dotrzymać mu kroku, ale momentami nie daję rady. Ponadto moją uwagę rozpraszają mijani w mroku przechodnie, bo w każdym z nich strach każe mi widzieć demona.

Szczęśliwie udaje nam się przebić na przedmieścia, a potem na dzikie tereny na południe od Crestone. Płyne tu rzeka i rośnie sporo drzew. W tych okolicach nie ma już miejskich świateł. Wyznaczaną przez Alexa drogę oświetla nam jedynie tajemniczy księżyc w pełni i latarka z telefonu brata Liliany.

On w pewnym momencie łapie mnie za ramię, wstrzymując mój marsz. Pokazuje ręką przed siebie, rozświetla wskazywaną przestrzeń i z nutą podziwu w głosie chrypi:

– Pierdolę... On spaloną chatę odbudował i jeszcze... rozbudował w cholere.

Z nieskrywanym zachwytem wpatruję się w ukryty w lesie istny pałac. Jest nieskazitelnie biały, ciągnie się na dziesiątki metrów i ma trzy kondygnacje. Wieńczą go szpiczaste wieże, które wydają się sięgać samych gwiazd. Do tego przed wspaniałą rezydencją znajduje się przepiękny ogród pełen kwiatnych rabatek, przystrzyżonych krzewów i fontann. Całość jawi mi się, jako najprawdziwszy raj.

– Napatrzyłaś się już? – dudni ponuro za moimi plecami Alex.

Ja, oniemiała z wrażenia, nie jestem w stanie wydusić słowa. Za chwilę zaś nie mogę uwierzyć nie tylko w widok malującego się przede mną pięknego miejsca, ale i to, że stanie się ono moim grobem:

– Nie przedłużajmy tego. – Kątem oka zauważam w męskiej dłoni pistolet, po czym odbieram na potylicy chłód metalu. W kolejności słyszę raniący me uszy dźwięk odciaganego cyngla.

Wydaje mi się, że tonę i zarazem płonę. Policzki żłobią mi jakby ogniste łyzy. Zawarta w nich sól pali mi kąciki ust. One same wykrzywają się w bolesnym grymasie.

– Dlaczego... Czemu chcesz mnie... zabić? – szlocham.

– To moja sprawa. Twoją jest zdechnąć.

– To po to mnie wyprowadziłeś z miasta? Żeby... zastrzelić?

– Właściwie to tak, skoro wcześniej nie udało mi się ciebie spalić.

– Nie... nie.

– Ostatnie słowo?

– Chcę coś... Chcę coś jeszcze powiedzieć. Muszę...

– Tylko się streszczaj.

– Wypadek... samochód. – Pociągam nosem, nagle stając na krawędzi swego istnienia.

Dalej widzę już tylko bezdenną przepaść. Zanim w nią spadnę, zginę, ponad wszystko pragnę wyznać mój najcięższy grzech. Spoglądam w nieodgadniony księżyc i odkrywam przed nim tajemnicę, którą na zawsze pragnęłam skryć nawet przed sobą: – Po wypadku, kiedy wpadłam do jeziora, tonęłam tylko przez chwilę. Potem... Potem stałam po pas w wodzie i patrzyłam. Patrzyłam, jak powoli zbliżał się do samochodu ogień. Mogłam zareagować, mogłam uratować z mojej rodziny przynajmniej jedną osobę. Ale... ja po prostu stałam. Stałam i patrzyłam. Zafascynował mnie... ogień.

Wtem zostaję gwałtownie pchnięta i padam na trawę. Za moimi plecami dochodzi do szamotaniny. Słyszę odgłosy walki i bluzgi. Gdy ten hałas ustaje, do moich uszu dociera męska wymiana zdań:

– Księżulek z kościoła miał rację. Dobrze podsłuchał, że poszli na południe, do posiadłości Damona.

– Zgadza się, Hunter.

– Ano, Zion. A co ty powiesz, szefie?

Jak sparaliżowaną ktoś bierze mnie w ramiona i z całych sił do siebie tuli. Widzę, że to Mike, który do mnie czule szepcze:

– Już dobrze, już po wszystkim, aniołku. – Całuje mnie w czoło, policzki, usta. – Już nikt, nigdy, cię nie skrzywdzi, obiecuję. Kocham cię i cię obronię. Kocham, słyszysz mnie, rozumiesz?

## XXI. Tarot – Sąd Ostateczny

Karta tarota Sąd Ostateczny mówi o zmartwychwstaniu i odrodzeniu. Przedstawia moment życia, w którym podsumowujemy to, co działo się do tej pory. Wyciągamy wnioski, przeprowadzamy ważne rozmowy i wybieramy dalszy kierunek. Karta ta wiąże się z oceną sytuacji, koniecznością zastanowienia się nad tym, co wnosi do naszego życia dobro, a co nas zawodzi i krzywdzi.

\*

W salonie białego pałacyku ścienny zegar właśnie wybija północ. Pod zegarem klęczą ze związanymi rękoma Alex i Liliana. Zion i Hunter mierzą do nich z pistoletów. Koło nich stoją ja i Mike. On, mój prawdziwy wybawiciel oraz najprawdziwszy ukochany, do mnie mówi:

– Pamiętasz, jak powtarzałem ci, że lepiej jest wiedzieć za dużo niż za mało?

– Pamiętam...

– To dlatego na początku roku szkolnego wróciłem do Crestone. Wróciłem, bo chciałem wiedzieć, kto zabił moją Ann. Nie bez powodu też pojawiłem się tu w takim, a nie innym momencie. Zrobiłem to wtedy, gdy z więzienia wyszedł Alex, bo miałem powody sądzić, że to on jest mordercą.

– Czemu... nim jest? – pytam ledwie słyszalnym głosem.

Mike uśmiecha się smutno. Wskazuje pistoletem na brata Liliany i do niego powarkuje:

– Powiedz jej, skurwielu. Wyjaw na sądzie ostatecznym, czemu tylu ludzi musiało bezsensownie przez ciebie zginąć. – Wobec milczenia Alexa Damon mierzy ze spluwy w jego siostrę i krzyczy: – Powiedz, czemu zabiłeś Ann, albo ochlapię cię mózgiem tej suki! No mów!

– To przez miłość.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?!

– Wszyscy cię zawsze kochali, Mike. – Brat Liliany podnosi wzrok na Damona. Patrzy mu głęboko w oczy i swe odważne wyznanie kontynuuje: – Ja jeden pokochałem cię naprawdę, najmocniej ze wszystkich. Poszedłem nawet za ciebie do pierdła. Ann... Ona nie była ciebie warta. Żadna kobieta nie jest ciebie warta. – Alex wymownie przenosi lodowate spojrzenie na mnie. W tym momencie jego pokiereszowanej twarzy kolejny już raz dosięga każąca pięść Mike'a.

– Opowiedz, szefie, jak tego fiuta zdemaskowałeś! – rzuca wyszczerzony Hunter. Damon milczy, wpatrując się z nienawiścią w mordercę. Wyjaśnień udziela mi więc mechanik: – Kilka lat temu, jak spłonął dom szefa, to żeby mylić tropy, podpalacz zjarał też kilka innych chałup. Przy jednej znaleziono niedopalone cygaro, kubańskie. – Hunter zerka na klęczącego mężczyznę i ciągnie dalej: – Obecnie sytuacja się powtórzyła. Przy spalonym sklepie zawieruszyło się

nadpalone cygaro. Gliniarze sprawdzili ślinę z ustnika. Okazało się, że to własność naszego Alexa. Już mieliśmy go sprzątnąć, ale on się wcześniej dowiedział, że my już o nim wiemy. Postanowił zwać z miasta. Chciał jednak jeszcze dokończyć swe rozpoczęte dzieło, czyli załatwić drugiego aniołka. Taki to kolekcjoner anielskich trofeów. – Mechanik z pogardą spluwa w kierunku Cartera.

– Jak można być takim skurwielem? – Zion kręci z niedowierzaniem głową.

– I skurwielką. Jak zaczęliśmy kroić jego siostrunię, to się przyznała, że o wszystkim wiedziała. – Hunter pokazuje na topiącą się we własnych łzach Lilianę.

Po tych wyjaśnieniach do swoich ludzi, czyniąc to isticie lodowato, zwraca się Mike:

– Wykopcie w ogrodzie dwa doły. Jak skończycie, przyjdźcie po stygnące ciała.

Alex pozostaje niewzruszony. Liliana wpada w histerię. Ja natomiast usłyszałam już całą historię nieszczęśliwych miłości, zdrad i morderstw.

Objawione także zostaje przede mną, do czego cała ta historia ma zmierzać. Wyraźnie dostrzegam w niej własny udział, który jest kluczowy. Ta wiedza daje mi siłę, abym odwróciła tragiczny bieg wydarzeń i dokonała czegoś, wydawałoby się, nieosiągalnego. Czegoś na co stać wyłącznie anioła:

– Nie będzie żadnego kopania dołów. Nie będzie żadnych więcej ofiar. Czas zapomnieć o przeszłości. Czas na wybaczenie. Czas na pojednanie. – W pozie krzyża stają pomiędzy Damonem, a skazańcami, zasłaniając ich własnym ciałem. Wzbudzam tym konsternację Ziona i Huntera, którzy patrzą na mnie z politowaniem. U Mike'a z kolei wyzwalam gniew:

– Nie możesz żądać ode mnie... niemożliwego. – Wytyka mnie oskarżycielsko palcem. – Od śmierci Ann żyłem tylko marzeniem, że dorwę skurwiela, który wyrwał mi serce, bo serce mej kobiety spalił. Muszę go zabić. Muszę go zabić!

– Nie rozumiesz, Mike.

– I nie chcę słuchać wyjaśnień!

– Wysłuchasz ich, jeśli naprawdę mnie... kochasz. – Zapada cisza, która niejako potwierdza uczucie mojego mężczyzny do mnie. To daje mi dodatkową, wręcz boską, moc, którą wykorzystuję w słowach będących, jak natchnione: – Wszystko co dobre i złe wydarzyło się z miłości. To ona sprawiła, że byłeś razem z Ann. To ona sprawiła, że ją straciłeś. To przez miłość ja jestem z tobą i ty uratowałeś mnie. Teraz ja, z miłości do ciebie, uratuję twą duszę. Nie splamisz sobie rąk cudzą krwią, wybaczysz wszystko wszystkim, także sobie. Pozwolisz odejść Ann. Pozwolisz odejść Alexowi i Lilianie, którzy z wdzięczności za okazaną łaskę nikogo już nie skrzywdzą. Wtedy zostanie już tylko nasza czysta miłość i weźmiemy ze sobą nadzwyczajny ślub. Weźmiemy ślub ognia i krwi, tak jak nam pisane.

Będąc niczym w anielskim transie, z kurtki Mike'a wyjmuję zapalniczkę i nóż. Ostrzem głęboko rozcynam sobie wnętrze dłoni, a ranę przypalam ogniem. Posiadane akcesoria oddaję Damonowi.

On patrzy na mnie tak, jak w tej chwili musi. Spogląda jak na anioła, który zstąpił z nieba i godzi ze sobą upadłe demony. Nie może więc postąpić inaczej. Również skrwawia sobie i przypala dłoń.

Łączymy nasze okaleczone i naznaczone ogniem ręce. Tym samym łączymy nasze krwawiące i płomienne serca. Za pośrednictwem miłości wyzwalamy z oków nasze umęczone dusze.

W salonie, miejscu sądu ostatecznego, następuję całkowite odpuszczenie grzechów. Nie padają tu już żadne więcej słowa. Nic więcej nie mamy tu do zrobienia. Udajemy się do sypialni, by zapomnieć o całym świecie i bez pamięci się ze sobą kochać.

W cielesnej rozkoszy koimy nasze zmysły. W fizycznym zespoleniu pozbywamy się ostatnich splamień i trosk. Wspólnie osiągnany szczyt ekstazy otwiera przed nami bramy niebios. Pozostajemy w nim połączeni miłością i znowu się... kochamy.

## XXII. Tarot – Świat

Karta tarota Świat to nowy etap naszej wędrówki i osiągnięcie wyższego stopnia wtajemniczenia. Zamykamy pewien cykl i jesteśmy gotowi iść dalej. Uświadamiamy sobie, że cały świat stoi przed nami otworem i zaprasza nas, by skorzystać z jego nieograniczonych możliwości.

\*

Od przełomowych wydarzeń w odbudowanej rezydencji rodziców Damona mija kilka tygodni. Trwają już wakacje, a wraz z nimi upalne lato. Upajamy się nim i sobą nawzajem.

Ja i Mike, bez pamięci w sobie zakochani, jesteśmy już innymi ludźmi i najwspanialszą w Crestone parą. Zjednoczeni czystą miłością żyjemy jak w biblijnym raju.

Obecnie wybieramy się na wycieczkę po Stanach. Ozłoceni promieniami wschodzącego słońca w czerwonym Lamborghini na pewien czas opuszczamy nasze miasto.

Jedziemy wzdłuż brzegu błękitnego oceanu, gdzie na chwilę się zatrzymujemy. Czynimy to w miejscu, które uwielbiała Ann.

Przy przepięknej kapliczce z rzeźbą anioła składamy białe róże. Mike mnie obejmuje. Ja szepczę słowa modlitwy za duszę dziewczyny, z którą czuję wyjątkową więź.

Wydaję się, że w jakiś sposób znajdujemy się tu we trójkę razem. Myślę, że naprawdę tak właśnie jest.

Potem znów jestem z ukochanym w trasie. Przemierzamy niezmierzone drogi. Podziwiamy chwytające za serce pejzaże. Wszędzie zaś, gdzie się pojawiajemy, jest miłość między nami, którą dedykujemy wszystkim zakochanym.

# Spis treści

- I. Tarot – Pustelnik
- II. Tarot – Głupiec
- III. Tarot – Kapłanka
- IV. Tarot – Siła
- V. Tarot – Wieża
- VI. Tarot – Wisielec
- VII. Tarot – Kochankowie
- VIII. Tarot – Słońce
- IX. Tarot – Cesarzowa
- X. Tarot – Kapłan
- XI. Tarot – Umiarkowanie
- XII. Tarot – Mag
- XIII. Tarot – Cesarz
- XIV. Tarot – Koło Fortuny
- XV. Tarot – Diabeł
- XVI. Tarot – Rydwan
- XVII. Tarot – Gwiazda
- XVIII. Tarot – Sprawiedliwość
- XIX. Tarot – Śmierć
- XX. Tarot – Księżyc
- XXI. Tarot – Sąd Ostateczny
- XXII. Tarot – Świat